

006
783885 II
7819
I

TADEUSZ ŻUK-SKARSZEWSKI

P U S T K A

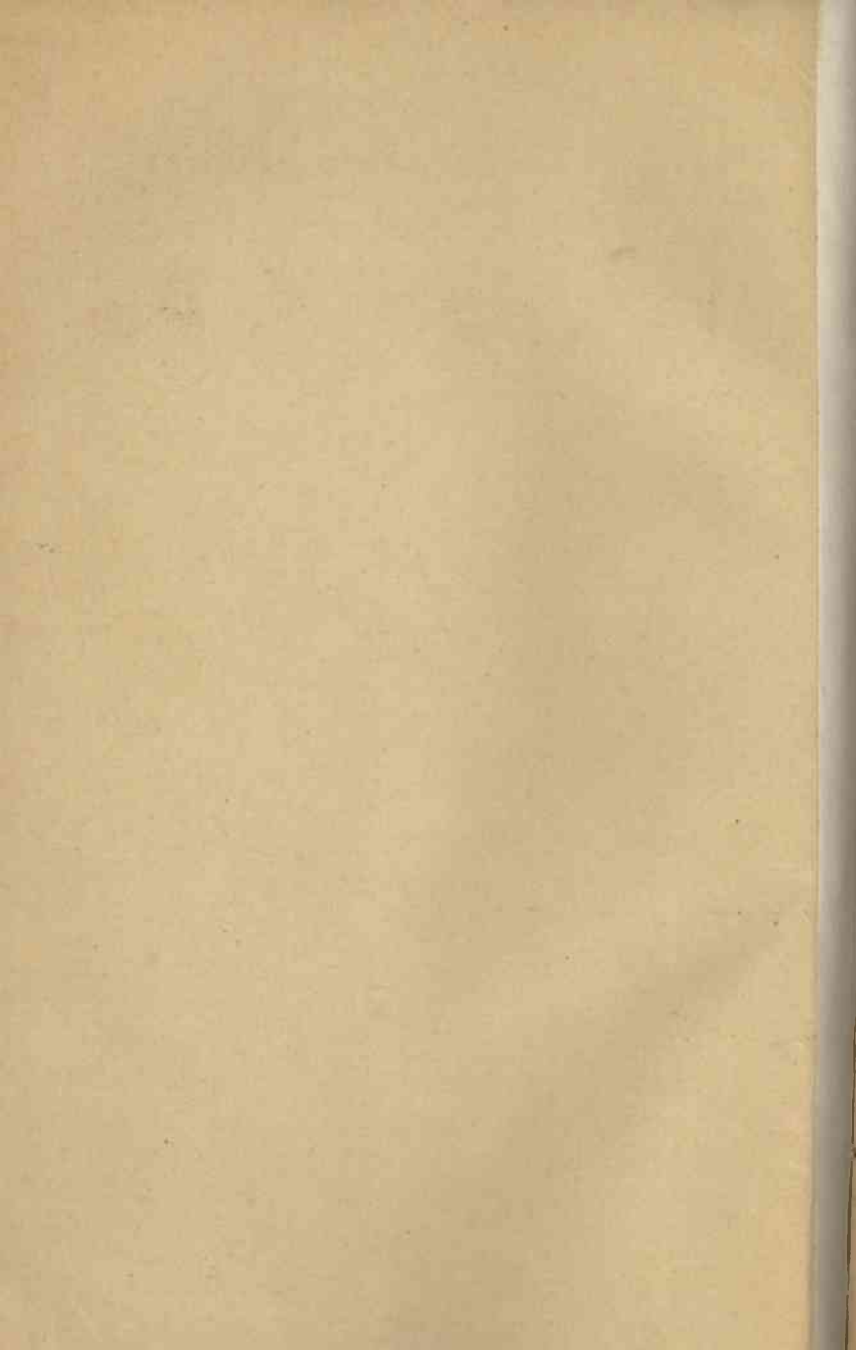
POZNAŃ **1918**
„OSTOJA“ SPÓŁKA WYDAWNICZA

TEGOŻ AUTORA UKAŻE SIĘ RÓWNIEŻ

RUMAK ŚWIATOWIDA

KARYKATURA W CZORAJ SZ A.





TADEUSZ ŻUK-SKARSZEWSKI

P U S T K A

POZNAŃ **1918**
„OSTOJA“ SPÓŁKA WYDAWNICZA

PUSTKA

460347

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
DLA AUTORA. □ COPYRIGHT BY
„OSTOJA” SPÓŁKA WYDAWNICZA,
POZNAŃ, PLAC WILHELMA 17.
CZCIONKAMI TŁOZCZNI „PRACT”.



1000175014

Biblioteka
UMCS
Lublin

W 1410/92/12

Styp 1

PUSTKA

OPOWIEŚĆ NA TLE
KARTAGINY WSPÓŁCZESNEJ.

I.

Morze wgryzło się między dwa łańcuchy afrykańskich wzgórz, wyjadło ziemię, wyplukało piaski i syte łupu, zadowolone i spokojne, rozłożyło się zatoką zaciszną. Rozdzielone nią wzgórza, puste, nagie, spiekotą przezarte, rozwartą paszczą szczerzą w złości bezsilnej swe szczęki bezzębne, a zatoka zaciszna przeciąga się leniwie, gładka, nieruchoma, spokojna, zaskrzepła w uśmiechu rozkosznym, zapatrzona w błękit niepokalany, wygrzewająca się w słońcu, którego złoto rozżarzone przetapia na lazur miękkiej, jaspisy modre, ametysty ciepłe, opale sine, wsiąkłe w bladość perłowej macicy. Zatoka taka cicha, uśmiechnięta, nieruchoma, że wiatr dech zaparł, u łodzi rybackich żagle obwisły bezradnie, a flamingi stadami różowemi niemo przycupły na głębi, po której ślizgają się smugami migotliwymi cienie rybitw, latających nad wodami.

Martwota cudowna i martwota zaczarowana: śmiech z niej tryska i rozkosz życia!

Na pagórkach nagich martwota śmiertelna. Pustka i głusza. Ponad rozdzielającą je zatoką słoneczną półwyspy nagie patrzą na siebie ponuro. Półwysep wschodni, ten, co w swym szkielecie skalistym kryje podobno grobowce najdostojniejszych bogaczów purnickich, zielenią wstydliwie osłonił żalobę odwieczną i sterczy nad wodą bezdusznie wyciągnięty, pusty i smętnie zapatrzony w przeciwległego półwyspu

niczem nieokrytą martwotę nagą, beznadziejną. Ten, wysunięty w morze szeregiem wzgórzy, wysoko ponad zatokę wydętych, wsparł się snać o podziemny grzbiet skalisty, samorodny i mocny, skoro nie zwiały go wichry, ani zmyły fale, Lecz skał nie widać, jak nie widać zieleni: nic zgoła nie widać, jeno bezbarwnie szary miał grzęski gruzów zwietrzałych.

Wszędy gruzu. Tu piętrzyła się ongi dumna, ludna, bogata, gwarna stolica, pani mórz — Kartagina. Dziś — pustka i głusza. Co ocalało z tyłu pożóg i spustoszeń, co ocalało z pałaców, świątyń, teatrów, cyrków, z całego ogromu miasta, kipiącego życiem, wszystko pokrył i otulił gruby całun gruzu miałkiego, którego chwytają się niechętnie chwasty i zielska nikłe. Pustka i głusza. Nagie wzgórze łyse, strome, opuszczone, a po wzgórzach nagich spinają się kozy chude; dołem, tu i owdzie, podskakują niezgrabnie spętane wielbłądy. Zrzadka tylko parę palm, nędznych, koślawych i sztywnych, przytuliły się do pagórka, czepiwszy się korzeniami pustki zamarłej, i sterczą z niej uparcie, jak opuszczone nadgrobki, opierając się wichrom, co z świstem szarpia zimą obydwie półwyspy, strzegące spokoju zatoki.

Pustka i głusza. Chude kozy szczypią zębami zielsko; spętane wielbłądy prężą ku ziemi szyje, wydłużone łakomo, opodal na gruzie siedzą ich pasterze: nieruchome postaci nieme, przyczajone, obdarte; mężczyźni od głowy po biodra otuleni w łachman brudny, szary; niewiasty od bioder ku ramieniu przerzuciły łachman spłowieła błękitny, lub z jakiejś spłowiełej purpury dostojnej: łachmany z biedą okrywają ciała smagłe, smukłe, krzepkie, rosłe, skwarem spalone, i twarze dzikie a wyniosłe, wzgardliwie dumne,

w pokój posągowy zastygłe; jeno oczy czarne miotają blaski nad nosami drapieżnymi. To — odwieczni tubylcy, zajadle cierpliwi, spokojnie zuchwali nędzarze nieujarzmieni nigdy tej ziemi spiekłej pra-dziedziące: Lubijczycy-Numidzi-Berberzy-Kabyłe. Panowie zniszczenia i pustki, przed życiem osiadłem i żyznem uciekali tylekroć; sępom i szakalom podobni, zjawiali się niechybnie, gdzie zgłiszcza i gruzy, i na zwaliskach paśli wielbłądy i kozy. Czego ci bezdomni nędzarze, dzicy a dostojni, nie przecierpieli dziesiątkami wieków!

Bo, jak dzisiaj, siedzieli tu zapewne przyczajeni, gdy Fenicyanie kładli podwaliny pod Karadhadtha — „Nowe-Miasto“. Jakie ich dzieje przed najazdem punickim? — oni ich nie spisywali; tego nie dowiemy się już chyba nigdy, chybaży uczeni odgrzebali w Memfis czy Tebach opowieść hieroglificzną o nieszczęsnej wyprawie na zachód, w której dzikusy nieokrzeseane rozgromiły sprawne hufce faraona; ale i Egipcyanie nie lubili spisywać porażek; chlubią się tylko, że w czasach przedfenickich odparli napad z zachodu plemion Imochrah: „ludzi wolnych“. Ledwo „Nowe-Miasto“ powstało, dzikusy, barbarzyńcy (Berberzy z greckiego „Barbaroi“) rzuciły się pod wodzą Jarbasa, by je obrócić w perzynę! Naprawdę: Kartagina odrosła, spotężniała, zakwitła. Ale wzrost i rozkwit miasta nienawistnego przetrwali nieujarzmieni, czasem cofając się daleko w głąb kraju, czasem pod królami bitnymi podkradając się pod jego mury zaciekle, niszczycielskimi hordami. Aż po siedmiowiekowem wyczekiwaniu z Rzymianami się sprzymierzyli, by wytrzebić przebiegłych kupców i żegiarzy. A toż-to była radość, gdy stolicę dumną kruszyli na gruz tak drobny, by ją pług Scypjona

mógł miejsce w miejsce zaorać! Radość nie trwała długo. W miejsce sąsiadów najezdnych, co gromadzili bogactwa nieprzebrane i rządzeni złotem, dostali teraz w sąsiedztwo najeźdźców, co żelazem krótkim a ostrem sprawowali władzę. I na tego władcę porwali się zawzięcie. Wściekły zuchwalec, Jugurta, nie tylko panem był na swoich śmieciach, ale sam do Rzymu się wybrał, by w oczy urągać wiecznemu miastu, senat złotem przekupił, a powróciwszy, legie rzymskie pod jarzmem przepędzał. Uległ wreszcie i za wozem tryumfalnym Maryusza szedł z łańcuchem u szyi, a skończył w podziemiu, zamorzony głodem: ostatni ich król dzielny i hardy. Król ostatni; lecz nie ostatni Berber hardy: dość spojrzeć na twarze tych obdartych pastuchów nędzarzy, cierpliwie zaciekle, by zgadnąć, że każdy z nich umiałby kroczyć z godnością za wozem tryumfalnym i bez skargi z głodu zdychać z zębami zaciśniętymi.

Po Jugurcie nikt już nie podźwignął jego pucziny wielkiej. Za Oktawjana szczątkiem królestwa rządził wspaniały i wykwintny Juba, wychowany w Rzymie, żonaty z córką Antonjusza i Kleopatry, pisarz uczony i przedni. Za Kaliguli skrytobójstwo kres położyło ich królestwu i ich dziejom. I wtedy zaczęły się ich dzieje, bodaj czy nie najdziwniejsze. Krajem zawładnął Rzym dłonią żelazną, Rzym, władca nieugięty a gazda skrzętny, i na całym pobrzeżu sięgającym pasmem szerokim daleko w głąb lądu, rozsiała się potęga rzymska, twarda, rozumna, świadoma celu, kładąca niespożyte podwaliny rozwoju, bogactwa, pomyślności, kultury. A pokonane nędzarze bezwładnie przepadły gdzieś w górach niedostępnych i pustkowiach: rozbici na drobne wędrowne

szczyty i gminy, pozornie bez żadnej z sobą łączności, a jednak związani z sobą jakąś niemą ustawą federacyjną, nieokreśloną a silną, na dany znak łączącą szczepy rozproszone w jeden naród zwarty: w mściciela. Szczepami zaś rządził plebiscyt, w którym broń w ręku dawała głos w radzie.

Afryka rzymska kwitnęła, a o nędzarzach rozgromionych przepadły słuchy. Chwymano ich czasem i sprzedawano na niewolników, trzymanyh przemocą. Trwało to pięć wieków. Afryka rzymska kwitnęła, jak nigdy przedtem i nigdy potem: śpichlerz Romy, przybytek sztuk i nauk, jeden ogród czarowny, poprzęzynany drogami bitemi, urzyżniony wodociągami, upstrzony miastami z pałacami marmurowymi, w których było miejsce i na szkoły retorów i teatry, i cyrki, i biblioteki, i na sto sześćdziesiąt stolic biskupich, skoro tylko chrześcijaństwo rozbłysło. I dziwna rzecz. Starczyło, by po Wandalach i Grekach Arabi wpadli tutaj niszczyielską nawałą, by z całej tej wspaniałości rzymskiej nie pozostało nic, literalnie nic, jeno pustka, piaski i gruzy i — zarabione, znikczemniałe, spodłone, zwyrodniałe potomstwa wielkich przodków, krzewicieli kultury i życia. Wszystko za jednym zamachem bez śladu przepadło, wszystko, prócz tej jednej bezwodziej, berberyjskiej hołoty: — „Numidów niestałych i niepewnych w obietnicach“, jak ustami don Kiszota określił ich Cerwantes, który oglądał ich zbliska. I oni pod grozą miecza przyjęli Islam, jak pewno dawniej czcili Baala, Saturna lub Dzeusa; ale i Allah nie większy wpływ na nich wywarł niż dawniejsi jego poprzednicy puniccy, rzymscy i greccy: wszak bywali i chrześcijanami i sekciarzom chrześcijańskim dostarczali zwolenników tak zagorzałych, że

ich pisma trzeba było palić na stosie; wszak najazd arabski zastał ich wyznających w części nawet judaizm, a gdy przyjęli Islam, jęli świętokradzko na swój język przekładać Koran, który jeno po arabsku godzi się czytać, iż znów w ogień musiały iść ich księgi. I po dziś dzień wyznają niby Islam, który może nieco zabobonów dorzucił do ich zabobonów i wierzeń odwiecznych, ale nie zdołał swym niwelującym strychnicem zrównać ich z resztą ludów zbi-surmanionych. Oni jedni stawili dzielnie czoło Arabom i oni jedni najazd arabski przetrwali.

Przyjęli Islam i wyrzekli się bogów dawnych tem łatwiej, że ci nie dotrzymali obietnic: ich poeci do dziś śpiewają:

„Nieszczęsna świętych gromado,
Gdzieś była, gdy gorzał gród“?!

Przyjęli Islam i w imię Allaha podjęli walkę, którą od tylu wieków toczyli w imię bogów rozmaitych. Okrzyk ich wojenny nie milkł nigdy, odkąd znamy ich dzieje, i rozlegał się ustawicznie od granic Egiptu po Atlantyk i od Sahary po morze Śródziemne; rozlegał się kolejno przeciw każdemu wrogowi i każdemu nowemu najeźdźcy szedł z pomocą, byle tylko pognać dawnego; rozlegał się radosnem, tryumfalnem pieniem, ilekroć Kartaginę łupiono i obracano w perzynę, ilekroć pustoszoano pola i trzebiono gaje; gdy mężowie słabli, podejmowały go *lelle*: „święte niewiasty“, jak ta Kahina, wieszczka natchniona, co przeciw Arabom wiodła hufce. Okrzyk ten trwał od wieków i wieków: słyszeli go Egipcianie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wandale, Grecy, Arabi, Hiszpanie, Francuzi, Turcy, Włosi: jak ongi i dziś się rozlega po piaskach Trypolitanii i górach Marokka.

Tysiąckroć pokonani, nieugięci i niezrażeni nigdy, w przerwach tych bojów trzydziestowiekowych skupiali się, by tylko trwać i zbierać siły. Jak ongi przed Kartagińczykami i Rzymianami i dziś cofają się w głąb kraju, hen daleko w pustynię lub w góry Atlasu, gdzie posiadają kryjówki, nawet grody i miasta, w których nigdy jeszcze nie postąpiła noga żadnego najezdcy. Wówczas zrzadka tylko po wybrzeżu snują się karawany nędzarzów obdartych, dzikich i milczących, co nie wiadomo skąd przyszli, gdzieś na odludziu rozbili szałas, gdzie było dość krzewiny i zielska, by coś-niecoś uskubać mogły wielbłądy spętane, osły leniwe i kozy chude, — milczkiem czas jakiś koczowali i wnet zniknęli chyłkiem i nocą. W głębi tylko łądu, w osadach trudno dostępnych, lub niedostępnych zgoła, wiodą żywot osiadły, pracowity, skrzętny, zapobiegliwy i twardy. Tam ujęci gminowładczo w surowe i nieugięte ramy rodzin, gmin i szczepów, oddają się uprawie roli, rzemiosłom i handlowi z pracowitością wytrwałą i zajadłą, nieznaną na wybrzeżu, która chyba jak ciężka zhora, przyśniłby się mogła gnuśnym Arabom dzisiejszym, wczorajszym zbisurmanionym resztkom tyłu pracowitych ludów. Tam, w tych odludziach, Berberzy czują się u siebie; tam pracują, czekając na pobudkę bojową; tam surowość i godność życia rodzinnego stoi pod osłoną ojców rodzin, których samowładza tem jest ograniczoną, że wolno im przebaczyć nawet zamordowanie członka rodu, ale za wszelką pobłażliwość, gdy idzie o cześć niewieścią, karani są ukamienowaniem: wolno im zabić niewiastę, nie zdając z tego nikomu sprawy, nie wolno im zezwolić, by shańbioną była bezkarnie; tam niewiasta niema głosu

w radzie, ale wolno jej pieśnią się odezwać i porwać nią mężów do boju; tam niewiasta praw nie ma żadnych i od dziedzictwa jest usuniętą, ale jej obecność wytrąca mężom broń z ręki: w jej obliczu ustają zwady krwawe, milknie prawo zemsty, wyrok śmierci zawisa niewykonany: gdy niewiasty spotkają zasadzkę wrogiego plemienia, zasadzka odejść musi ze zwieszoną bronią przez nikogo nie niepokojona; tam ponad wszelkie przysięgi i zaklęcia wybija się słowo przyrzeczenia: *anaia*, obietnica opieki nad zagrożonym, której dotrzymać trzeba choćby kosztem ofiar największych, choćby kosztem własnego życia, dotrzymać bądź co bądź, bez względu na następstwa, gdyż, jak śpiewa poeta berberyjski:

Choć spełnić, *anaię* — nieszczęście!
Lecz zdradzić *anaię* — wstyd!
Anaia — góra ognista,
Na której płonie cześć!

Tam w głębi łądu żyją, tam oddychają pełną piersią, czekając na wici tajemne, co wezwą ich do boju. Tu na wybrzeżu, tu zwłaszcza na zwaliskach tej Kartaginy, co pierwsza wrębem krwawym zadała im ranę jątrzącą wieków trzydzieści, „Numidzi nie-stali i niepewni w obietnicach“ koczują pasterczo i wędrownie i czyhają jeno czy nie nadchodzi czas burzenia, czas łupieży i zemsty. I, jak przy lądowaniu Fenicyan, siedzą znów tutaj, pasąc kozy chude, i wypatrują przyczajeni, jakie kiedyś będą gruzy z miasta, co powstaje.

Bo z niespożytej ziemi kartagińskiej wynurza się znów „Nowe-Miasto“. Nim przyszli tu francuzi, kardynał Lavigerie dla swych „Ojców białych“ uzyskał od *Beya* w darze puste wzgórze kartagińskie

i na ich szczycie wzniosł widną zdala, katedrę pyszną i ozdobił ją napisami stwierdzającymi, że „arcybiskup kartagiński jest po rzymskim biskupie pierwszym“ i że „nikomu nie ma ustępować kroku“. Z minaretów stołecznego Tunisu, bielejącego w głębi zatoki, okryci w białe burnusy, skrojone wzorem togi rzymskiej, Arabowie spoglądają ku katedrze butnej okiem obojętnie zmrużonem, co może widzi, lecz nie patrzy, okiem sennem, którego już chyba żadna katedra nie zbudzi z upojenia gnuśnego, odkąd pograżył ich w nie Islam, lubieżność i opium. Ich nawracać? „Ojcowie biali“ chwycili się pracy owocniejszej: jęli rozkopywać wzgórze i wszędzie, gdzie gruz usunęli, wynurzyły się rzymskie mury cementowe, sklepienia niespożyte, wodociągi, zbiorniki, cysterny, mozaiki pałaców, kolumny świątyń, posągi amfiteatrów; kopiąc głębiej, natrafili na sarkofagi punickie i posązki boskiej Tانيتy i samego Baala: i wspaniałość kartaginy rzymskiej i szczątki Kartaginy punickiej leżą do dziś dnia pod gruzem, jeno kopać, a z martwych powstaną!

„Ojcowie biali“ nietylko wypełnili tunetańskie muzeum „Bardo“ pięknymi posągami greckimi i rzymskimi, mozaikami bizantyńskimi, punickimi, glinianymi posązkami i maskami oraz naramiennikami spizowymi, ale w samych murach klasztornych stworzyli przepyszne muzeum własne, odzwierciadlające życie całego szeregu miast, które tutaj ongi kwitły i przepadły; odgrzebali tu i owdzie, na wyrwyki, to cyrk, to teatr, to świątynię, to resztki pałaców. Potem kopać przestali. Poczęli sadzić winnice, uprawiać rolę, zakładać folwarki, budować klasztory i... hotele i restauracje: dziś kupczą winem, nabiałem, drobiem, wykopaliskami...

I niebawem wzgórze puste przestaną być pustkowiec. Wytoczono już ulice, a wzdłuż nich gruz podzielono na parcele budowlane: Kartagina stać się ma letniskiem dla stołecznego Tunisu, z którym łączy ją już kolej elektryczna. Parcele znajdują nabywców tem chętniejszych, że materiał budowlany na miejscu: tylko kopać, — są rzymskie ciosy, marmury, kolumny. I z rzymskich marmurów i ciosów powstają już domki i wille, to w stylu arabskim, to szwajcarskim — są i secesyjne...

Drobne to dotąd plamki na wzgórzu obumarłem, przeglądającym się w zatoce zaczarowanej i prześiąkłej światłem. Kilka tuzinów will i hoteli nie zdejmie znamienia pustki z wielkiego, łysego wzgórza, pokrytego zwaliskami miasta krociowego, raczej jeszcze uwydatni.

Przyszłe ulice Kartaginy przyszłej, kielkującej tu i owdzie pośród prochów i gruzów z kasynowo-kurhausowem zacięciem, wytyczono wedle wymogów nowoczesnych proste i szerokie, nie licząc się oczywiście z rozkładem stolicy zamarłej. Tak Kartagina punicka ze swą siedemkroć stotysięczną ludnością, jak później milionowa Kartagina rzymska miały i ogrody, i wolnice, i budowle olbrzymie: świątynie, pałace, teatry, cyrki, targowiska i t. d.; ale skupione na stosunkowo niewielkim półwyspie, ogromne to ludzkie rojowisko zabudowywać się musiało zwarcie i ciasno, piętrząc się po bystrych stokach pagórków na sklepieniach grubych i zwalistych, rozsiadłych piętrami jedne nad drugimi, a tak mocnych, że miejscami dochowały się po dziś dzień wbrew wszystkim pożogom, łupieżom i pustoszeniu. Od przystani, z po-brzeżem, wyłożonem wielkimi ciosami, wystającymi

jeszcze gdzieniegdzie z pod wody, aż po szczyt pagórka najwyższego, na którym wznosiły się świątynie bogów, co zmieniali tylko swe punickie imioniska na rzymskie i greckie a wśród losów zmieniających wciąż zachowywali władzę, (dziś stoi tam katedra) — wzgórze kartagińskie tworzyły jedno potwornie wielkie mrowisko, zabudowane tak ciasno a bystro, że jego gruzów starczyło na pokrycie i otulenie całunem jednolitym i grubym, takich nawet gmachów, jak teatr na tysiąc widzów, odkopany niedawno.

Szkielet tego mrowiska zachował się w całości pod pokrywą pustki smętnej, opuszczonej, obrosłej zielskiem nikłem, na którym koczownicze Berbery pasą kozy chude. Przeorano go teraz bruzdami szerokimi ulic przyszłych, nadającami pustce dostojnej niesamowity wyraz trupa, ponacinanego skalpelem. Bo inżynierowie, przemysłni, wedle wskazówek „ojców białych“, krają teraz tego zastygłego wiekami trupa raźnie i śmiało swemi ulicami prostemi, przyszłemi tętnicami życia wskrzeszonego.

Na razie życia niema. Przeciwnie, świeże te ulice wyglądają często bardziej poczwarnie martwe, niżli pustka szczerą. Krając je trzeba było bowiem burzyć nieraz ściany rzymskie, wyrzucać posadzki mozaikowe i kolumny marmurowe i dynamitem rozsadzać cysterny. I idziesz teraz przekopem świeżym między szczątkami zabytków starodawnych, równo pod sznur poobcinanych, i to z jednej strony, to z drugiej patrzą na ciebie jak oczodoły ślepo wyszczerzone i puste, izby kartagińskie w pół przecięte, tak pokalczone, rozpaczne, smutne i nagie, jak ich po łupieży odeszli w piątym wieku Wandalę, czy w siódmym

Arabi. I żal człowieka bierze, że zdarto z nich to zasypisko gruzu głuche, a kojące, co je więcej niż tysiąc lat osłaniał i tulił.

I wbrew parcelom wytyczonym i trąbie kolei elektrycznej, pustka tu nadal i głusza. I nadał na kupach gruzu pasą się kozy chude i niezgrabnie podskakują spętane wielbłądy: w pustce i głuszy na gruzach czuwają niemo przyczajone, berberyjskie straże.

II.

Przy jednej z ulic świeżo wytyczonych na załamaniu pagórka, chylącego się stromo ku morzu, a prażącego się w południowym słońcu, budowano właśnie ogromny *Grand Hôtel Hazdroubaâl*; budowano z wielkim zbytkiem, wielkim nakładem energii i pieniędzy i z pośpiechem, zgoła w Afryce nieznanym. Przedsięwzięcie było widocznie zasobne i nie zważało na koszty. Tanim robotnikiem miejscowym wzgardzono zupełnie. Nawet Maltańczyków, Sycylijczyków i innych pośledniejszych Włochów używano jedynie do robót ziemnych, do pomocy i najgrubszych robót murarskich; pozatem całej budowy dokonywał robotnik francuski, dobrze płatny, ale pracowity i zwinny, któremu nawet przy afrykańskim skwarze robota paliła się w rękach.

Robota szła też na całej linii różnie. Podczas gdy na lewym skrzydle Maltańczycy wybierali dopiero ziemię pod podwaliny hotelu i, niwelując grunt, wkopywali się głęboko w górny stok góry, obcinając prostopadle dobry jej kawał, a wydobytą ziemią zasypując przepaść u dołu, w środku murarze kończyli już pierwsze piętro, a w skrzydle prawym, już pod dachem, stolarze zakładali drzwi i okna, a malarze zdobili ściany i powały. Rojno więc było na całej

budowie, mrowiącej się pracownikami, ruchliwymi niestrudzenie. Ruch ten sprawny, śpieszny, zwinny, sprawiał tem większe wrażenie, że za tło złużyło mu bezwładnie zamarte pustkowie, za zwierciadło — wyzłocony błękit gnuśnie rozkosznej zatoki, a za ramy — próżniacza beztroska tybulców: górą, ze szczytu obciętego pagórka, z ponad krawędzi wyzierały dziko wrogie twarze przykucniętych Berberów, przyczajonych w drapieźnem naprężeniu tak nieruchomo, jak z kamienia ciosane posągi, i wnet, migiem, znikających bez śladu, jakby zapadli się w ziemię; dołem z poza ogrodzenia, przyglądało się zwawej robocie całe stado Arabów leniwych. Od rana ściągali tutaj z wiosek okolicznych i, okutani w białe burnusy, które przy rosnącej spiekocie zarzucali sobie na głowy ponad czerwone fezy, okręcone wzorzystymi, jedwabnymi zwojami, stali tak godzinami w miejscu, przed się zapatrzeni. Małe tylko Arabczuki okazywały więcej przedsiębiorczego ducha, stojąc wprawdzie również godzinami w miejscu i gapiąc się bezmyślnie, ale na widok przechodzącego Europejczyka wyciągając ręce i natrętnem, krzykliwem *surdi! surdi!* napierając się jałmużny.

A Europejczyków kręciło słę tutaj sporo. I, jak wszędzie w koloniach francuskich, hierarchia istniała tylko w sprawach, tyjących się służby, a po za nią wszyscy, mimo różnice majątków, stanowisk, wykształcenia i wychowania, żyli z sobą poufale. Wyjątek stanowił jedynie naczelnik przedsiębiorstwa, *mister* Mac Gregor, zamerykanizowany Szkot, milioner rzutki i sprężysty, zwany przez podwładnych „tyranem“. Ten nie poufalił się z nikim, wpadał tu zresztą rzadko, zawsze zakurzonym samochodem,

nie wiadomo czy z podróży w głąb kraju, czy z powrotem z New Yorku, Londynu lub Konstantynopola, kontrolował roboty i rachunki, wydawał rozkazy zwięzłe i kategoryczne i — znikał. Niewiele udzielał się również współpracownikom naczelny architekt budowy, wytworny pan Armand de Vicilleville, który tak ustawicznie dbał o wyszukaną wybredność w ubraniu i przedziwną wykwintność w obojętności, jakgdyby wciąż myślał o tem, by dobrać swą osobę do szlachetnego brzmienia nazwiska starodawnego: de Vieilleville. Stale mieszkał w Tunisie, a przyjeżdżał tu samochodem, strojny, elegancki i wyświeżony, i przez wmurowany w lewe oko monokl oglądał postępy roboty.

Z wyższych dygnitarzy przedsiębiorstwa stale mieszkał na miejscu administrator generalny i prawa ręka „tyrana“, *signor* Spinelli, i kierownik naukowy i artystyczny budowy, dr. Zwang. Dr. Zwang, człowiek młody, trzydziestoletni, w białym ubraniu i hełmie, z jasną brodą i niebieskimi oczyma za okularami złotymi, był uczonym nieco ciężkim, ale gruntownym i sumiennym, *privat-docentem* historii sztuki wszechnicy heidelberskiej, wielkim znawcą wszystkich kultur wschodnich, zwłaszcza semickich, wyspecjalizowanym w badaniu starożytności fenickich i kartagińskich. Ale cała jego uczoneść nie starczyłaby pewno, by obliczyć, jaka mieszanina krwi fenickiej, greckiej, arabskiej, włoskiej, ormiańskiej i hebrajskiej złożyła się na wytworzenie pana administratora Spinellego: Maltańczyka rodem, człowieka małego, nikłego, chuderławego, mizernego, a ruchliwego, jak wiewiórka, i nieuchwytnego, jak węgorz, drepcącego drobnymi nóżkami, zacierającego

kościste palce, uśmiechającego się z poza krzaczastej, kędzierzawej brody czarnej, szronem przyprószonej, i błyskającego czarnemi, migotliwemi oczkami o blasku niesamowitym. Niewątpliwej chytrłości jego można było ten chyba zarzut zrobić, że mimo wszystkie wysiłki w udawaniu dobroduszości wyglądał jednak na zbyt chytrzego i wyglądem swym budził podejrzliwość i nieufność. Przyjaciele pana Mac Gregora dziwili się nawet, jak mógł uczynić swym pełnomocnikiem zbyt przebiegłego Maltańczyka. Ale „tyran“, pewny siebie i pogodny, odpowiadał:

— Tak, ten człowiek mógłby być niebezpiecznym, ale w mych rękach jest niezwykle użytecznym. Ja znam go na wylot, a on zna mnie i wie, czem pachnie najmniejsze uchybienie. Trzymam go, choć on uważa twierdzenie, że dwa a dwa jest cztery, za zabobon głupi, gdyż wierzy szczerze, że, gdy przedsiębiorstwo ma płacić, dwa a dwa jest trzy; a gdy ma inkasować, to — pięć. Gdyby raz tę zasadę zastosował na własną korzyść, skręci kark.

Rozumowanie to było śnać słuszne, skoro pan administrator rzeczywiście bronił interesów przedsiębiorstwa z czujnością nieustanną i gorliwością wręcz drapieżną; każde zaś słowo, które kiedykolwiek padło z ust „tyrana“, pamiętał niechybnie i w razach wątpliwych przytaczał, jak ewangelię.

To też i teraz ucieka się do tego środka ostatecznego. Już blisko godzinę stoi w żywej rozmowie z dr. Zwangiem pod stromą ścianą góry obciętej, nie zwracając uwagi ani na Maltańczyków, drążących u jej stóp dziury pod fundamenty, ani na sępie twarze, wychylające się chwilami z nad jej szczytu, cały zajęty odpieraniem argumentów młodego uczo-

nego, domagającego się z natarczywością niezwykłą dalszego obciążenia góry jeszcze o parę metrów. Darmo administrator z uśmiechem najusłużniejszym, a najnieuściepliwyszemu uporem, tłumaczy uczonemu, że posunięcie się wgląd, choćby o parę tylko metrów, wobec wysokości skopywanej góry, pociąga wydatki zbyt wielkie: darmo oblicza mu na palcach ilość metrów sześciennych ziemi i koszt wykopania każdego metra; nie mogąc przełamać uporu dr. Zwanga, powołującego się na wyższe względy, naukowe, *signor* Spinelli kuli się jeszcze usłużniej we dwoje, zaciera ręce z rosnącym przejęciem i zaklina się z jeszcze przyjemniejszym uśmiechem:

— Ależ ja jestem zawsze na usługi pana profesora, we wszystkim na jego usługi, a cóż dopiero, gdy chodzi o rzecz tak szczytną, jak nauka! — wszystko, co tylko pan każe i co w mojej mocy. I teraz nawet, pomimo takich kosztów, jaknajchętniej. Byle tylko pan professor był tak uprzejmy uzyskać rozkaz pana Mac Gregora: dwa słowa na piśmie. Bo inaczej... Mnie niesłychanie przykro, że to przekracza zakres mojej władzy... Zwłaszcza, że pan Mac Gregor osobiście podyktował umowę z panem profesorem, w której, jeśli się nie mylę, znajduje się zastrzeżenie wyraźne co do wykopalisk, „o ile znajdują się przy robotach ziemnych, gdyż na poszukiwania nie należy tracić pieniędzy i czasu“. Może pan professor raczy przypomnieć sobie ten ustęp, o ile go zgoła zauważył...

Czy on go zauważył? Dr. Zwang zżyma się gniewny i dziwnie wzburzony. Czy zauważył? Wszak oddawna wyrzuca sobie, że zgodził się na warunki tak krępujące. Bo, jeśli młody uczoney przyjął

czasowo niegodne siebie zajęcie przy budowie hotelu, jeśli poddał się nawet niektórym wymaganiom upokarzającym, to uczynił to rzeczywiście nietyle skuszony płacą wysoką, ile szczerą miłością nauki i nadzieją, że na tem, tylekroć historycznym wzgórzu, dokona odkrycia wielkiego, wsławi swoje imię i zasługą zdobędzie katedrę. Dlatego podjął się i obowiązku „przystępnego zestawienia całego historycznego, archeologicznego i artystycznego materiału, mogącego służyć przedsiębiorstwu do reklamowania hotelu“. Dlatego przyjął „kierownictwo artystyczne przy zdobieniu hotelu i obowiązek dostarczania dekoratorom kartonów tak z wzorami ornamentacyjnymi, opartymi na autentycznych motywach kartagińskich, jak i z historycznymi dekoracyami ściennymi, wykonanemi z ścisłością naukową i smakiem wykwiutnym“. To zajęcie uśmiechało mu się nawet. Wielki erudyta, głęboki znawca wszystkich stylów, a przytem rysownik wprawny, dr. Zwang sprowadził sobie z Monachium na wykonawcę swych szkiców młodego malarza z wykształceniem gruntownem, któremu mógł zaufać; rokował sobie więc po tem zajęciu rozrywkę przyjemną i zadowolenie wewnętrzne. A jednak... Wziął się do roboty z zapałem i, gdy przyjechali dekoratorzy francuscy, przedstawił im cały szereg fryzów, plafonów i dekoracyi ściennych z kapłanami Baala, Hamilkarami, Hannibalami, Scypionami, nawet Maryuszem, płaczącym na gruzach. Rozwinał kartony z dumą, pewny, że i najuczciwszy profesor nie znajdzie w nich usterki stylowej, ani omyłki historycznej. Tymczasem ci malarze pokojowi, ci rzemieślnicy — nieuki wykonywali je wprawdzie bardzo zręcznie, ale krzywiąc się najwidoczniej

i lekceważąco wzruszając ramionami. Zwłaszcza jeden, młody, zuchwały i zarozumiały czeladnik, nieznośny „długowłosy żółtodziób“ (jak go dr. Zwang przezwał), smarkacz niedowarzony z pretensjami artystycznymi (może go tam i wypędzili z jakiej akademii, bo coś niecoś z malarstwa liznął), parskał mu wręcz w nos śmiechem bezczelnym, natrząsał się zeń otwarcie i na jego pomysłach ostrzył sobie zęby z werwą i zajęciem prawdziwego, paryskiego *rapina*.

Dr. Zwang brał te przycinki do serca, choć starał się z tem nie zdradzać. Był on zgoła człowiekiem dobrym, bez wszelkiej złości, nie tyle zarozumiałym, ile ceniącym w sobie godność nauki, którą posiadał, i uważającym „metodę naukową“ za niezawodny klucz do wszelkich zagadnień. Dla *profanum vulgus* nie czuł w sobie pogardy, raczej—dobrotliwą życzliwość, ujawniającą się chęcią uprzyśtępnienia prostaczkom tych rozkoszy duchowych, które on czerpał z swej wiedzy niepośledniej. W duszy cierpiał więc nad tem, że płody jego ducha nie działały na wykonawców podniosłe uszlachetniająco, pobudzając ich raczej do niesmacznych drwinek, w których celował „długowłosy żółtodziób“. Poważny uczony byłby najchętniej unikał widoku zjadliwego pyszalka, gdyby nie to, że właśnie, jako uczony, zawdzięczał mu swe najpiękniejsze odkrycie naukowe. Rzecz niedouwierzenia i nawet upokarzająca; ale dr. Zwang był człowiekiem sumiennym i prawym, więc nie zaprzeczał faktom niewątpliwym, choć na tem cierpiała jego miłość własna.

Dr. Zwang miał bowiem jeszcze jeden obowiązek, ten, dla którego tutaj przybył, dla którego zno-

sił liczne przykrości i upokorzenia w nadziei, że odplaci je sobie sławą przyszłą. Był mianowicie samowładnym kierownikiem poszukiwań archeologicznych i wykopalisk. Wprowadzie i to samowładstwo ograniczył twardy „tyran“ zastrzeżeniem, brzmiałem wedle umowy: „wykopaliska te, o ile znajdują się podczas robót ziemnych — gdyż na poszukiwania nie trzeba tracić pieniędzy i czasu — stają się wyłączną własnością przedsiębiorstwa i zużytkowane będą, wszystkie bez wyjątku, pod kierunkiem dr. Zwanga, do takiego ozdobienia hotelu, by urokiem swej zamierchłej starożytności budziły wspomnienia miłe i ściągały do hotelu podróżnych“. Młody uczony nie tracił jednak animuszu: *Grand Hôtel Hazdroubaël* był ogromny i jeszcze otoczony miał być ogrodem, a budowany był na pochyłości stromej, więc dr. Zwang nie wątpił, że przy skopywaniu dla niwelacyi tak wielkiego kawałka góry natrafi na jakieś wykopalisko ciekawe.

Nadzieje te ziściły się do pewnego stopnia. Pod prawem skrzydłem budowli, gdzie najpierw rozpoczęto roboty, znaleziono mozaikę bizantyńską, połamane kolumny z cennego i rzadkiego marmuru i kilka odłamków i okruchów rzeźb, których skompletować się nie dało. Środkowa część budowy dostarczyła materiału obfitego, ale przeważnie budowlanego: natknięto się na rzymskie mury z ciosowego kamienia, którego (ku radości *signora Spinelli*) starczyło na całą podmurówkę frontową. Natrafiono również na wielkie zbiorniki wody, które przyszło rozbijać z mazołem. Przy rozsadzeniu ich dr. Zwang nie pozwolił używać dynamitu, co (ku zmartwieniu *signora Spinelli*) przysporzyło wprowadzie roboty, ale

sprawiło, że znalezione na dnie jednej cysterny dwa posągi nie wyleciały wraz z cysterną w powietrze. Były to bardzo piękne okazy rzeźby grecko-rzymskiej, zupełnie nieuszkodzone i tak zachowane, że młodociany Pan i cudnej urody Rusałka robiły wrażenie, jakgdyby dopiero co były wyszły z pracowni artysty. Dr. Zwang tłumaczył to w ten sposób, iż zapewne ongi rozbestwieni barbarzyńcy, podczas pustoszenia miasta, chcieli potopić te nagulce i wrzucili je do cysterny pełnej wody, skutkiem czego opadły na dno miętko. Gdyby je byli pozostawili na wierzchu nietknięte, lub przykryli nawet warstwą gruzu, nie byłby pewno uniknęły zwykłego losu, czyhającego tutaj na każdy marmur, czy to kolumnę, czy posąg: Arabowie byliby je odgrzebali, ułożyli w kółko i w środku koła rozpalili wielkie ognisko, by otrzymać z marmuru wapno, potrzebne do bieleńcia domów.

W myśl umowy, wszystkie te zdobycze, wydate ziemi, dr. Zwang wyzyskał gwoli ozdobie hotelu z wielką znajomością rzeczy i smakiem, napisawszy wprzód o nich sporych rozmiarów rozprawę, z której też miał prawo być dumnym. Gdy zaczęto brać fundamenty pod skrzydło lewe, a zwłaszcza gdy jęto się odcinania góry u stóp ulubionego koczowiska berberyjskiego, rzecz zrazu zapowiadała się dobrze. W niewielkiej głębokości odkryto sklepienie wywrócone, o którego bizatyńskim pochodzeniu świadczyły rurki gliniane, wkładane końcami jedna w drugą i tak wspierające się nawzajem, że stanowią podstawę nieugiętą bizantyńskich łuków. Pod sklepieniami nic jednak nie było, a gdy przekopano się przez całą, grubą warstwę gruzów aż

do ziemi litej, dr. Zwang dał za wygraną i już rzadko się tam pokazywał. Rozczarowanie było przykre: znalazł, co prawda, rzeczy bezsprzecznie cenne ale w ich rzędzie brakło wykopaliska jakiegoś niezwykłego, któreby imię jego uczyniło sławnem po wszystkich wszechnicach niemieckich.

Wtedy to zaszedł wypadek, który onego chły-stka i nieuka, „długowłosego żółtodzioba“, uczynił współpracownikiem naukowym poważnego uczonego i docenta historii sztuki! Dr. Zwang pomni tę scenę żywo. Zadzierzysty młokos samochwalca zwał się Jean-Jacques Duval, ale prozaicznego „Duvala“ trzymał w tajemnicy, zadawalniając się za imię i nazwisko poetycznym Jean-Jacques'em: „miano to — mawiał — któremu i ja nie zrobię wstydu!“ Starsi koledzy nazywali go mniej poetycznie po prostu: „zieloną małpą“.

I doprawdy rzetelnie na to przezwisko zasłu-giwał śmiesznie pretensjonalny smarkacz-gołowąs; tak ucharakteryzowany na „nieocericznego geniusza“, jak obecnie, nawet na Montmartre, najrozczochrań-szy „cygan“ ubierać się nie waży. Onego dnia dr. Zwang zastał „zieloną małpę“, usadowioną na wysokiej drabinie, z krótką fajką w zębach, pędzlem w wyciągniętej ręce, z przymrużonemi oczyma i w tył wygiętą głową, jak gdyby w oczekiwaniu natchnienia. Wielka, płowa szopa włosów długich spadała mu z pod aksamitnego biretu na czoło i kłębiła się aż na ramiona: ubrany był w czarną, aksamitną kurtkę, głęboką wyciętą koszulę, przepasa-ną szalem czerwonym, i szerokie szarawary *à la zouave*; bose stopy w sandałach, a na palcach nóg grube, arabskie pierścienie złociste z klejnotami fał-

szywemi. Istna „zielona małpa“! Gdy dr. Zwang rozwinął nowy karton, „długowłosy żółtodziób“ rzucił nań oczyma, poczem zawrócił je w sufit, ramiona wznosił w górę i wielkim głosem zawołał:

— Święty Molochu, patronie! Gdzie chowasz zbawcze swe ognie? Rzygnijże niemi, a żywo, na to dostojne dzieło męża równie uczonego, jak niemieckiego! Nie dopuść, bym, patrząc na afrykańskie dziwy, *to* malować musiał od zorzy do zmroku. Ja Jean-Jacques, którego i uczeni i głupcy mianują zgodnie „długowłosym żółtodziobem“ i „zieloną małpą“, błagam cię: ulituj się nademną, o Molochu! Wejrzyj na szczęk mych od ziewania opuchłe zawiasy!

Skończywszy tę uroczystą inwokację, „zielona małpa“ opuściła ręce, złożyła je błagalnie i prosić ją:

— Studnio wszechmądrości! Ozdobo wszechnic transreńskich! Dajże mi pan raz coś wymalować, bym choć godzinę wytchnął od ziewania! Nie? To wymaganie za wielkie? Więc daj mi pan ścianę, jedną jedyną ścianę, o uczony samodzierzco zdobnictwa kartagińsko-hotelowego, bym mógł nachlastać na niej, co mi się żywnie podoba! Odplacę ci za to stokrotnie.

— I cóż to pan chcesz na niej namalować, panie geniuszu malarsko-pokojowy?

— Bądź co bądź; byle pokój był temu domowi, a nie utrapienie i nuda wieczysta. Bądź co bądź; byle dzierząc pędzel w garści, nie w księgi patrzeć, ale w błękit morza. Bądź co bądź, byle, malując, pomnieć, że ze szczytu Byrsy punickiej trzydzieści wieków patrzy na Jean-Jacques'a!

— Nie zazdroszczę trzydziestu wiekom.

— Lecz kto wie, czy tobie zazdrościć nie będą wieki, żeś pan talent Jean-Jacques'a odnalazł w zarodku. Daj mi pan tę jedną ścianę, jedyną! Wszak pan mądry, a ja głupi, więc stworzeni jesteśmy, by się wzajem uzupełnić. Podajmy sobie dłonie, a staną się rzeczy wielkie! Słuchaj pan: — za tę jedną, jedyną ścianę odpłacę ci stokrotnie. Źle mówię: — miliardkrotnie! Wskażę panu wykopalisko, które uczyni cię sławnym po wiek wieków; wykopalisko, o jakim i marzyć nie śmiałeś. Słuchaj pan: wskażę ci miejsce, gdzie w łonie ziemi leży grobowiec założycielki Kartaginy, tylekroć pocieszanej, niepocieszalnej wdowy-dziewicy-bogini: grobowiec Didony-Elissy-Baalet-Istar-Asztaroth-Tanit-Athara-Tiratha-Rabbetany!

I, poważniejąc nagle, dodał:

— Przysięgam i dotrzymam. Zresztą, cóż pan ryzykujesz? Obiecay mi pan ścianę *po* odnalezieniu zagadkowego grobowca. Jak nie będzie grobowca, dyabli wezmą i moją ścianę i ja w takt polotu pańskiej myśli twórczej ziewać już będę do końca cierpliwie i cicho.

Uczony taki, jak dr. Zwang, nie mógł oczywiście traktować poważnie przechwałek kudłatego gołowąsa. Ale złośliwa „zielona małpa“ swą propozycją trafiła w samo sedno jego marzeń skrytych. A nuż też? Ostatecznie ryzykował rzeczywiście niewiele. Co prawda, wbrew wszelkim naleganiom „długowłosey żółtodziób“ odkryć nie chciał podstaw, na których swą pewność opierał, tłumacząc, że „jeśli głupcy zrozumieć nie mogą mędrców, choć ci wyrażają się mądrze, jakże mędracy przeniknąłby mogli zawrotną głębinę myśli głupców, odzianą w słowa głupie“! Ze jednak

Jean-Jacques o grobowcu Elissy mówił z takim przekonaniem, jak gdyby oglądał był go, wskroś ziemi, na oczy własne, dr. Zwang uległ pokusie i w tajemnicy największej przyrzekł młokosowi ową ścianę upragnioną po znalezieniu grobowca.

Tajemnicą była tem niezbędniejsza, że historyk sztuki pamiętał owo zastrzeżenie co do „nie tracenia pieniędzy i czasu“ na poszukiwania zabytków. Po długiej więc konferencji z „długowłosym żółtodzióbem“ jedynie pod pozorem „ogólnych wymogów estetycznych“ skłonił pana Spinellego do zarządzenia skopania dalszego kawałka owej góry, co stromą ścianą wznosiła się od lewego skrzydła przyszłego hotelu aż po koczowisko Berberów u jej szczytu.

I, o dziwo, w głębokości dwunastu metrów pod poziomem, natrafiono na dwa głazy, oparte o siebie skośnie krawędziami, niby szczyt dachu: niechybne zwiastuny ukrytego zawsze głęboko pod ziemią cmentarzyska punickiego! Wtedy spokojnego uczonego ogarnęła wręcz gorączka. Na podstawie badań własnych, nie przepowiedni zarozumiałego chłystka, wiedział, że na wzgórzu, w które się wkopywał, stało ongi, przed wiekami trzydziestoma, pierwotne, prastare miasto, nim jeszcze Didona-Elissa w głębi półwyspu, na najwyższym jego szczycie, wzniosła zamek Byrsę, zarodek przyszłej Kartaginy. I tu, pod tem miastem przedfenickiem, znalazł grobowce punickie! Skąd się tu wzięły? Prawda, że na jakie dwa wieki przed przybyciem Elissy (o ile Elissa zgoła istniała!) osiedli tu fenicy przybysze; ale uczony wiedział dobrze, że owi przekupnie z Tyru usadowili się byli na innem wzgórzu, a nie tutaj, gdzie stało już odwieczne „stare miasto“, zamieszkałe przez

wojowniczych i zazdrosnych, dzikich Berberów, czy się oni wówczas zwali Numidami, czy Libijczykami. Więc co? W głowie zaczęło mu kotłować, cały ogrom wiadomości, rozmieszczonych w niej systematycznie, puścił się w szalone, zawadyackie płąsy z hipotezami najdziwaczniejszemi, i uczony byłby może całkowicie głowę postradał, gdyby go nie była przywołała do rzeczywistości „zielona małpa“, klepiąc po ramieniu poufale i skrzeczając nad uchem:

— A co, kolego kochany! A nie mówiłem?

Poczem, zmierzywszy cały oplaz skopanej góry od dołu do szczytu i kinąwszy powitalnie ręką ku przykucniętym tam Berberom, (którzy widocznie nie poznali się na tej grzeczności, gdyż ani drgnęli), zawyrokował:

— To jeszcze nic. To jeszcze nie grobowiec Elissy. Kop pan jeno dalej.

Dr. Zwang kazał kopać. I niebawem natknął się na cały szereg, rzędem obok siebie ustawionych, sarkofagów, wykutych w kamieniu, w których, po uważnem zbadaniu, rozeznał trumny kapłanek Tanity.

— Niesłychane! — mówił sam do siebie — tego jeszcze nigdy nie znaleziono. Same kapłanki... trumny jednakowe, widocznie robione równocześnie... a ustawione jedna obok drugiej, jakgdyby siedem kapłanek równocześnie naraz pogrzebano! Co to ma znaczyć?

— Co ma znaczyć? Poprostu, że kapłanki strzegą grobowca bogini. Juściż taka pani, jak Elissa, nie wstępowałaby do grobu sama jedna bez przyzwoitego orszaku. A co? dodał, wstrząsając dumnie kędzierzawym gąszczem swej grzywy srogiej, będą paćkał ścianę?

Tuż za szeregiem sarkofagów wyłoniły się z ziemi przy dalszem kopaniu trzy wielkie głazy płaskie, w równych odstępach rozmieszczone, z gruba prostacko ociosane, a z przodu ozdobione rzeźbami tak nieudolnemi, iż nie ulegało wątpliwości, że pochodziły z bardzo pierwotnej zamierzchłej epoki punickiej. Dr. Zwang odczyścił starannie rzeźby, i przekonawszy się, że na bocznych kamieniach znajdują się jednakowe wizerunki, wyobrażające niewiastę, trzymającą w dłoni gołębia, a że na kamieniu środkowym widniała niewiasta, stojąca na grzbiecie lwa, uczony nie mógł zapanować nad wzruszeniem i drżącym głosem zawołał:

— Tanit-Astarte-Elissa!

— Na kolana! — dodał „długowłosa żółtodziób” z rękami w kieszeniach, a fajką w zębach, — stoimy u probu boskiego grobowca.

Dr. Zwang nie padł na kolana, w takiej chwili byłoby to stratą czasu nie do darowania, ale co tchu przystąpił do wydobywania ciężkich głazów z symbolami patronki-bogini. Nie mógł się nimi dosyć nacieszyć. Odfotografował je ze wszystkich stron, odrysował, odmalował: to już jest tej miary odkrycie, dzięki któremu imię jego zastynie szeroko! I gdy wpatrywał się w upojeniu radosnem w te jedyne, najdawniejsze zabytki pra-kartagińskiej kultury, radość znikła nagle z jego twarzy, a wystąpiło na nią przeżenie. Uczonemu zdawało się, że na tym środkowym, największym głazie, pod postacią bogini, na lwie stojącej w postawie tak niezrównanie hieratycznej, jaką starożytność wiekami naśladowała z najdawniejszych, naiwnych pomników rzeźby, że u stóp bogini czyta napis: „wszystkie wykopaliska stają się

wyłączną własnością przedsiębiorstwa i zużytkowane być mają, wszystkie bez wyjątku, pod kierunkiem dr. Zwanga, do takiego ozdobienia hotelu, by urokiem swej zamierchłej starożytności budziły wspomnienia miłe i ściągaly do hotelu podróżnych“! Nie, to niepodobna! (Napisu takiego rzeczywiście na kamieniu nie było.) Dr. Zwang toczyć począł z sobą walkę wewnętrzną. Wszak te trzy kamienie z nieudolnemi, prostackimi rzeźbami, przesłane z rozprawą wyczerpującą do muzeum berlińskiego, dadzą mu niezawodnie i katedrę, i uznanie, i zaszczyty; wmurowane zaś w ścianę hotelu, będą doprawdy jego ozdobą marną, jeśli ozdobą będą zgoła! Z jednej strony obowiązek święty wobec nauki, no i sława; z drugiej — zmarnowanie pierwszorzędných okazów, niemal świętokradztwo. Ale z panem Mac Gregorem niema żartów, on nigdy słowa nie cofa i z praw swych nie ustępuje ani krzty. Tak, ale dr. Zwang także słowa swego nie cofnie i, gdy przyrzekl, dotrzyma! Rady niema i niema wyjścia innego.

Młody historyk sztuki z bólem serca wygotował plan, wedle którego dwie boginie z gołębiem w ręce stać miały z obu stron głównego wyjścia do hotelu, a bogini na lwie umieszczona być miała nade drzwiami. W liście, uwiadamiającym o tem pana Mac Gregora, dr. Zwang, dodał prośbę osobistą o pozwolenie ogłoszenia o tych wykopaliskach książki osobnej, ściśle naukowej, z wizerunkami zabytków, których prawo reprodukcji zastrzeżone było dla przedsiębiorstwa. „Tyran“ bardzo uprzejmie pozwolenia udzielił z warunkiem, że na pierwszej stronnicy okładki książki znajdować się będzie widok hotelu z boginiami u wejścia, że w tekście naukowym trzechkrotnie

podniesione będzie wyjątkowe położenie hotelu i jego naukowa artystyczna doniosłość, że wreszcie na stronie ostatniej umieszczone będzie ogłoszenie hotelu (bezpłatne), które wypracuje biuro reklamowe przedsiębiorstwa. W końcu „tyran“ dodał przestrożę, by na dalsze poszukiwania nie tracono czasu, gdyż wyniki dotychczasowe wystarczają mu zupełnie.

— Kop pan jeno dalej, stoimy u progu grobowca! — powtarzał „długowłosy żółtodziób“.

Jak tu kopać, gdy „tyran“ pozwolenia stanowczo odmawia, a *signor* Spinelli grzecznutko, ale uparcie robotników nie daje? Jak nie kopać, gdy stoi się u progu jednej z najciekawszych zagadek historycznych, gdy wszystko każe przypuszczać, iż rzeczywiście stoi się przed grobowcem, kryjącym od trzydziestu wieków tajemnicę zagadkowej Elissy historycznej? mitologicznej? czy tylko legendarnej? I on, dr. Zwang, cofnąć się ma przed rozwiązaniem tego zagadnienia? Prawda, urwisko góry obciętej ma już trzynaście metrów wysokości, a chcąc wkopywać się dalej, trzeba obcinać je znowu od samego szczytu: lecz, cóż znaczą koszty, które administrator Spinelli tak biegle oblicza na palcach, wobec doniosłości zadania?

W ciężkim tem utrapieniu młody uczonec stoczył ostatnią dysputę rozpaczliwą z administratorem przebiegłym, pragnąc go, bądź co bądź, dla swej sprawy pozyskać. Bo, cokolwiek chytry Maltańczyk mówił, on jeden mógł rzeczywiście wziąć to wobec „tyrana“ na swoją odpowiedzialność. Niestety, dr. Zwang ani się domyślał, jak zraził sobie pana Spinellogo, zarządziwszy poprzednie wkopywanie się górę „ze względów estetycznych“. Maltańczyk wszystko raczej

mógł ludziom wybaczyć, prócz jednej rzeczy: by jego ktoś wywiódł w pole! A gdy dr. Zwang, kopiąc „ze względów estetycznych“, znalazł sarkofagi, a potem glazy rzeźbione, *signor* Spinelli spostrzegł się, że „względy estetyczne“ były tylko płaszczykiem. I odtąd, zakarbowawszy to sobie w duchu, stał się dla uczonego jeszcze grzeczniejszym, ale poprzysiągł sobie, że już do żadnego odkrycia nie dopuści. I dlatego tak w porę przypomniał sobie teraz słowa umowy, „podyktowane przez samego pana Mac Gregora osobiście“, i zacierając z przejęciem dłoń, skulony we dwoje i mile uśmiechnięty, powtarzał:

— Ależ, kochany panie profesorze, dla pana — wszystko, co tylko w mojej mocy! Proszę tylko rozkazywać. Co się zaś tyczy tego skopywania góry, najchętniej! Tylko dla mego spokoju proszę uzyskać od pana Mac Gregora dwa słowa rozkazu na piśmie.

A że uzyskanie tych „dwóch słów“ od „tyrana“ było czystem niepodobieństwem, młodego uczonego opadły myśli czarne. Grzeczna, ale stanowcza odmowa administratora brzmiała mu w uszach, jak wyrok nieubłagany, a brzmiała tem uroczyściej, że wkoło nich zapanowała cisza zupełna. Rozmawiający, zacierzewieni w swej sprzeczce, nie spostrzegli się bowiem, że roboty przerwano, a wszyscy pracownicy rozeszli się na spoczynek południowy. Zauważył to teraz dopiero pan Spinelli i, wzięwszy czule uczonego pod ramię, wyprowadził go po za ogrodzenie budowli. Rad był w duszy, że swym uporem grzeczniutkim robił mu przykrość dotkliwą, a równocześnie, by samemu uniknąć przykrości, pragnął ocukrzyć mu jakoś tę pigułkę: i postawić

na swoim, i zachować z pogwałconym stosunki przyjazne. Ale chmurny dr. Zwang przerwał mu te zabiegi, odzywając się głosem niezwykle stanowczym:

— Jeśli to słowo pańskie ostatnie i jeśli nie dozwolicie mi spełnić zadania naukowego, dla którego tutaj bawię, zrezygnuję z posady natychmiast, nie dbając o następstwa.

— Jakże można mówić takie słowa! Nie, niech mi ich pan nie powtarza. Ja ich nie słyszałem, choć może byłoby moim obowiązkiem je zapamiętać. Ale nie, nie słyszałem. Zresztą nie wątpię...

— Moje uszanowanie pani baronowej! — zawołał nagle pan Spinelli, wykonywując równocześnie kapeluszem pokłon uniżony w stronę młodej kobiety zawołowanej, która, przesunawszy się obok rozmawiających szybko i zwinnie, zniknęła zaraz za zakrętem ścieżki bocznej.

Pan Spinelli, ucieszony, że znalazł sposobność urwania rozmowy niemiłej, zwrócił się teraz do uczonego z potokiem słów, których tamten nie próbował już powstrzymać:

— Pan nie zna pani baronowej? Muszę jej pana przy sposobności przedstawić. Osoba niezmiernie interesująca. Jestem dla niej z całym szacunkiem. Bardzo rozumna, bardzo dorodna, bardzo majątna, a przytem, jakże to powiedzieć? — no, interesująca, wysoce interesująca. Pan profesor słyszał może o jej, — jakże to powiedzieć? ja niczego nie twierdzę, broń Boże! — o jej tak zajmujących... przejściach podczas ostatnich zamieszek w Marokko. Przypadkiem znam wszystkie szczegóły. Niedawno w Tunisie spotkałem znajomego rodaka, który służąc w legii cudzoziemskiej, był ordynansem majora Dupont

podczas tego dziwnego zajścia, któremu major zawdzięcza sławę i jeneralski kapelusz. Wyobraź sobie, panie profesorze, że pani baronowa bawiła w Marokko u znajomych w okolicach Marakesz i z majorem spotykała się często, gdyż wszyscy europejczycy żyli z sobą blisko. Zwykły stosunek towarzyski, nic więcej. Naraz dają znać, że tubylcy zbuntowani zagrażają miastu. Major z trzema kompaniami i jedną baterią wyruszył na ich spotkanie. Ale natknął się na siły przeważające. Walka była zacięta i major swej osoby nie oszczędzał. I, kiedy ze swym ordynansem (moim rodakiem) wygalopował na wzgórze i, okryty kurzem i potem, i zziajany, oglądał przez szkła pole walki, nagle postąpił za sobą spokojny głos kobiety (pani baronowa ma głos niesłychanie miły!): „Dzień dobry, majorze. Przycwałowałam przypatrzeć się, jak pan zwyciężasz“. Major ogląda się zdziwiony i widzi obok siebie uśmiechniętą baronową w amazonce obcistej. (Pan profesor zauważył, jaka ona szczupła i kształtna?) Major wściekły zawołał: „Co pani tu robi? Tu nie dla niewiast miejsce! Proszę wracać. Zresztą źle się pani wybrała. Posłałem w ogień rezerwę ostatnią i widzę, że się cofa. Niebawem zatrąbimy do odwrotu“. Co dalej mówili, mój rodak nie słyszał; doleciały go dopiero słowa pani baronowej: „Kiedy ja chcę zobaczyć, jak pan nieprzyjaciół roztrącasz“. „Tak? — odburknął major ze złością, — to pani zobaczysz!“ Spisał konia, popędził na linię walki, zawrócił cofającą się kompanię i sam poprowadził ją na bagnety. I w ten sposób rozpoczął się ten zadziwiająco zwycięski pochód przez pustynię, który okrył majora sławą i aż nadto... wsławił panią baro-

ronowę. Mówię to panu profesorowi w zaufaniu, gdyż dla pani baronowej jestem z całym szacunkiem. Zresztą ja nie twierdzę, bynajmniej. Ale tutaj drogi nasze się rozchodzą. Moje uszanowanie panu profesorowi. Zawsze na jego rozkazy...

Podczas opowiadania administratora dr. Zwang powziął postanowienie niezłomne. Zrezygnuje, tak jest, zrezygnuje. Chybaby... Tonący brzytwy się chwyta: a nuż też ta „zielona małpa“ jeszcze coś wymyśli? Jak nie, porzuci wszystko i wyjedzie. Na to, by dla pieniędzy wyrzec się ambicyi naukowych, nie pozwala godność nauki, której oddał się w służbę.

Ale przedtem raz jeszcze rozmówi się z „długowłosym żółtodzióbem“.

III.

Na czele wykonawców, którzy pod wodzą dr. Zwanga pracowali nad wewnętrznym ozdobieniem prawego skrzydła hotelu, stał starszy malarz — dekorator, pan Robin. „Ojciec Robin“, jak go nazywano powszechnie, był prostym rzemieślnikiem, nie zdradzającym wyższych pretensyi artystycznych, ale majstrem niepospolitym i w zawodzie swym taką powagą, że ze zdaniem jego liczył się i dr. Zwang i administrator Spinelli, i sam wytworny architekt z monoklem. W przeciwieństwie wszakże do grzywiastego „żółtodzioba“, krytykującego swych zwierchników ustawicznie, ojciec Robin nie lubił wyjawiać swego zdania, twierdząc, że albo robi się coś głową własną, i wtedy tylko siebie samego pytać trzeba o radę, albo wykonywa się pomysły cudze, a wtedy najlepiej nie wścibiać w to nosa.

Wróciwszy po południowej przerwie do pracy, ojciec Robin ze zwykłą systematycznością, zdjął najpierw surdut i kamizelkę, odpiął mankiety i kołnierzyk i umieścił wraz z kapeluszem w szafie, wdział długą bluzę płócienną, na szpakowatą czuprynę nasadził białą czapkę i, ręką pogładziwszy długą, siwiejącą „napoleonkę“, wszedł dopiero do wielkiej bawialni hotelowej, nad której zdobieniem pracował. Wszedł, zatrzymał się, spojrzal na zegarek, rozejrzal się w koło i groźnie zmarszczył czoło: nie zastał

bowiem na posterunku pomocnika swego, najmłodszego czeladnika, którego trzymał krótko, nie szczędząc mu nauk, przytyków i zburzeń, a mimo to brał go zawsze z sobą do pomocy. A że Jean-Jacques odgryzał mu się zajadle, byli z sobą w ustawicznej walce, ale ciągle razem, tak że trudno było osądzić, czy ci ludzie byli sobie zaciętymi wrogami, czy przyjaciółmi najlepszymi. Jean-Jacques'a nie było na drabinie przy pracy, był jednak w sali. Łokciami wsparty o framugę okna, z głową w obu dłoniach, stał nieruchomy, przed się zapatrzony. Spostrzegłszy go ojciec Robin krząknął znacząco — to powinno było wystarczyć — a gdy „zielona mała” ani drgnęła, huknął gniewnie.

— Panie Jean-Jacques, proszę do roboty natychmiast!

Zagadnięty odwrócił z wolna głowę i jakimś przyciszonym, zmienionym głosem odezwał się błagalnie:

— Ojczy Robin, chodź pan tutaj na chwilkę.

— POCO?

— Popatrz pan, — jakie cudo, jakie cudo!

— Cudo, nie cudo, ale nasza robota jest tutaj na murze, a nie gdzieś w obłokach. Nie płacą nam za wyścibianie głowy przez okno.

Swoją drogą zbliżył się do okna, wyjrzał na świat i tak dobrą chwilę stał obok czeladnika w milczeniu.

Za oknem było rzeczywiście cudo. Nad morzem, nad pagórkami, nad całym, rzekłbyś światem zaległa jakaś bezwzględna, uroczyta cisza. Wybladłe w upale niebo czyste i, zdawało się, wskroś przejrzyste, odbijało się w zatoce nieruchomej, w skwarze zasty-

głej, płaskiej, przesiąkłej światłem, mieniającej się blaskiem jednolitym i łagodnym, w którym oko rozpoznać nie mogło barw o odcieniach niezliczonych, wzajem się przenikających i wzajem skojarzonych w jedną symfonię blado świetlną. Błyszczące ogniem spokojnym słońce oblewało zarem jednostajnym i morza i wzgórza, uświęcało spłowieło-złotem dostojnością i pustką niema kartagińskich gruzów. i wieniec pagórków okalających zatokę. i (na lewo w przedłużeniu półwyspu) — wysunięte w morze skały zwaliste, do których szczytu płasko przyłgnęła murami biało lśniącymi osada arabska Sidi-bu-Said; na prawo, w głębi zatoki, rozciągnął się nad morzem Tunis smugą białą: szeroko rozpostarty, zielenią upstrzony, taki nierzeczywisty, blado bielusięki, jak-gdyby słońce wiszące nad nim nieubłaganie, wszystek sok i wszystek miąż z niego wysssało.

— Patrz pan, przerwał milczenie „długowłosa złotodziób“, na te, wprost naprzeciw za zatoką wzgórze zębate, patrz pan na ten sterczący ponad wszystkie góry, łysy i krągły Zaghoan, którego wodą Kartagina żyła: przymróż pan i przysłoń ręką oczy: jakie to wszystko wyraźne, żadną sryzogą nie omglone, takie blizkie, choć takie odległe. Tu inny świat, jak u nas. I maluj to, patrząc naszym, do mgieł nawykłem, okiem!

Ojciec Robin drgnął żywo, ocknął się i wykrzyknął, nagle rozsierdziony:

— Idź pan do dyabła z pańskim malowaniem! Tu pan maluj na tej ścianie; za toś pan płatny, nie, żeby się gnuśnie gapić i mnie jeszcze od roboty odciągać! Malować! Widzisz no go! Artysta! Tfy! — małpa, zielona małpa! Przekalkuj mi pan ten fryz

i to migiem. Malować! Jeszcze czego! Kalkować porządnie nie umie, a chciałoby mu się malować i to jeszcze co? Jak gdyby już nie takie wspaniałości, ale cośkolwiek człowiek jako tako namalować potrafił! Nibym to ja nie próbował. Każdy za młodu głupi. No, bierz-że się pan do roboty, a żwawo!

„Zielona mała“ siedziała już na drabinie i kalkowała z ferworem i dopiero, przeczekawszy, aż Robin uspokoił się i przestał gderać, roześmiała się złośliwie i zasyczała:

— Więc to tak? To jednak się próbowało? jeno, że się nie powiodło? I dlatego zazdrości się innym i wymyśla im od małą różnokolorowych! A mnie się uda. A ja namaluję, nawet to cudo namaluję, i to tak, że aż fiu-fiu! — I zadarłszy głowę, wstrząsnął dumnie kędziorami bujnemi.

— Tak? Próżniakowi sam talent z nieba spadnie! Bo nie mówiłbym, gdyby to jeszcze coś pracowało...

— A może „to“ i pracuje? Kto jego zgadnie?

— Co? robisz pan coś doprawdy? Eh, nieciekawym. Zresztą pokaż mi to pan kiedyś; kiedyś przy niedzieli; byleś mi pan przy robocie nie przeszkadzał, bo tego nie ścierpię.

— Eh, zaraz tam pokazywać; nie mam się czem chlępić. Robi się tam coś nie coś jak jest chwila wolna, w sam raz tyle, by nie zardzewiała ręka i nie stępieło oko. Ale zaraz pokazywać... A wie pan, na co się teraz wziąłem? Bo też, czyż jest coś bardziej malowniczego od tych obrzydłych berberyjskich dzikusów! Och, moje paskudniki kochane! Wyjrzyj pan tylko: jak się to drapieźnie czai, ot tam, na szczycie urwiska! w jak dostojne fałdy układają

się ich łachmany brudne i podarte! Jaka w tych niewieścich ciałach wpołnagich gibkość sprężysta, jak zuchwale piersią obnażoną prują powietrze, a oczy ogniste ciskają błyski złe a palące! Jaka w tych dzikusach utajona groza, gdy tak przykucną bez ruchu, zwinięci niemal w kłębek, z którego wystają twarze upiornie chude, wyraziste, wyniosłe, zamknięte w sobie, nieprzystępne, zawzięte, wrogie. Och, moje paskudniki kochane! A przebiegłości myśliwskiej trzeba, aby się do nich zbliżyć z papierem i kredką: podchodzić ich trzeba, jak czajki pierzchliwe. A nieraz podszedłem niespostrzeżony i przychwyciłem na gorąco. Ale zaraz pokazywać... To, mój ojczulku, rzeczy marne, niegodne talentu Jean-Jacques'a! Bo to widzisz, talent, to jak proch, dynamit, piroksylina. Padnie nań iskra, to zaraz błysk, huk, wybuch, katastrofa, a bez iskry — nic!

— Dobrze, czekaj sobie na iskrę. Wyłysiejesz bratku, nim się jej doczekasz. A skąd to ona niby padnie?

— Skądżeby? Z pięknych, a zakochanych oczek!

Starszy malarz z podetłba spojrzął na młokosa, a potem w nos mu parsknął śmiechem wielkim. Śmiał się jeszcze w najlepsze, gdy do izby wszedł dr. Zwang. Nie zauważywszy chmurnej miny uczonego, ojciec Robin zwrócił się doń rozbawiony:

— Słyszał pan? Ta zielona małpa, to nieostrzyżone czupiradło, ten niedowarzony gołowus marzy o zakochanych w nim niewieścich oczkach! Tfy! tfy! Chybaś się pan nigdy nie widział w zwierciadle!

Czeladnik wydobyl z kieszeni lusterko i grzebyszek, rozczesal plowe kędziory na czole, wstrząsnął

w oba boki głową, by po ramionach rozwichrzyć gęstwinę grzywy niesfornej, uśmiechnął się i zawyrokował:

— Niczego.

— No, powiedz profesor sam: gdyby tę pokracczną zieloną malpę zobaczyła teraz jakaś niewiasta do rzeczy, coby sobie pomyślała o lali tak wstrętnej?!

— Niech myśli. Ja o myśli kobiece nie dbam, zwracając raczej uwagę na przynęty namacalniejsze. No, i nie mam powodu narzekać. Czasem nawet trudno podolać podaży! *A propos.* Czy'by profesor nie pomknął dziś ze mną do Tunisu? Odkryłem tam, w starem mieście, młodą arabeczkę, co tak uroczo płasa brzuszkiem krągłym... To mi taniec! Ot tak...

— Panie Jean-Jacques, proszę nie przerywać roboty!

— Dobrze, ojczulku, już macham.

Dr. Zwang, którego blaznowanie „długowłosego żółtodzioba“ nieco rozchmurzyło, rad był z tej rozmowy. Przyszedł tutaj, by naradzić się z czeladnikiem w sprawie grobowca punickiego i w tym celu chciał przeczekać, aż starszy malarz pójdzie doglądać innych robót. Przedłużając więc chętnie rozmowę, odparł:

— Nie, panie. Mnie taniec brzucha nie bawi. Dobrze jest widzieć to raz jeden, by poznać go i wziąć pod rozwagę, jako znamienny rys kulturalny, którego początki sięgają czasów zamierzchłych i wierzeń przebrzmiałych. Ale jest to rzecz zbyt brutalna, zbyt bezwstydnie wyuzdana, by dawała zadowolenie estetyczne. Natomiast przyznaję, że chętnie w Tunisie zaglądam do „Eldorado“, gdzie w pozach klasycznych

występuje artystka wiele interesująca. Ona ma do-
prawdy niezwykle poczucie harmonii i zrozumienie linii,
prawdziwie klasycznej. Taki widok jest rozrywką
szlachetną i poniekąd nawet pouczającą.

— Ja tam, — wtrącił Robin, gładząc „napole-
onkę“, — gdybym był w wieku, kiedy ląknie się
iskry z zakochanych oczu i tęskni za linią klasyczną
niewieściego ciała, nie jeździłbym za tem do Tunisu
i nie szukał tego po kawiarniach i kasynach. Ja
panów doprawdy nie rozumiem. Czyż dla was taki
publiczny, rzemiosłowy pokaz wdzięku niewieściego
nie ma w sobie czegoś odpychającego, niemal święto-
kradczego? Mnie od młodzieńczych lat urok nie-
wieści wówczas pociągał, kiedy trzeba było przeczuć
go w ukryciu i odgadnąć.

— Ej, bo ojczulek jest romantyk niepoprawny.
My lubimy patrzeć prawdzie w oczy. Precz z osło-
nami! Jak się coś ukrywa, to widocznie niema dość
powabu, by nas oczarować; inaczej nie kryłoby się,
oj nie! My nie lubimy kupować kota w worku.
Natomiast romantyczni łowcy ideałów skrytych szu-
kają ich przedewszystkiem... w worku: jak tylko zo-
baczą worek, zaraz przeczuwają, że ideał tkwi
w środku! Niech się ojczulek nie zapiera. Kiedy
onegdaj przesunęła się tuż pod oknami ta tajemnicza
baronowa, co mieszka w hotelu „ojców białych“,
a całemi dniami wałęsa się po tutejszem pustkowiu,
jak gdyby szukała, czego nie zgubiła, tak zawoalo-
wana, że nawet końca nosa nie widać, — to ojczu-
lkowi „napoleonka“ trzęsła się jak w febrze. Zobaczył
pan worek i zaraz węszył ideał!

— Słyszałem, że to osoba bardzo zajmująca, —
zauważył dr. Zwang.

— Zajmująca? — cedził przez zęby „długowłosa złotodziób” — niech sobie będzie zajmująca. Zależy to zresztą od tego, co kogo zajmuje; mnie najbardziej to, czego właśnie tajemniczej baronowej brak. Choć ona zawoalowana, jak jaka Arabka, moje oczko spenetrowało wszystko, To nie mój typ: na gębie wymokła, a w kibici glista; nie byłoby nawet czego objąć porządnie ramieniem. Oczu nie widziałem, bo (prócz woalki) zakrywa je dość urocza, długa i gęsta firanka rzęs ciemnych. Włosy, co prawda, ma ładne: i kupa tego, i niby to heban, a zamiast błękitnych ma na złość w nich przebłycki rudo-czerwone. Zresztą tajemnicza baronowa...

— Po kiego licha — huknął zniecierpliwiony Robin — zwiesz ją pan baronową tajemniczą? Co w niej tajemniczego? Czy miała przyjść do pana, przedstawić się mu i zrobić przed nim spowiedź generalną?

— Więc ojczulek przyznajesz, że miałyby się z czego spowiadać? Te jakieś romanse tajemnicze, to z poetą, to z oficerem...

— Właśnie, że nie tajemnicze! Najlepszy dowód, skoro i pan o nich słyszałeś, jak słyszeli wszyscy. Ona z niczem się nie kryje. Idzie przed siebie, gdzie losy ją niosą, na nic i na nikogo się nie oglądając.

— Broni jej pan z takim ferworem... Czyżby ją pan znał bliżej?

Ojciec Robin malował czas jakiś w milczeniu z wielkiem przejęciem; dr. Zwang przeglądał kartony. Wreszcie Robin przemówił:

— Znam i nie znam. Zdarzyło się, że, gdy ze swym mężem, bankierem greckim bez pieniędzy, baronem Rufos, przyjechała do Paryża, zamieszkali na

Batignollach w tym samym domu, w którym i ja na szóstym piętrze mieszkałem. Spotykając ją na schodach uchylałem kapelusza. Młodziutkie to było, lat najwyżej osiemnaście. Nie minęło trzy miesiące — zmiana: baron Rufos trząśł giełdą, rzucał milionami i mieszkał we własnym pałacu przy polach Elizejskich. Co się stało, że się w pół roku potem rozeszli — nie wiem. Baron dał jej podobno parę milionów przy rozstaniu: tyle też z tej fortuny ocalało. W kilka tygodni potem baron Rufos, straciwszy wszystko, w łeb sobie strzelił; wdowa gdzieś wyjechała i przez rok zaginęły o niej słydy. Nagle otrzymuję list wzywający mnie do jej willi Auteuil. Niewiele się zmieniła. Powiada mi, że w tych ścianach przeladowanych ozdobami, wytrzymać nie może, że przypomniała sobie dawnego sąsiada z Batignollów, że ja byłem dla niej zawsze tak uprzejmy, że nie odmówię jej prośbie, i tym podobne babskie ceregiele. Chodziło o to, bym ja to wszystko przemalował, jak uważam, byle było „jasno, wiosennie, świetlano, wesoło“. Obejrzałem, zrobiłem kosztorys — zgoda. Wziąłem robotników i praca szła piorunem, szła, jakby się paliło, tem raźniej, że ona, ilekroć przyjdzie, to taka radość, taka uciecha i klaskanie w dłonie: „Tak, tak; właśnie tak; ja wiedziałam, że mnie pan zrozumie“. I, nie chwalcąc się... Panie Jean-Jacques, jak pan ten fryz rysujesz! Toż on krzywy! Że też pana trzeba doglądać na każdym kroku! Natychmiast mi to wszystko zmasać i zacząć na nowo!

— Dobrze, ojczulku!

— O czem to mówiłem? Aha. Odtąd jej nie widywałem. W jakiś czas rozeszła się wieść o jej przyjaźni z panem Deloncle, młodym poetą, o którym

nikt nie słyszał. Jeździli podobno razem po Włoszech, czy Hiszpanii, czy gdzie ich tam nosiło, i Paryż byłby pewno o nich zapomniał, gdyby nie te „Wiosenne świty“. Pamiętacie, jaki to był hałas, jaki tryumf w „Komedyi francuskiej“, jakie krzyki: „Mamy wreszcie wielkiego poetę: Deloncla!“ Ja też poszedłem do teatru...

„Długowłosy złotodziób“, zajęty był pozornie całkowicie wpatrywaniem się w pierścień złocisty na wielkim palcu swej lewej nogi. Palec prężył się, odstając od podeszwy sandała i kiwał miarowo w takt jakiejś niemej pieśni, która nie przeszkodziła „zielonej małpie“ wycedzić przez zęby:

— Ojczulku, mnie się coś widzi, że uroda baronowej zawróciła ci nieco w głowie!

— Nie pleć pan bzdurów! Uroda... Jaka uroda? Chcesz, to ci powiem. Na galeryi w teatrze na owej premierze znalazłem się przypadkowo naprzeciw łoży, w której siedziała. Była trupio blada, a twarz miała tak jakimś kurczowem, bolesnem napięciem wykrzywioną, że wydała mi się ohydnie brzydką. Wyszedłem nawet po drugim akcie...

Mówiąc to, ojciec Robin zrobił przypadkowo ręką ruch tak nieopatrny, że dwa garnki z farbą spadły z łoskotem na podłogę. Jean-Jacques zeskokczył migiem z drabiny i zakrzętnął się około garnków, przygotowując nową farbę, a Robin stał zakłopotany, mrużąc pod nosem: „Nigdy mi się to nie zdarzyło“. Gdy się uspokoił i wziął z powrotem do roboty, Jean-Jacques zapytał:

— A cóż się stało z poetą, jakoś o nim nie słychać.

— Ano nic nie słychać. Już coś czwarty rok czy piąty, jak nic nie napisał. Baronowa wyjechała na

wschód za interesami, a on zdaje się, zarzucił poezję i, jak słyszę, został krytykiem w „Debatach“.

— A historia z tym oficerem?

— O oficerze nic nie wiem. Co mię obchodzi oficer? Ależ panie Jean-Jacques, ten ornament rysujesz do góry nogami! Miejże pan trochę zastanowienia.

— Co do oficera — wtrącił dr. Zwang — słyszałem tę historję od pana Spinellego, ale jej już nie poskładałem. Coś w tym rodzaju, że dzięki baronowej jakiś major dokazał cudów waleczności i został generałem. Baronowa przynosi widocznie szczęście.

Administrator Spinelli, który przed dobrą chwilą wślizgnął się chyłkiem do sali i przysłuchiwał rozmowie, oznajmił teraz swą obecność krząknięciem, poczem zauważył:

— Przepraszam, że i ja pozwolę sobie wtrącić do rozmowy swoje trzy grosze. Baronowa, powiadacie panowie, przynosi szczęście. Takby się z pozoru wydawało... Ja sam nie mam zdania, ale niektórzy ludzie twierdzą, że właśnie przynosi nieszczęście. Nie wiem, czy panom wiadomo, że generał Dupont ma już dosyć sławy i trudów i woli wypoczywać na wawrzynach. Wiem z pewnego źródła, że stara się o posadę komendanta „Inwalidów“. W sile wieku! to doprawdy zadziwiająca i, śmiem dodać, zasmucająca. Wogóle, gdybym miał koniecznie sformułować swoje zdanie... Ja miałem zaszczyt przedstawionym być pani baronowej.. Osoba ze wszechmiar godna, osoba majątna; słowem, mam dla niej cały szacunek. Jedno mnie tylko niepokoi, ponieważ niepokoi, mianowicie ten jej na osoby...

jej blizkie wpływ, że tak powiem, destruktywny. Przepraszam pana profesora; czy użyłem dobrego wyrażenia się: destruktywny? Nie chciałbym być źle zrozumianym. Ale, bądź co bądź i ś. p. pan baron Rufos, i, obiecujący poeta Deloncle, i generał Dupont, wszyscy trzej, zdaje się, że odplacili, przynajmniej poniekąd odplacili zblizenie się do pani baronowej złamaniem kariery. Ja nie twierdzę, może to czysty przypadek...

— A toś pan wymyślił! — przerwał mu Robin, — a czemu oni byli, nim się z baronową spotkali? To są rzeczy o wiele głębsze, niż wiara zabobonna w przynoszenie szczęścia lub nieszczęścia.

Pan administrator uśmiechnął się, skłonił uprzejmie i już usta otwierał do odpowiedzi, kiedy do sali wpadł posłaniec z telegramem. *Signor Spinelli* otworzył depeszę, rzucił na nią okiem i zadrgnął. Natychmiast wszakże opanował się, ozdobił usta najpiękniejszym uśmiechem i kiwając się nad depeszą rozwarła, jak gdyby chciał złożyć jej czołobitność, zawołał:

— Jakaż szczęśliwa, jakaż radosna wiadomość! Pan Mac Gregor zaszczyca nas swoją obecnością! Może nawet już dzisiaj nadjedzie. Panie Robin, niech pan pokaże mi uprzejmie, stan swoich robót, bym mógł przygotować zestawienie ogólne.

Skoro tylko wyszli, dr. Zwang żywo podskoczył do czeladnika i zawołał:

— Czy pan wiesz, jak sprawy stoją! Spinelli za nic w świecie na dalsze kopanie nie zezwoli bez wyraźnego rozkazu pana Mac Gregora, a temu ani śmiem o tem wspominać. Czyż mam się wyrzec wszystkiego w chwili, kiedy stoimy niemal u celu? Co robić? Niech pan poradzi, co robić? Oświad-

czyłem Spinellemu, że albo zbadam rzecz do dna, albo wyjadę natychmiast!

— Za tę chwilę dzięki ci składam, o Baalu nad Baale! — zawołał, zawracając oczyma, młokos, — do mnie, do narwanego świszczypały, „długowłosego żółtodzioba“ i notorycznej „zielonej małpy“ przychodzi oto przedstawiciel wiedzy bezdennej, rozwagi żrałej, i spokoju niemieckiego po pouczenie i otuchę! Pouczenie brzmi: uszy w górę! i głowy nie tracić! Otucha zasię: do boskiej Elissy dotrzeć można i bez podstępnego Maltańczyka, (który oby się własną chytrnością zadławił!) i bez gromowładnego „tyrana“. Niechaj ma głupota skrzepi pańską mądrość i oświeci. Zakaz Spinellego nie przeszkodził mi podłubać pazurami w skopanem urwisku tu i owdzie, zwłaszcza owdzie. Kiedym malował sufity u „ojców białych“, nim tu się zaczęła robota, pociągałem czasem za wielebny język ks. Michała, który pod swym habitem białym kryje więcej uczoności, niżli jej znaleźć można za całym tuzinem profesorskich okularów, szlifowanych w Berlinie. A już w sprawach wykopalisk kartagińskich — to taki majster, że niech go dya..., niech go anieli wezmą! Otóż z jego słów wymiarkowałem, że tak ważnej osoby, jak zagadkowa ś. p. Elissa, szukać nie należy na tym samym poziomie, co pospolitych kapłanek. Siedzi zapewne o wiele głębiej, siedzi, jako sama Prawda. prawdopodobnie we własnej studni, przykrytej wielkim głazem. Wprost zatem za miejscem, gdzie stał kamień środkowy z boginią na lwie, drapać począłem ziemię pod urwiskiem. I dodrapałem się.

— Cóż takiego?

— Na razie niewiele. Ale kamień jest: płaski a zwalisty kamień. Różkiem wystający z pod gnio-
tającej go góry. Zatem którejś niedzieli, gdy „tyran“
wywietrzeje, a Spinelli wyjedzie do Tunisu hołdować
sprosnościom, popołudniu, albo wieczorem, gdy żadna
żywa dusza nie zagląda na budowę, — wziąć paru
Arabów z łopatami, podkopać ostrożnie górę tylko
tyle, by odsłonić ów kamień, odwalić go, Arabów
napędzić i z latarką spuścić się po sznurze do studni.
nikomu nie opowiadając. Rzekłem.

— Co? Jak złodziej zakradać mam się do
grobowca, kryjącego tajemnicę, obchodzącą cały świat
uczony?

— Nie? To dobrze. Ze mną, jak z dzieckiem.
Mówmy o czymś innym. Co profesor sądzisz o osta-
tniej mowie Roosevelta?

— Panie Jean-Jacques, to sprawa zbyt ważna..

Wtem ktoś zapukał i w drzwiach rozwartych
ukazała się barczysta postać w habitcie białym z długą
brodą czarną.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... Ah, ojciec Nikodem! Jakcesz
się cieszyć. Czem możemy służyć?

— Czy nie zastałem pana administratora? Mó-
wiono mi, że jest tutaj. Mam do niego mały interes.

— Cóż takiego? — zapytała niedyskretnie „zie-
lona małpa“; — może mógłbym pośredniczyć. Cieszę
się jego względami wyjątkowymi.

— Drobiazg. Ale wolę załatwić to osobiście.
Panowie przestaliście skopywać górę w północno-
zachodniej stronie za hotelem. Skutkiem tego hotel
jest na dole, a drobny skrawek waszej parceli po-
został na górze. I nam on niepotrzebny. Ale nicby

nam nie szkodziło i wam zrobić przysługę sąsiedzką i zaokrąglić inną parcelę, włączając w nią ten niepotrzebny wam skrawek. Co do warunków... Ale słyszę obok głos pana Spinello. Panowie wybaczą...

Gdy drzwi zamknęły się za mnichem, Jean-Jaques szepnął w ucho uczonemu:

— A co? zważały klechy pismo nosem i chcą od nas Ellisę wycygać!

— Pan przypuszczasz? Czyżby ojciec Nikodem wiedział coś o grobie Elissy?

— On? nic a nic. On zna się tylko na handlu i interesach, a ani się nie domyśla, że Kartaginę kiedyś założono. A pan byś chciał, żeby przyszedł do nas sam uczony ks. Michał i zapytał wprost, ile pan żądasz za milimetr sześcienny grobowca wielkiej Didony?

Drzwi się znów rozwarły i na progu stanął pan Spinelli. W rozmowie z ojcem Nikodemem kłaniał mu się ustawicznie, trząsał oburącz jego prawicą i uśmiechał się słodko.

— Ależ wielobny ojcze, — prawil — czemużby nie? Rzecz wydaje mi się raczej korzystna. Odmnie to jednakże nie zależy, ale dzisiaj przyjeżdża pan Mac Gregor: pomówię z nim o tem i rzecz poprę najgoręcej. Oddacie nam panowie prawdziwą przysługę, ten skrawek jest nam rzeczywiście zbyt teczny. A gdyby nawet... Wszak my jesteśmy wiernymi synami Kościoła. Skoro życzą sobie tego nasi ojcowie duchowni... Nie wątpię, że poprze mnie i pan architekt de Vieilleville...

Na niego liczyć możemy zawsze. To jest dawny przyjaciel zakonu.

Twarz Maltańczyka zajaśniała jeszcze czulszą serdecznością, gdy zwrócił się teraz do dr. Zwanga ze słowami:

— Czy mogę panów prosić, byście raczyli być dzisiaj moimi gośćmi w hotelu „ojców białych“? Pan Mac Gregor tam zajędzie, a jak panowie wiecie, lubi mieć współpracowników pod ręką na wypadek, gdyby potrzebował jakichś wyjaśnień. Liczę na ich łaskawość.

— Masz pan słuszność, — szepnął dr. Zwang gorączkowo, gdy administrator odszedł z zakonnikiem; — nie można tracić czasu. Trzeba się tam dostać coprędzej i cichaczem.

— Tylko spokojnie, by się przedsięwzięcie powiodło, potrzeba dwu rzeczy: zimnej krwi i mej obecności. Inaczej za nic nie ręczę. Wszak wszystko, com panu zapowiadał, sprawdził się; niech mi więc pan i w przyszłości zawierzy. Ja się nie obawiam ani „tyrana“, ani administratora; ale spotkać możemy się z innemi trudnościami, może nawet niebezpieczeństwem. Więc powtarzam: zimna krew i moja obecność.

— Cóż się stało, iż pan stał się taki poważny, niemal uroczysty?

— Odpowiem panu jego słowami: sprawa zbyt ważna. Ale dość już tego. A teraz, czyby pan nie ulitował się mego nieuctwa i o jednej rzeczy mnie nie pouczył? Ilu mianowicie miast zwałiska złożyły się na tę kupę gruzów, na której wznosimy „*Grand Hôtel Hazdroubaël*“?

— Poczekaj pan, mogę obliczyć. Było tedy najprzód to „stare miasto“ przedpunickie, Kambe. Potem Kartagina Didony, zburzona przez Scypjona, wraz Magalią, czyli Neapolis, która do niej tam,

od północnego zachodu, przyrosła. Za panowania rzymskiego zaczął miasto odbudowywać najprzód Caius Gracchus z nazwą „Junonia“, ale nie dokonał dzieła, jak i później Cezar. Dopiero Augustus dał podwaliny wspaniałej Kartaginie rzymskiej z milio-
nem mieszkańców. Zburzyli ją Wandalowie, by ze zwałisk odbudować sobie stolicę, która była tylko cieniem miasta rzymskiego. Tę wandalską stolicę zniszczył na czele hufców bizantyńskich Belizar i założył na zgłiszczach obronną, bizantyńską „Justinianę“. Tę znów Arabowie obrócili w perzynę tak doszczętnie, że przez lat 200 była tylko pustka. Na pustce Saraceni wzniesli nowe miasto, które Berberowie zapewne zrównali z ziemią. W XVI wieku była tu mała osada, zamieszkała przez 400 rolników i pasterzy, którą zmiotli z powierzchni Hiszpanie. Odtąd te wzgórza były dla tubylców pastwiskiem, a dla Europejczyków kopalnią marmurów. Teraz dopiero poczyną się wznosić...

— Miasto z rzędu dziesiąte. To tylko chciałem wiedzieć. I teraz z tem większym naciskiem muszę panu powtórzyć: zimna krew i moja obecność. Niech mi pan zawierzy, słów mych nie rozumiejąc, jak ich pan nie rozumiał, gdym wyprorokował mu grobowiec dokładnie. Albowiem, gdy przemawia Jean-Jacques, gdy sam „długowłosy żółtodziób“ ogłasza słowa wyroku nieodmiennego, a „zielona małpa“ wieszczy, miotana duchem proroczym, — klękajcie narody, a mądre profesory słuchajcie w należytem ogłupieniu! A teraz — posłuchanie pańskie skończone; albowiem na przyjęcie u pana administratora muszę uczynić się pięknym, — jeśli to zgola możliwe — jeszcze piękniejszym!

IV.

Gorące słońce stało jeszcze wysoko na wciąż pogodnym, bezpochmurnym podniebiu, kiedy wszyscy urzędnicy przedsiębiorstwa, przebrani i wyświeżeni, zebraли się, by oczekiwać „tyrana“, kończyć zestawienia i rachunki w biurze pana administratora, lub w jadalni hotelu korzystać z jego gościnności.

„Gospoda ojców białych“, — nie wiadomo, czemu pod tem mianem popolicie znana, choć obecne nie jest własnością zakonu, — pełnem przewiśkiem: *Grand Hôtel Saint Louis*, stoi na głównem kartażyńskim wzgórzu, u jednego szczytu opodal katedry i klasztoru. Choć tylko dwupiętrowa, sprawia wrażenie budowli niezwykle wzniosłej. Ponad urwiskiem, podtrzymywanem ze starych murów rzymskich, wsparta na wysokiej podmurówce z szeroko rozwartych, romańskich łuków, samotna wśród pustkowi, z pustki tej litego gruzu wyrasta wysoko na niebo, na którego tle świeci się rażąco białymi murami, błyska szybami oszklonej terasy dolnej, a górą, z terasy drugiej, patrzy przed siebie ślepo całym szeregiem ciemnych oczów, wyzierających z pod przymrużających nad niemi łuków przesklepionych. I lżejki tej podwalinie zwalistej z miążkiego gruzu, tyn rzymskim słupom, podtrzymującym urwisko, romańskim sklepieniom podmurówki i piętrzącym się, jenym nad drugimi, szeregiem przejrzystych łuków

i teras, zdaje się, hen wysoko tryskać w górę, jak olbrzymia latarnia morska, spoglądająca z wysoka za zatokę, rozpostartą w dole płasko i mieniącą się blaskiem migotliwie.

Z górnej otwartej terasy, gdzie znajomi nasi usadowili się pod arkadami, widziane z tej wyżyny czarodziejskie zwierciadło zatoki, ciche i gładkie, przepojone spokojem pogodnym, a okute w twarde ramy wzgórzy martwych, wydaje się jeszcze zaciszniejsze i niemal nadziemsko urocze. Widok taki oczy przykuwa, a na usta kładzie pieczęć milczenia, jakby w lęku bezwiednym, że przy pierwszym słowie głośniejszem czar pryśnie, a zjawisko cudne się rozpierzchnie. Milczą też trzej nasi znajomi: ojciec Robin, poważny i uroczysty, przybrany w czamy surdut długi, a wycięty w pasie i białą kamizelkę, gładzący ręką „napoleonkę“ gestem wysłużonego kapitana z czasów drugiego cesarstwa; milczy dr. Zwang, zasępiony i osowiały i, zdjawszy hełm biały, trze dłonią czoło, wodząc oczyma po stokach łąsych; milczy, zgubiwszy gdzieś przed sobą oczy zagapione, Jean-Jacques z pierścieniami złocistymi na bosych stopach, przyodziany w szaty odświętne z aksamitu błękitnego i czarnego, przekręcony zawadyacko na bakier, a nasadzony głęboko na grzywę srogą, rzcześnie umiejętnie, że kędzierzawi się ponad ramiona jasnym półkolem rozwichrzonym. Milczy również, na przeciwnym krańcu terasy, wsparta łokciami o balustradę kamienną, młoda kobieta czarnowłosa, ak w myślach zatopiona, że nie spostrzegła nawet, ak trzej nasi znajomi przyszli tutaj i usadowili się opodal. Milczenie to nie cięży, ani dziwi; jest ono tutaj czemś naturalnem, tak zestrojonym i zrosłem z całym

otoczeniem, iż każdy, wciskający się w nie szmer, rozlega się rozgłośnie i brzmi nleswojsko i niemal złowrogo.

Niebawem nie szmer, ale łoskot kaleczy tę ciszę: charkliwe rechotanie samochodu i wrzaskliwy jęk jego trąby. Łoskot warczy coraz głośniej i naraz przycicha. Samochód stanął snąć przed hotelem, bo wciąż jeszcze w miejscu ciężko sapie. I wnet na terasie staje pan Armand de Vieilleville, piękny i strojny, wyprostowany i wyniosły, z twarzą bladą i brodą czarną, misternie trefioną, i przez monokl ślizgnąwszy się po obecnych spojrzeniem zimnem, z lekkim kiwnięciem głowy pyta.

— Gdzie jest pan Spinelli? Dobry wieczór panom.

— W swoim biurze. Dobry wieczór.

Piękny architekt zniknął, ale nie powrócił już czar, który jego zjawienie się rozwiałło. Trójca znajomych, jak gdyby zbudzona z snu, spojrzała po sobie, omal nie dziwując się nawzajem swej tutaj obecności. Młoda kobieta odeszła od balustrady i usiadła. Znajomi teraz dopiero zauważyli jej obecność.

Była to osoba drobna i wiotka, „glista“, jak mówił Jean-Jacques, twarz miała niewielką, bladą, cienko rzeźbioną, a zastygłą w wyrazie znużenia i smutku, podkreślonego jeszcze szczelnem zaciśnięciem warg wąskich, kątami w dół wygiętych, — w dół też lekko zaginał się wąski nosek, z podciętemi chrapkami; białość czoła uderzała tem bardziej, że część jego tylko, podkreślona smugą ciemną brwi zrosniętych, wyglądała wąskim trójkątem z pod dwu czarnych półkoli włosów bujnych i puszystych, okry-

wających tuż poza kątami oczu ciemiona, policzki i uszy i swą zwartą gęstwiną tak twarz ocieniających, że wydawała się tem bledszą i tem mniejszą; oczy plamiły się czarno w wąskiej szczelinie przy-mrużonych powiek, zakończonych firanką rzęs gęstych i długich.

Dr. Zwang zapytał ojca Robina szeptem:

— Baronowa?

A na potwierdzające skinienie głowy, młody uczony, jako największy w tem gronie światowiec i bywalec, powstał, podciągnął mankiety, przeszedł krokiem pewnym na drugi koniec terasy i, wykonawszy przed zamyśloną kobietą ukłon grackim zsunieniem obcasów i ugięciem karku, z ręką wyciągniętą, przemówił.

— Dr. Zwang, docent historii sztuki uniwersytetu heidelberskiego.

Baronowa z wolna podniosła ciężkie powieki i rzęsy, spojrzała na uczonego żrenicami wielkimi i spokojnymi, matowo czarnymi, potem zwróciła je w stronę malarzów, siedzących opodal, lekkim uśmiechem rozczepiła wargi zaciśnięte i otworzyła je wreszcie, odzywając się głosem niskim i doniosłym:

— Wszak się nie mylę: pan Robin? To pan nie wita się już nawet ze starymi przyjaciółmi? Zbliź się pan i przedstaw mi swych towarzyszków.

Ojciec Robin powstał natychmiast z wzruszeniem radosnem; Jean-Jacques zerwał się na równe nogi, zdarł z głowy biret i, wymachując nim aż po ziemię i elegancko szastając sandałami po posadzce marmurowej, szedł u boku starszego towarzysza, który przemówił:

— Nie śmiałem pochlebiać sobie, że pani raczy mnie jeszcze pamiętać. Pani pozwoli przedstawić sobie: Pan Zwang, uczony profesor; — zielona małpa: Co ja mówię? Przepraszam najmocniej! Ale sama pani widzi... Chciałem powiedzieć: mój kolega, pan Jean-Jacques.

Za chwilę siedzieli już razem, rozmawiając swobodnie, a raczej przysłuchując się, jak baronowa wypytywała starego znajomego o jego przejścia, odkąd się nie widzieli. Niebawem powiększyło się ich kółko. Pan Spinelli, uspokojony nowym telegramem „tyrana“, donoszącym, że przyjazd jego opóźni się o parę godzin, przyszedł na terasę z architektem wytwornym. Obydwaj znali już baronowę. Pan Armand de Vieilleville począł zaraz z nią rozmowę ożywioną, zachowując się, jak gdyby nie widział zgoła jej trzech towarzyszków. Baronowa przerwała mu w środku zdania słowami:

— Pozwoli pan, że go zapoznam z moimi znajomymi.

— Ależ ja znam tych panów.

— Przepraszam; nie sądziłam.

Pan de Vieilleville uznał tedy za stosowne przywitać się z obecnymi, co zresztą wykonał, jak to wielkiemu panu przystało, wyciągając do nich po dwa palce ruchem ostrożnym, podobnie jak wierni podczas ciężkiej zimy, dotykają kropidła, zmaczanego w wodzie święconej, ale lodowatej. Podawał zaś swe dłonie ruchem powolnym i górnym, przy którym widać było dobrze ręce jego bielusienkie i wypieszczone, i palce z różowymi paznogciami, ozdobione pierścieniami misternej roboty, prócz jednego, grubego sygnetu złotego roboty prostej, niemal kowal-

skiej, odziedziczonego chyba po bardzo odległych przodkach, których klejnot herbowy widniał na krwawniku. Kiedy owe uroczyste dwa palce nachyliły się ku „długowłosemu żółtodzióbowi“, ten swymi dwoma palcami powtórzył ruch wytwornego architekty z taką wiernością, że dwie pary palców spotkały się samymi końcami. Baronowa, zauważywszy to, w głos parsknęła.

— Co pan wyprawiasz? — burknął architekt.

— Uczę się manier wykwintnych; tak rzadko mam ku temu sposobność.

Rozbawiona baronowa zawołała do młokosa:

— No, to mnie podaj pan jeszcze raz rękę, już nie wykwintnie, ale tak całą dłońią po prostacku.

— Najchętniej, ale pod warunkiem, że zgniecione w mej łapie jej paluszki wolno mi będzie potem pocałować.

— Zgoda!

Lody były przełamane. Tylko administrator Spinelli spojrział na pana de Vieilleville wymownie, jakgdyby brał niebiosą na świadka, że nie z jego winy wpadł w towarzystwo nieodpowiednie. Baronowa, którą posępny nastrój opuścił zupełnie, z wielkiem ożywieniem przemówiła głosem głębokim i dźwięcznym:

— A teraz! — bawcie mię, panowie. Macie przed sobą słuchaczkę wdzięczną niezwykle, bo łaknącą ludzkiego głosu, którego brzmienia niemal zapomniała. Pomyślcie, jestem tu sama na tem pustkowiu. O tem pustkowiu mi mówcie. Spójrzycie, tu u naszych stóp, na te przepaściste stoki, pokryte rumowiskiem i ciszą. I tu wrzało podobno ongi życie, stały świątynie, pałace... Panie de Vieilleville, czy to nowe

miasto, które pan tu wznosisz, godne będzie poprzędników? czy pańskie mury dość silne, by udźwignąć wielkie miano: Kartagina?

— Nie, pani — zaśmiał się architekt — rozmyślnie tak z góry obliczani ich odporność, by pod tym ciężarem runęły coprędzej. I zapewniam panią, że na ich zwaliskach nie zapłacze najczulszy Maryusz; chyba jedni akcyonaryusze! Bo będzie to paskudztwo rzetelne. Darmo, trzeba się przystosować do sąsiadów, choćby do tej katedry, zbudowanej w myśli najszlachetniejszej, ale w stylu maurytańskocukierniczym. Nasze hasło brzmi: komfort, przepych i obrzydliwość.

— Jakto? rozmyślnie szpecisz pan to wzgórze dostojne?

— Nie, pani — wtrącił dr. Zwang, — pan de Vieilleville żartuje. Jego plany wykonane są z wielkim smakiem, choć oczywiście przystosowane do potrzeb nowożytnych. Tradycyjną natomiast kartagińską nutę podejmują szczegóły dekoracyjne, za które ja przyjmuję pełną odpowiedzialność tak pod względem estetyki, jak wierności historycznej.

— W co niechaj pani wierzy zawsze, a nie sprawdza nigdy, jeśli pani pamięć Kartaginy miła! — mruknął „długowłosy żółtodziób“.

— Ja mam sprawdzać ścisłość historyczną dekoracji? To doskonale! Ależ ja jestem nieuk, straszny nieuk, co o Kartaginie wie tylko tyle, że kiedyś, bardzo ponoś dawno istniała, kwitła i runęła, a starszym wierzę, że to było tutaj.

— W nieuctwo pani nie uwierzę tak łatwo — odparł uczony; — kto przez dziesięć dni bada niestrudzenie topografię stolicy przepadłej, kto miejsce

w miejsce obchodzi wszystkie jej zakątki, ten chyba wie, co tu ongi było i czego w tych zawaliskach szukać.

— Tak, tak... To zresztą panu powiem, jak „badam topografię“ i czego tutaj szukam. O Kartaginie wiem tyle: Didona; skóra, pocięta na paski; romans z Eneaszem; potem długo nic, aż Hannibal spada z Pirenejów i Alp, jak piorun; wreszcie marudny Kato i srogi Scypion, pługiem zaorywujący zgłiszcza; Maryusz płaczący i — kropka. To wszystko. I zbrojna w te wiadomości wychodzę co rana, siadam gdzieś na pagórku, patrzę przed siebie i powtarzam w duchu: „Więc tu była Kartagina!“ I siedzę tak nieruchoma, niemal bezmyślna, siędzę godzinami, jak gdyby do tego miejsca przykuta urokiem tej ciszy, tej pustki i zaklętego w zatoce czaru. Kartagina.. Właściwie, co mnie Kartagina obchodzi? Kartagina jest w mej głowie zamazanem wspomnieniem podlotka, niczem więcej. Te wzgórza zaś są w mej świadomości cmentarzyskiem dzikiem i zwierzalem. A jednak ta zatoka nie byłaby taka cudna, gdyby jej nie otaczało to pustkowie zamarle; a jednak to pustkowie nie miałyby tej grozy przejmującej, gdyby nie to, że wsiąkło w nie ongi tyle bujnego życia! Sama nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale bawiła tu dni parę młoda niewiasta. Była chora i, nie mogąc chodzić, prosiła mnie, bym brała z sobą na przechadzkę jej córeczkę. Przemiała dziecina! Przyłgnęła do mnie i zwała mnie ciocią. Otóż, gdy raz siedziałam na którymś urwisku, dziecina, po długim milczeniu, zaczęła klaskać w dłonie i wołać do mnie: „Ciociu, ciociu, jakie to *nic* cacane!“ Miała słusność. Dlatego „cacane“, że to *nic* takie

widoczne i tak dotkliwie na sercu ciąży! Innym razem, gdy bawiła się przy mnie, grzebiąc w ziemi, zakrzyknęła: „Ciociu, patrz! Znalazłam prześliczną, maleńką Kaltaginę!” — i pokazała mi z tryumfem mały szmaragd, który znalazła w rumowisku. I odtąd co dnia, gdziekolwiek z nią usiadłam, mała przyjaciółka po chwili radowała się odkryciem nowej „maleńkiej Kaltaginki”: to marmur, to pieniądz, kawałek mozaiki, okruch wielobarwnego szkła, stopionego w pożogach, odłamek zdruzgotanej kamei... I teraz panowie wiecie, jak „badam topografię” i czego tutaj szukam. Topografię badam z wytrzeszczonemi na oślepe przed siebie oczyma, powtarzając w duchu: „jakie to *nic* cacanel,” a równocześnie, również na oślepe, palcami szukam obok siebie jakiejś „maleńkiej Kaltaginki” i, co najzabawniejsze, nieraz znajduję.

— Tak — przemówił dr. Zwang — ale obok tego zwiedza pani zbiory „ojców białych”, ogląda odkopane świątynie, amfiteatr, grobowce, a zwłaszcza te, niezmiernie ciekawe, grobowce punickie...

— Broń Boże! Za nic w świecie! Z początku brałam nawet ze sobą przewodnika, żeby mnie ostrzeżał, gdzie na wzgórzu znajdują się rany świeże. Gdy, otulone gruzem i ziemią, szczątki miast ogromów, szczątki wielkich dzieł, czynów i zamierzeń, czynów i rozkwitu, zwycięstw, nieszczęść, klęsk, pożogi, pogromu strasznych namiętności i dzikiego rozpasania tylu ludów leżą wiekami i wiekami pod jednym wspólnym całunem, to nad tem opuszczeniem i pustką zawisa tak wielkie, tak przejmujące dostojęństwo, że ani go tykać ręką świętokradczą! Rozkopcie tu u naszych stóp gruzy i odstońcie zwaliska; co obnażycie? — grób zbeszczeszczony! Ja to czuję

tem żywiej, że dzieckiem czułgałam się po podobnych, nie mniej świętych gruzach. Gdzie? Nie powiem! Bobyście poszli tam budować hotele i rozgrzebywać grobowce!

— Najzupełniej podzielam zdanie pani baronowej — rzekł pan Spinelli z przymilającym uśmiechem; — ja nie umiałbym wprawdzie wypowiedzieć tego tak pięknie, ale czuję rzeczywiście to samo. Niech poświadczy dr. Zwang, że zawsze przeciwny byłem naruszaniu tych pamiątek czcigodnych. Niech spoczywają w pokoju!

— Niech pani pozwoli — odezwał się pan de Vieilleville — złożyć sobie dzięki najgorętsze za tę chwilę, spędzoną tak podniośle. Zwłaszcza dla nas, udzi ciężkiej pracy prozaicznej, słowa pani są jak to tchnienie poezji, co opromienia życie i ozłaca...

— To znaczy, że pan słów moich nie bierze na seryo?

— Jakżeż można wyrażać się w ten sposób? Czyż kwiatu nie bierze się na seryo dlatego, że się zachwyca jego wonią? że czerpie się z niego słodycz miodu?

— Budując hotel pod hasłem „komfort, przepych i obrzydliwość“...

— Hotel, w którym pani znajdzie wszelkie wygody i snuć będzie mogła nić swoich marzeń nie przed paroma zbłąkanymi tu pracownikami, ale przed wykwintnem, godnem siebie audytoryum.

— Którego przedsmak już mnie doleciał, dzięki panu. Tymczasem jednak, niech mi pan pozwoli gawędzić z pracownikami zbłąkanymi, skoro mi to sprawia przyjemność. Wszak i ja zbłąkana i całe dziesięć dni milczałam. A lubię gawędzić, zwłaszcza o tej

szarej godzinie, gdy coraz gęściej zmrok zapada. Patrzcie, panowie, jak wszystko przygasa, rozplywa się, szarzeje; jedno tylko morze zachowało, niewiadomo skąd, blask jakiś, przycichły i tajemniczy. Lubię myśleć, że o takiej właśnie godzinie siadywała tutaj Didona, wpatrując się tęsknie w ten siny szlak wodny, po którym w dal pomknął statek, unoszący Eneasza; że o takiej godzinie chadzał tu po wybrzeżu św. Augustyn, snując swe myśli zawrotne...

— Pani wybaczy, — przerwał dr. Zwang — że sprostuję parę szczegółów. Nawet w marzeniach dobrze wspierać się o fakty rzeczywiste, inaczej wykoleją się na manowce błędne. Św. Augustyn nie snuł tutaj zgoła swych marzeń. Inny tu był wówczas świat i inne myśli nachodziły przyszłego świętego, gdy dwudziestoletnim młodzieńcem przybył tu, by w Kartaginie spędzić najburzliwszych dziesięć lat swego życia. Tertulian, św. Cyprian, ci oddawali się tutaj rozmyślaniom pobożnym. Mążył też tu zapewne w tysiąc lat później, marzył na gruzach gruzów, wielki Cerwantes z zakrwawionym przy zdobyciu Tunisu mieczem, nim popadł w pięcioletnią niewolę bisurmańską. Ale Augustyn! Wszak sam opowiedział nam te czasy w swych „Wyznaniach“. Młody filozof, poeta, retor, matematyk, esteta, muzyk i teatroman, a przedewszystkiem hulaka nieokielznany, oszołomiony lubieżnym powiewem Kartaginy ludnej, gwarnej, hucznej i szalejącej; młodzieniec z gorącą krwią i sercem płomiennem za miłością tutaj tęsknił i za wzbudzaniem miłości — „*amare-amari!*“ — a znalazł jeno zabawę i rozkosz i wir młodzieży wyuzdanej, w której gronie wstyd było przyznać się, iż jest jakaś zdrożność, której się nie popełniło!

Ćwiczył się w wymowie w szkole retorów, deklamował swe wiersze, prawdy szukał w Ciceronie, filozofach greckich i u chrześcijańskich odszczepieńców-sekciarzy; pisywał estetyczną rozprawę o „pięknem i ładnem“, płakał nad Didoną i Eneaszem, choć wiedział, tak jest, proszę pani: już on wiedział, że „uczeni przeczą, by Eneasze był kiedykolwiek do Kartaginy zawitał“; godzinami przesiadywał w tym oto tu teatrze, świeżo odkopanym, (którego pani nie chciała zwiedzić) i, nie dbając, że (wedle świadectwa Tertuliana) czart w oczy twierdził, iż ten teatr jest jego domem, Augustyn oddawał się w nim wyrokowi tragedji z takim przejęciem, że starcem nad grobem jeszcze roztrząsał pytanie, czemu grane na scenie bóle urojone, równocześnie łzy mu wyciskały i rozkoszą napawały serce! A przytem wszystkim hulał tak zawzięcie, że matka zerwała z nim stosunki, a gdy jednak, po latach, przybyła tu odwiedzić syna zbłąkanego, uciekł przed nią chyłkiem do Rzymu, porzucając matkę i kochankę z dzieckiem! I te rozkosze cielesne i umysłowe tak wyłącznie zaprzętały jego umysł, że gdy spisywał później swe wspomnienia, nic poza niemi nie nasunęło mu się na myśl, nic, coby nam dało obraz milionowego miasta, kipiącego życiem, miasta, w którym na rozpalonej afrykańskiej ziemi kojarzył się ład rzymski z sztuką grecką i azyatyckim zbytkiem wyuzdanym: nic, coby zaświadczyło, że te lata bujne spędził tutaj właśnie, a nie w Grecyi, Galii lub na Krymie.

— Widzi pan, jaki ze mnie nieuk: nie wiedziałam nawet, że jego tutaj pobyt wypadł na czas największego rozkwitu Kartaginy.

— Przekwitu raczej. Kiedy konał, słysząc tomot oskardów wandalskich, wybijających wyłom w murach, — on, co na zjeździe pięciuset biskupów zwycięsko pokonał herezyę! — drżał na myśl, że tym wyłomem wedrze się arianizm zgubny. Wdarła się zagłada.

— Wie pan, że pan gotów mię jeszcze pogodzić z nauką, której bałam się... zdaleka; ze słów ego wnoszę, że ona nie musi być zawsze zimną i suchą — odezwała się baronowa, która z przechyloną i wspartą na ręce głową słuchała uczonego, wpatrując się w niego, podniósłszy powieki, które odsłoniły źrenice wielkie, czarne, głębokie i pytające.

— Co się panu stało? — zapytał ojciec Robin, — nigdy jeszcze nie słyszałem go przemawiającego z takim przejęciem.

— Złudzenie. Ja mówię, jak zawsze, a przejęcia dodaje mym słowom ten mrok, co zapada nad morzem, i ta cisza. Podobnie myli się pani co do Didony. Nie wzdychała ona tutaj za Eneaszem już dlatego, że go nigdy nie spotkała; on też nigdy nie widział na oczy Didony, bo Didona, to nie osoba, ale jeden z przydomków bogini Tanit-Astarte, czczonej w Kartaginie jeszcze za czasów św. Augustyna pod nazwą *Virgo Caelestis*.

— Jako? — zawołał rozogniony Jean-Jacques, — pan przeczysz, że wielka pani, założycielka Kartaginy, kiedyś istniała! Przypomnę to panu jeszcze!

— Ależ porozumiejmy się. Nauka działała dotąd w sprawie tej negatywnie: oczyszczała teren historyczny z chwastów legendarnych. Juściż wedle badań Winklera i Landaua, nie Didona założyła Kartaginę w IX wieku przed Chrystusem i nie żeglarze fenicy.

Z Arabii wytryskały kolejno wędrówki ludów, mómiających narzeczami semickimi (nie wiadomo, o ile z sobą spokrewnionych, więc nie mówię: semickiej rasy); było ich cztery, a każda z nich trwała lat tysiãc z górã. Roznosiły kult gniewnych bogów od Baala po Allaha.

— Czy z Arabii do Kartaginy nie jest, jak dla nas profanów, zbyt daleko? — przerwał „długowłosy żółtodziób“.

— Zaraz dojadę. Otóż druga wędrówka, kanańska, rozpostarła się do Babilonu i, brzegami Afryki, do Hiszpanii i dalej. Jej to, i to o wiele dawniej, a nie wdowie po Sicherbalu, kapłanie z Tyru, zawdzięczają swe powstanie wszystkie osady fenickie. Owa zaś wdowa z Tyru...

— O jakiej wdowie pan mówisz? — przerwała baronowa.

— Rzekomej założycielce Kartaginy, owej Elissie z Tyru, znanej pod pseudonimem Didony.

— Elissa? i to z Tyru? — zaciekawiasz mię pan coraz bardziej.

— Ciekawości tej nie zaspokoję. Bo musimy sobie powiedzieć, że o Elissie nie wiemy poprostu nic. Może i była taka niezwykła pani, prawnuczka wielkiego Hirama, której rodzony brat zamordował męża, płonąc ku niej hucią kazirodczą, iż uciekać musiała, zebrawszy drużynę wierną, i przybyła tutaj ze skarbami, a potem taką tu odegrała rolę, że na zawsze pozostała w podaniu. Przed miesiącem byłbym sobie żartował z takiego przypuszczenia; ale dzisiaj, dzięki panu, panie Jean-Jacques... Zastala tu jakoby stare miasto, Kambe, ot tam, gdzie budujemy *Grand Hôtel Hazdroubaâl*; tutaj zaś, gdzie w tej

chwili siedzimy, założyła późniejsze „nowe miasto“, Kartaginę, a na razie gród, po fenicku „Byrsa“. A że Grecy po fenicku nie mówili, a po grecku „byrsa“ znaczy skóra, powstała stąd owa legenda o pokrajanej w paski skórze. Wiele legend w ten sposób powstało. Jeśli ta Elissa z Tyru istniała, to była kobietą wręcz nie pospolitą, skoro jej imię skozjarzyli potomni z boginią i miłości i rozkoszy, wskrzesicielką wiosny, uosobioną w księżycu, której hołd oddawano długimi wiekami. Ile w tem prawdy? ile legendy? — chce pani coś bliższego wiedzieć o Elissie, niech pani zapyta pana Jean-Jacques’a. Uczony może powiedzieć tylko: być może, że rozwiązanie tej zagadki leży tu pod naszymi stopami; być może, że gdzieś na tem wzgórzu, pod warstwą rumowisk i popiołów, leży od wieków kawałek kamienia, który odkopany i na wierzch doarty, rozjaśni tajemnicę całą, zedrze z Elissy majestat boski, ale jej zwróci postać ludzką, godną może również hołdów i podziwu. Kto wie? I przed tem drażniącym „kto wie?“ stać mamy z założonemi rękami, zachwycając się tylko pustką i szanując jej ciszę? Nie, pani. Kto ma w sobie głód prawdy, prawdy bezwzględnej, będącej nauki celem, ten rozkopalby te wzgórza miejsce w miejsce i wydarł im tajemnicę całą! i to co rychlej, bo gdy pan Spinelli z panem de Vieilleville zakończą roboty, już będzie za późno. A nie jedyna to tajemnica, kryjąca się w tych pagórkach. Ledwo pogrzebano na wrywki tu i owdzie, ileż już znaleziono! że wspomnę tylko płóćnię złotą, o której już za rzymskich czasów zaginęły sły^{ch}y. A pomyśleć, że w Kartaginie punickiej były całe biblioteki i przepadły bez śladu, iż do nas nie doszło nic, prócz

jednej książki rolniczej, którą Rzymianie praktyczni przełożyli na łacinę. I pani pragnęłaby, byśmy tu nie kopali? pani uważa nas za świętokradców? Odzywam się do jej poczucia sprawiedliwości: czy pani-by nam wybaczyła, gdybyśmy choć piędź ziemi zostawili nieporuszoną?

Baronowa słuchała uczonego z wielkiem zaciekawieniem, które na twarzy jej ruchliwej ustąpiło teraz miejsca wyrazowi wahania się i niepewności; spuściła w dół powieki i, wzruszywszy ramionami, z zakłopotaniem rzekła:

— Alboż ja wiem? Zapewne. A jednak... Kiedyś natknęłam się przypadkowo na odkopaną willę rzymską: rzędy kolumn, stopnie marmurowe, mozaiki... Jakież to smutne, jakie smutne! Gdybyście tak „wskrzესili“ Kartaginę całą, uciekłabym stąd natychmiast. A są rzeczy stokroć gorsze. Nie wiem, co sobie myśleli mieszkańcy punicycy tych wzgórz, gdy dla zmarłych swych kopali groby het głęboko, pod ziemią i przykrywali je głazami ciężkimi. Ale to chyba nie trudno zgadnąć, że pragnęli dla nich spokoju na wieki. I gdy potem widzi się, że ludzie dokopują się do skrytek najgłębszych, że kilofami rozbijają głazy, dobywają trumny, odchylają wieka, — jak tej kapłanki Tanity u „ojców białych“, której na wieku sarkofagu widnieje postać rzeźbiona, a we wnętrzu pod szkłem, kościotrup! — nie, tego żaden obowiązek naukowy nie usprawiedliwi; Gdyby pan odnalazł grobowiec tej wdowy-pielgrzymki, co przed wiekami przybyła tu z Tyru dalekiego i znalazła wreszcie spokój pod jednym z tych pagórków, — przyrzecz mi pan, że ten spokój uszanujesz.

Głos niski baronowej drżał przy tych słowach wzruszeniem; w źrenicach jej czarnych i głębokich, gdzieś daleko na dnie zapłonęły ogniki; ręce złożyły się błagalnie. Dr. Zwang tarł czoło, to spoglądał na baronowę, to odracał oczy, wreszcie wybuchnął:

— Nie, nie i jeszcze raz — nie! Nie przyrzeknę, nie mogę.

— Dla niej jednej proszę o łaskę.

— Nie, nie przyrzeknę. To byłoby krzywo-przysięstwo: ja już ślubowałem wierność do-zgonną — nauce. I niech się dzieje, co chce, do-trzymam!

Wszyscy patrzeli zdumieni. Pierwszy raz wi-dziano spokojnego uczonego w takim podnieceniu. Nastąpiła cisza. Ściemniło się też zupełnie. Noc czarna osiadła wzgórza puste, dodając ciemność do ciszy, gwiazdami wyiskrzyła się na niebie czar-nem i zimnym połyskiem wysrebrzyła nieruchome zwierciadło zatoki. Zrzadka tylko na dole, nad wybrzeżem morskim, pociąg elektryczny warkotem kół rozpędzonych przeszywał ciszę, a szybko suną-cym po czerni węzłem świetlnym rozpruwał ciemności. I znów wszystko głuchło i ciemniało.

Spór nie wydaje mi się zgoła aktualnym, — zauważył architekt.

— Ja przyznaję pani baronowej słuszność zu-pelną, — dodał administrator.

— Spokoju boskiej Elissy zakłócić nie tak łatwo, — zawyrokował „długowłosa żółtodziób“ głosem tak pewnym, jak gdyby był połknął wszystkie rozumy; — czuwa nad nim, przykryta warstwami gruzów pomieszanych, ta wielka mogiła miast

ludów i ludzi; czuwa może również zazdrośnie inna siła, zagadkowa, a nienawistna — dodał tajemniczo.

— Ja rozumiem uczucia pani, — przemówił Robin, pogrążony dotąd w zadumie; — rozumiem ten jej wstręt do widoku strupiałych szczątków życia w obnażeniu. Ale rozumiem również pana Zwanga: jego zaciekłość naukowa też z ognia świętego rodem. Powiem więcej: są to dwie strony jednego i tego samego uczucia szlachetnego, jeno niestety, na obie naraz spojrzeć nie sposób, jak jednym rzutem oka nie obejmie w pieniądzu i cetna i licha. Ale dzisiaj na jeden wieczór, spróbuję państwa pogodzić. Za szczytem tamtych gór za za zatoką niebo poczyna się już rozżarzać; księżyc niedaleko, a nadchodzi pełnia. Skoro pani nie oglądała wykopalisk tutejszych, wybierzmy się razem do Odeonu. Mam nadzieję, że zobaczy pani nie rozkopane gruzy martwe, ale coś, co przypomni jej ten teatr żywy, z którego św. Augustyn wyniósł wrażenia takie, iż starość ostudzić ich nie mogła.

— Panie Robin, — zawołała baronowa, błyskając ku niemu źrenicami ciemnymi, — czy pan umie czytać myśli? O tem właśnie marzyłam! Ja tak kocham księżyc, zwłaszcza, gdy wzmaga się i rośnie, by zajaśnieć pełnią; bo potem staje się bolesny. I tak lubię patrzeć, jak swem światłem kojącem wszystko srebrzy, a nic nie obnaża. Panie Zwang, skoro pan już musisz odkrywać grobowce, czyń-że to bodaj przy świetle księżyca.

V.

Księżyc wychylił się już wązkim rąbkiem zza gór za zatoką, przerzucił most, lśniący srebrem, przez czarną głębię morza, i słabymi, nieśmiałyymi promieniami głaskać począł puste stoki wzgórze. Przeciwległe góry, z rozżarzoną od księżyca czubem u szczytu, pociemniały posepnie; wysrebrzona zatoka nie śmieje się tak zalotnie, jak wtedy, gdy słońce maczało w niej swe promienie gorące, ale z wdziękiem łagodnym i uroczym uśmiecha się tajemniczo i cicho; po stokach wzgórze, poplamionych gdzieniegdzie zapadłościami czarnymi, wybojami i bruzdami, znikła chropowatość wszelka, a oko ślizga się jeno po poświacie księżycowej, srebrzystej, bladej i jednolitej, co rozrzedza noc mroczną i w ciszę wnika blaskiem nikłym, a tajemniczo uroczystym. I pod tą osłoną, bladą i łagodną, łyse wzgórze wydają się nie tak puste i bezduszne, choć bardziej jeszcze bezludne i niezamieszkałe.

W rażącej, jasnej plamie światła, bijącego z okien hotelu, całe towarzystwo stało na drodze, zbite w szarą kupkę, z pośród której wyrwały się jasnymi sylwetami dwie postacie: jedna d-ra Zwanga, rosła i wyprostowana, świecąca białym hełmem i flanelowem ubraniem; druga, błyszcząca białą suknią, osłaniającą kibić niewieścią, szczupłą, gibką i wiotką. Z tętentem rozpędzonych kroków wypadł z hotelu

służący baronowej, Aszur, smukły i zwinny wyrostek, typowy murzyn czarnusieńki, z czupryną wełniastą pod fezem czerwonym, z odwiniętymi, tłustymi wargami, białymi zębami, wyszczerzonymi w uśmiechu ciągłym, i takiemiż gałkami oczu, wielkimi, wybaluszonymi i świecącymi; odziany był w burnus arabski, czy togę rzymską, jeno że krwisto czerwoną, okręconą około całej figury i przerzuconą przez ramię, na którym przyniósł dla swojej pani zarzutki i szale. Baronowa wybrała szal jasny, cieniutki, jak pajęczyna, i przejrzysty, a mieniący się błękitem, fioletem i srebrem, zarzuciła go sobie na głowę i przez ramiona i kazała murzynowi iść za sobą.

Ruszono razem drogą szeroką, a raczej ulicą przyszlą, narazie bezludną i bezdomną, wiodącą w dół po łysych pagórkach zakrętami połogimi. Wszyscy szli w milczeniu. Przerwał je dopiero (zapaliwszy wprzód cygaro wonne z obrózką złotą) pan de Vieilleville. Widocznie niezadowolony z tego, że w rozmowie z uroczą baronową odegrał tak wybitną rolę nie on sam, ale uczoney niemiecki, czuł do niego niechęć i pragnął poniżyć go, lub ośmieszyć złośliwie. Po namyśle odezwał się tedy z przekazem:

— Jakto? pan idziesz z nami? Ja wyobrazałem sobie, że pan całe noce spędzasz albo nad szpargałami zatechłemi, albo składając na szczycie góry ofiary Molochowi fenicko-kartagińskiemu.

— Czemu nie, — odparł historyk sztuki; — on ofiar wart. Oczywiście nie taki *Moloch*, jakim sobie go wyobrażają ci, co padli ofiarą ignorancyi Żydów, którzy zrobili z niego jakieś straszidło potworne; ale prawdziwy fenicki *Melek*: Melek-kart, czyli Melkart, „pan miasta“, bożyszczę Tyru, któremu do kolan

nie dorósł sobowtór jego grecki, Herkules, co nawet Jazonowi w pogoni za złotem runem nie nadążył. Bo Melkart, to wcielenie tego szalonego rozpędu Fenicyan, co wiódł ich na przelaj wskroś lądów nieznanych i przez nieznanne morza tam, dokąd nie dotarł nikt przed nimi, a i nikt po nich przez całą Starożytność i całe niemal Średniowiecze. A przodem, torując drogę, kroczył zawsze Melkart, pan Tyru, rozgramiający nie tylko ludy wrogie, ale i potwory i żywioły.

— Ależ, profesorze! nie chciałem wywołać nowego wykładu o starożytnościach zwietrzałych! Więc powiedzmy Baal, zamiast Moloch. Nie mamy się o co sprzeczać.

— Jaki Baal? Baal *tout court*, to także niemądry wymysł żydowski. „Baal“ znaczyło „bóg“ u narodu tak dalekiego od monoteizmu, że wyraz „bóg“ bez dodatku, czego był bogiem, nie miało w języku fenickim sensu. Każde miasto miało swego Baala, każda niemal rzecz i żywioł. Trzeba więc powiedzieć, czy chodzi panu o Baalberit, czy o Baalmarkod, czy o...

— ...czy Belzebub... — wtrącił drwiąco zniecierpliwiony architekt.

— Tak jest. Czy Baalzebut, „bóg robactwa“, dziś powiedzianoby „bóg mikrobów“: mały taki bożek bez pretensyi, z którego żydzi zrobili wroga osobistego samego Jehowy!

— Profesorze, — zawołała ze śmiechem baronowa; — jak pan obejmiesz katedrę, zaraz zapiszę się na pańską słuchaczkę! Pan umiesz mówić zajmująco nawet o takim nudziarstwie, jak mitologia.

— Przepraszam, że przerywam rozmowę, rzeczywiście tak zajmującą, wtrącił pan Spinelli, któremu ta „zajmująca“ rozmowa jakoś nie dogadzała; — ale teraz musimy na krótsze drogi przeciąć przez pola ścieżką. Światło księżyca jest bardzo urocze, ale na niepewnych drogach i bardzo zdradliwe. Jak nic, zwichnąć można nogę. Ja tedy pójdę przodem; dla bezpieczeństwa może pan profesor i panowie Robin i Jean-Jacques zechcą za mną badać drogę uważnie a pan de Vieilleville niech poda ramię pani baronowej. Inaczej nie byłbym spokojny.

Idąc zbadaną przez straż przednią drogą, wykwinął architekt ociągał się i przystawał, tak, że pozostał z baronową nieco w tyle. Prowadził ją troskliwie i ostrożnie, a równocześnie w słowach doborowych rozwodził się szeroko nad pięknnością krajobrazu dzikiego, nad urokiem ciszy wieczornej i pustki, majaczącej się w blasku księżyca. Wyrażał się poetycznie i pięknie, a jednak znać było, że w rzeczywistości coś innego ma na myśli, i że cała poetyczność tej rozmowy stanowiła jedynie przejście do tematu o wiele ważniejszego. Baronowa słuchała go też w milczeniu wyczekującym. Wreszcie architekt znalazł widocznie upragnione przejście, bo przestał poetycznie kołować i zmienionym tonem, z wyraźną decyzją w głosie rzekł:

— I gdy pani dzisiaj mówiła o tych rzeczach, gdy pani w słowach podniosłych wyrażała urok tego wspaniałego *nic*, które nas otacza, tej dostojnej, a historycznej pustki, i blasku księżyca, co ją opromienia, radość niewypowiedzialna ogarnęła mą duszę. Niechaj mi pani wierzy, że jedynie sobie na przekór poczęłem żartować, iżby nie zdradzić wzruszenia.

Albowiem słowa pani przyniosły mi pewność, upragnioną pewność wspólności myśli tak niezwykłej, iż czułem, że uczucia płyną u nas jednym korytem i biją jednakowem tętnem! Więc pojmie pani me wzruszenie. Od czasu, kiedy mam szczęście ją spotykać, zdaje mi się, że nie zdołałem ukryć przed nią całkowicie swego podziwu, swego uwielbienia dla jej czarującego powabu, tak fizycznego, jak duchowego. Niech mi dziś wolno będzie przemówić otwarcie i szczerze. Niech mi wolno będzie nazwać to uwielbienie jedynem słowem, które mu przystoi: miłością! Nie umiem wypowiedzieć tego z większą siłą, a zarazem z większym dla niej szacunkiem, jak zwracając się z pytaniem pokornem: czy pani zechce mi być żoną?

Pan de Vieilleville, mówiąc to, dobierał z wielką starannością wyrazów do uwypuklenia swych myśli i, zajęty tą pracą umysłową, patrzył przed siebie, a nie na baronową. Nie widział tedy wrażliwej jej twarzy o zmieniającym się ustawicznie wyrazie, jak drgała teraz tłumioną urazą i niechęcią: rysy się naprężyły i zaostrzyły, usta zacięły tak szczelnie, iż warg nie widać było całkiem, w wąziutkiej szczelinie powiek przymrużonych oczy żarzyły się jakimś złym, jakby kocim blaskiem, a zrosnięte brwi ciemne groźnie pofałdowały się na czole. A jednak spokojnym, trzymanym snać na wodzy, głosem odpowiedziała:

— Nie mogę powiedzieć, że słowa pańskie, tak pochlebne, spadły na mnie zupełnie niespodziewanie. I dobrze, że raz padły. Oszczędzi mi to zapewne rozmów na ten temat z... osobami innemi. Bo, widzi pan, od czasu, jak tu przyjechałam, wszyscy mówią

ze mną tylko o panu; mówią zresztą bardzo pochlebnie. Rezydent francuski, na przyjęcie w Tunisie, opowiadał mi cały czas o talencie pańskim i jego widokach wielkich, zwłaszcza przy niechybnem poparciu osób wpływowych; echo jego słów usłyszałam potem z ust pięciu conajmniej innych dygnitarzów. Gdym potem w Kartaginie oglądała katedrę, oprowadzający mię zakonnik nie mógł się dosyć pana nachwalić i, niepytany, wróżył mu przyszłość świetną, zwłaszcza, jeśli pan znajdzie godną siebie małżonkę... Pan Spinelli, spotkawszy mię gdzieś na ruinach, opowiadał mi nie o Scypionie, ani Hannibalu, ale o panu... de Vieilleville, który posiada nawet w zapasie, nabyty w Rzymie, tytuł hrabiowski, ale go nie używa, póki nie zdobędzie majątku odpowiedniego; ma wszakże takie stanowisko i takie stosunki, że nastąpi to niezawodnie wkrótce, byle tylko znalazł znaczniejszy kapitał obrotowy... Dziś znów otrzymałam z Paryża, od notaryusza, zajmującego się memi sprawami, list traktujący nie o interesach, ale o... panu de Vieilleville, o którym w sferach wykwinnych i „dobrze myślących“ wyrażają się z uznaniem ogromnem...

— Ufam, że pani nie bierze mi za złe, iż, nieznaną jej bliżej, poczyniłem pewne zabiegi, by pani od ludzi na stanowiskach poważnych postyszała coś o tem, kim jest ten człowiek, który zdobywa się na śmiałość uwielbiania jej i ofiarowania, jako dozgonnej towarzyszce życia, swego ramienia męskiego i swego nazwiska.

— I to takiego nazwiska! Zapewne — a przy tych słowach powieki baronowej przymknęły się i zwarły jeszcze szczelniej, a twarz jeszcze się zaostrzyła i w naprężeniu zastygła — zapewne...

Czemu wszakże pan zwraca się w tym celu do ludzi, których sąd u mnie nic a nic nie waży? Czemu pan nie udał się raczej o wstawiennictwo do moich prawdziwych, moich najbliższych, do moich wypróbowanych *przyjaciół*: do pana... Deloncle i generała Dupont?! — zakończyła głosem donośnym i dobitnym.

— Czemuż pani, na Boga! — i to w takiej chwili — wspomina o tych rzeczach? Ja o nich chcę zapomnieć! Ja pani ręczę, że o nich zapomnę!

— ...Łaskawie i litościwie! Dziękuję panu. Ale ja sama niczego nie zapominam i nie wymagam tego od nikogo. Pan wybaczy... Jak widzę, skończyła się już ścieżka niebezpieczna i jesteśmy na drodze równej. Dziękuję za opiekę uprzejmą. Panie Robin! — zawołała, odbiegając architekturę; — chcę z panem pomówić, idźcie, panowie, przodem; ja chwilę odpocznę, Aszur, rozłóż tu szal, tu przy drodze, na wzniesieniu. Usiądziemy.

Murzyn skoczył, jak kot, na pagórek, rozpostarł szal, błysnął bielą swych zębów i gałek wybaluszonych, odbiegł kilkanaście kroków i, w oczekiwaniu dalszych rozkazów, stał udrapowany w togę czerwoną i nieruchomy, jak posąg.

Baronowa przeczekała, aż przebrzmiały głosy oddalających się panów, poczem szybkim, raptownym ruchem pochwyciła dłoń swego towarzysza i silnie ścisnąć ją jęła oburącz. Ojciec Robin, wzruszony, w milczeniu patrzył wzrokiem rozrzewnionym na twarz jej gniewną i bolesną, na usta, zaciśnięte tak kurczowo, jakby za nic wypuścić nie chciały dobywającego się z piersi łkania, na oczy, szeroko rozwarte na cichą noc księżycową, a zabiegłe łzami, które niebawem wezbrały i spłynęły obficie. Sie-

dzieli tak w milczeniu długą chwilę. Baronowa odechnęła wreszcie głęboko, otarła łzy i, spokojniejsza już nieco, przemówiła:

— Dziękuję panu, dziękuję... I za jego przyjaźń, zawsze wierną, i za jego w tej chwili milczenie. Tego łaknęłam; pan to zrozumiałeś. Pan zawsze mię rozumie. Mam wrażenie, — wszak to nie złuda — że pan jesteś jedynym mym przyjacielem niezmiennym: szczerym, wyrozumiałym, serdecznym. Jeszcze kiedy pana spotykałam, pamięta pań? na Batignollach, miałam do pana zaufanie bezgraniczne. A pozornie byliśmy sobie ludzie obcy: wszystko nas dzieliło. Słowa pańskie proste, ale zawsze tak szlachetne. Pan słowem nigdy nie urazi; nie urazi nawet takiego drażliwego kłębka nerwów, jak moja osoba nieznośna. Pan tak odczuwa, tak współczuje. Nie pozbędę się nigdy domku w Auteuil z malowidłami pańskimi, w którym, dzięki pańskiemu sercu i pańskiemu talentowi, czuję zawsze takie ukojenie i spokój. Ja pana nawet przeproszać nie umiem, gdy przykrość mu wyrządzam, — wiem, że wyrządzam, — bo pan mnie uprzedzasz wybaczeniem. Tak się cieszyłam myślą, że społem oglądać będziemy w mroku wieczornym ten dla nas zmartwychwstały teatr rzymski i trzeba było... Nie, nie chcę myśleć o tem! — zbyt przykre, zbyt upokarzające! Jeszcze chwilę posiedzmy tak, ręka w ręce, w tej pustce, w tej ciszy, i w tem świetle księżycy, takim cudnem, tak kojącym, takim błogiem.

— No, już dobrze, — odezwała się znów po chwili, — teraz już chodźmy.

— Ojciec Robin krzakał parokrotnie, jak gdyby miał przemówić, ale zawsze jakoś kończyło się na

krzäkaniu. W milczeniu tedy szli drogą bielejącą wśród srebrno-szarego odludzia, i schodząc coraz niżej ku przystani... Nie dochodząc wszakże wdół do zatoki, od której dzieliło ją podgórze, pokryte zwaliskami murów zatoki, od której dzieliło ją podgórze, pokryte zwaliskami murów grubych, ogromnych, i sklepień popękanych, połamanych i powywracanych z podcieniami, czerniejącemi w księżycowej poświacie, jak otchłanie czarne, — droga odwracała się od morza i, skręcając wlewo, szła równo wprost na spory pagórek, krągły i łysy, jak inne, i, jak inne, rozszerebrzony muskającymi go promieniami księżyca. Nie spinając się jednak po jego stokach, jasna wstęga drogi zanurzała się wprost w pierś pagórka i między dwoma, coraz wyższymi brzegami bystrymi niknęła w mroku w szczybie czarnej. Wzdłuż drogi pod ścianami przekopu, leżały paroma rzędami powywracane kolumny z różnobarwnego marmuru, niektóre potrzaskane na kawałki, inne zachowane niemal w całości.

Na jednej takiej kolumnie siedział historyk sztuki, czekając na baronowę. Ujrawszy kobietę w bieli, posuwającą się wolno pośród kolum wywróconych, uczony zerwał się żywo i wybiegł na jej spotkanie, wołając:

— Pani pozwoli, że udzielę jej paru wyjaśnień niezbędnych. Otóż, najpierw, — wzdłuż tej drogi stały ongi rzędy posągów, których część przy odkopywaniu odnaleziono i oglądać je pani może w muzeum Bardo: Jowisz, potężny jak Mojżesz Michała Anioła, Apollo, Bachus, Wenus młodociana, Junona, Minerwa, Herkules, Hadrian, jako Mars, Demeter i Kora, kapłanki, tanecznicze, bachantki...

— Na miłość boską, zamilknij, kochany profesorze! — przerwała baronowa; — ja jestem uczenicą wzorową, ale tylko czasami; czasem zaś narowię się, staje się krnąbrną, przekorną i nieposłuszną. Ja teraz niczego nie chcę się nauczyć, niczego dowiedzieć. Cóż mię obchodzi, co ongi tutaj było, skoro czuję, że teraz coś tutaj jest. Nie, nie! Niech nic pan nie mówi. Ja słuchać chcę jeno tych głosów, na które jedynie jestem obecnie wrażliwa: tej nocy czarnej z mrokiem tajemniczym, światła księżyca, co szeptem coś tak łagodnie i takie wyczarowuje cudzy, i — własnej wyobraźni.

Między urwistemi i coraz wyższemi brzegami, przekop stawał się wciąż to mroczniejszym, aż stał się niebawem wręcz czarownym. Dr. Zwang i ojciec Robin wiedli baronową wolno i ostrożnie, szukając przejścia poomacku. Posuwali się czarną gardzielą wąwozu, więc zmylić nie mogli drogi, zwalniali jednak coraz bardziej kroku nie tyle z obawy potknięcia się o powywracane kolumny, co raczej z przyrodzonego każdemu wahania się przy zanurzaniu w ciemność zupełną. Nagle po nowym zakręcie, stanęli u wylotu wąwozu, a równocześnie odsłonił im się widok szeroki i niezwykły: półkolisty wręb w górę, zamknięty cięciwą prostą. Stali w ciemnościach i przywykłemi do ciemności oczami rozróżniali wyraźnie zatoczone przed sobą wnętrza góry mroczone, próżne, wydrążone, jakby rdzeń z góry wyrwano; naprzeciw blade promienie księżyca, padały skośnie na wewnętrzną, wgiętą ścianę góry, wysoką, ogromną, wtył odchyloną, półkolisto wklęsłą, a poprzątkowaną kamiennymi stopniami, obiegającymi półkole od dołu aż hen wysoko, jak rozpierające

e obręcze: u góry kamienne pręgi jaśniały w świetle księżyca, poprzerywane czarnymi, przepaścistymi plamami; niżej zalegał mrok, a dołem ciemność zwarta i czarna osiadła na dnie. Byli bowiem na dnie: na dnie pagórka wydrążonego, jakby w głębi wulkanu wygasłego, którego ściany strome zewsząd otaczały płaski krąg wewnętrzny i spinały się cembryzną wysoką hen w górę, rozchylając się zwolna coraz szerzej aż po krawędź półkolistą, przyrosłą do prostej cięciwy urwiska, przykrytą zasłoną czarną, a wyiskrzoną gwiazdami.

Byli w starym teatrze rzymskim, który, złupiony przez Wandalów, zburzony przez Bizantyńczyków, pogruchotany na miał przez Arabów, pustoszony przez Berberów, zniszczony, ogołocony z dawnej wspaniałości odarty i zbeszczeszczony, przespał tyle wieków pod gruzem własnym i pałaców sąsiednich, co się nań tam zgóry waliły i waliły, aż wypełniły cały ogromny amfiteatr kopiasto, tworząc w jego miejsce pagórek zwalisty, rozsiadły i łysy: dla chudych, berberyjskich kóz pastwisko jałowe.

Aż znów przyszli ludzie skrzętni, co jęli drążyć zasypany pagórek z powrotem, tysiącami i tysiącami podwoi wywoząc miał i rumowisko. I w wnętrzu pagórka, jak w wulkanie wytęchłym, ukazał się tego zawalonego i zapomnianego teatru szkielet nagi i obumarły. Nagi i obumarły za dnia, gdy jasne słońce oświeci całą jego pustkę, obdartą, ohydną, z połamaniem pierścieniami stopni, szczątkami kolumn, kapitelów, posągów, z dziurami zapadłymi i rozdzwionymi zebraczo. Ale dzisiaj, nocą — tym, co tutaj stanęli, wynurzeni z ciemności wąwozu, teatr ten kościotrup wydał się czemś przepięknem, potężnem,

groźnem i żywym: gmachem jakimś ogromnym, olśniewającym, tajemniczym, niewiadomo nawet, czy pustym, gdyż z za każdego rzędu ław, piętrzących się, jedne nad drugimi, spowitych mrokiem, muśniętych srebrem miesięcznym, wyzierały cienie czarne o kształtach zagadkowych: może szeregi słuchaczów, wpatrzonych w scenę, przytuloną do urwiska czarnego, wysłuchujących, czy z niej nie zabrmi słowo poezji potężne, jak owo, co ongi przejmowało tutaj jakim, nigdy niezapomnianym dreszczem młodego hulakę o płomiennej duszy — późniejszego świętego, odkrywcę czyśćca, kościoła chlubę. Stał wówczas teatr rzymski wspaniały, ozdobny, mocno rozsiadły, wzniesiony ręką rzymską twardą, silną i rządną, na podwalinach niewzruszonych wzniesiony z ciosowych złomów i skał marmurowych, jakby na wiek wieków; i, ledwo oczy zawarł św. Augustyn, teatru tego miłośnik zapalony i za młodu wieńczony w nim poeta, — runął i przepadł bez śladu.

A jednak stoi. Znów stoi. I choć nagi, rozwalony i opuszczony, nie martwy i nie bezduszny. Jak pusta muszla ludzi nasze ucho przechowanym pomrukiem morza, w którym niegdyś żyła; jak puste pudło skrzypiec, na których kiedyś mistrz tonami wyśpiewywał duszę, zachowuje na zawsze tych tonów szmer niemy: tak snąc z tego, opuszczonego przez tyle wieków zawaliska nie zwietrzała poezya, której ongi było ono przybytkiem: czai się w załamaniach siedzisk, w szczerbach murów potrzaskanych, pokruszonych ciosów, — w każdej szparze murów popękanych, w zagłębieniach, nasiąkniętych ciemnością, w każdej kolumnie sterczącej z mroku i prężącej ku światłu szczyt rozłupany; drży w promieniach księżyca, nu-

rzających się w nocy, — w pławiącej się w poświacie cembrzynie górnej, oberwanej nad pierścieniami ław pogruchotanych, w tył rozpartych, zapatrzonych w osłupieniu na scenę wyniosłą, zwaliskiem zmiażdżoną, ponurą i niemą: wszędy poezya czai się, drży i żyje.

Czują to wszyscy; po części bezwiednie. Nawet pan Spinelli przestał uśmiechać się i robić na palcach obliczenia, a zaszył się w kąt ciemny, może zawstydzony. że ta „masa materiału budowlanego“ przemawia doń inną mową, nie cyframi. Obok niego pan de Vieilleville, zawsze tak wyprostowany i wyniosły, zgiał się teraz w kabłąk i zwiesił głowę, smętny jakiś i zmięty. „Zielona małpa“ wydrapała się gdzieś na stopnie górne i stamtąd ponad cały amfiteatr, u stóp majaczący, zapatrzyła się twarzą w twarz księżycy, jak gdyby sobie mieli wiele do opowiedzenia i stoi malowniczo nieruchoma, z grzywą rozczepierzoną, napęczniałą światłem, i skrzyżowanemi na piersi rękoma. Pomiedzy dwoma towarzyszami (murzynek na nogach podwiniętych przykucnął na ziemi) baronowa usiadła na najniższym stopniu na wprost sceny, przygarbiona, z głową wspartą na rękach spojonych zaplecionymi palcami; wielkie źrenice czarne, osłonięte, w słup postawiła i usta nieco rozchyliła, jak gdyby wsłuchując się w coś niesłyszalnego. I bodaj, czy przez tę chwilę, kiedy w tej ruinie opuszczonej, w tym ciemnem wydrążelisku, wyżłobionem na odludziu, siedzieli tak milczący, otuleni nocą i ciszą, bodaj czy tych ludzi, których nic nie łączyło, luźną zbieraninę z czterech krańców świata, nie spoiła przez oka mgnienie jedna zaduma wspólna, dysząca ze zwalisk, tętniąca w każdym ich

złomie, rozpadlinie i popruciu, i z tej ciemni niemo pelzająca aż po niebo czarne: tak przemożna, że nieoparcie zagarniała myśli i uczucia rozbieżne i wiązała je w snop jeden.

— Którędy? — szepnęła baronowa, nachylając się ku uczonemu.

— Zaprowadzę.

Wymknęli się milczkiem i zniknęli za zagięciem wąwozu. I niebawem, na czarnem tle cięciwy, o którą opierała się scena, ukazały się dwie postaci białe. Mężczyzna w helmie przystanął w głębi, niewiasta w bieli wysunęła się zwolna na przód sceny. Twarzy jej nie było widać: promienie księżyca, zśliżgujące się po krawędzi urwiska za sceną, padały smugą jasną z tyłu na jej głowę, owiniętą szalem przezrzystym, a mieniącym się błękitem, fioletem i srebrem, i rozżarzając jego barwy, tworzyły świetlną aureolę około twarzy, pograżonej w cieniu. Biała niewiasta przystanęła, podniosła rękę, i głos niski, dzwięczny, doniosły, trysnął z ciemności, rozdarł ciszę i z mocą uderzył o napiętrzone rzędy ciosów:

„Będą narzekać nad tobą głosem wielkim i będą wołać gorzko i nasypią prochu na głowę swe, a popiołem się posypią.

„I ogolą łysiny dla ciebie a opaszą włościanicami, i będą cię płakać w gorzkości dusze płaczem bardzo gorzkim.

„I wezmą nad tobą pieśń żałobną i będą cię żałośnie płakać: które jest jako ty, któreś umilkło pośród morza?

„Które wychodzeniem towarów twoich z morza napelniałeś narodów wiele, mnóstwem

bogactw twoich i ludzi twoich z bogacaleś króle ziemskie.

„Teraz starteś z morza, w głębokości wód bogactwo twoje i wszystko mnóstwo twoje, które było w pośrodku ciebie, upadło.

„Wszyscy obywatele wysep zdumieli się nad tobą, a królowie ich wszyscy, nawałnością porażeni, zmienili twarze.

„Kupcy narodów świstali nad tobą: w niewczes obrócone, a nie będzie cię aż na wieki!

„Rozwalą mury twoje i pokażą wieże, i wyskrobią proch z ciebie i uczynią jako przezroczywą skałę.

„Przyjdzie od północy wróg z końmi i z wozami, i z jezdnyimi, ze zgrają i z ludem wielkim.

„Córki twoje, które są na polu, mieczem pobije, i otoczy cię basztami, i usypie groblę wokół, a podniesie na cię tarcz.

„I tarany postawi przeciw murom, a wieże twoje zburzy orężem swoim.

„Od gwałtu koni jego okryje cię proch ich, od tętentu jezdnych i kół i wozów poruszą się mury twoje, gdy wnidzie bramami twemi, jako przez wejście do miasta zburzonego.

„Kopytami koni swych zdepcze wszystkie ulice twoje, twój lud mieczem siec będzie, a słupy twoje zacne na ziemię upadną.

„Spustoszą majetności twoje, rozchwycą kupiectwą twoje i rozwalą mury twoje a domy twoje okazałe wywrócą: i kamienie twoje i drzewo twoje i proch twój w pośrodek wody wrzucą.

„I uczynię, że ustanie mnóstwo pieśni twoich, a głos cytr twoich nie będzie więcej słyszany.

„I stąpią z stolic swych wszystkie księżta morskie i zwloką odzienie swoje, a rozmaitych farb szaty swoje odrzucą a obloką się zdumieniem; na ziemi usiądą, a zdumiewszy się z nagłego upadku twego, dziwować się będą.

„A wzięwszy o tobie narzekanie rzekną tobie: *Jakoś zginęło, które mieszkasz na morzu, miasto znamienite! któreś było mocne na morzu z obywatelami swymi, których się bali wszyscy!*

„W niwecz cię obróć, i nie będzie cię: a gdy cię szukać będą, nie najdą cię więcej na wieki — mówi pan!”

Niewiasta w bieli zamilkła, opuściła ramiona i cofnęła się w głąb z smugi księżycowej, iż zgasała nad jej głową świetlna aureola; ale słowa te rzucone były pełną pierśią w jamę czarną pustego teatru głosem potężnym, a z mocą taką, że zdawało się, iż: *„a gdy cię szukać będą, nie najdą cię więcej na wieki — mówi Pan!”* — brzmi nadal przyciszenie między ponuremi ścianami urwiska, jak podzwiek rozhuśtanego dzwonu, kołyszącego się jeszcze, mimo, że o jego boki serce uderzać przestało. Gdy głos wreszcie zagasł i doszczętnie wsiąknął w cisze, z ponad najwyższej krawędzi cembrzyny odezwało się przytłumione skomlenie szakala, długie, przeciągłe, żalosalne. I zaraz, jakby w odpowiedzi, z innych szczytów skomlące, szakale skargi zawyły zcicha po nocy. „Długowłosa żółtodziób”, który stał ze skrzyżowanymi rękoma na stopniach górnych, odwrócił się żywo, szybko ze stopnia na stopień

skakać począł w górę, czepił się potem rękoma urwiska i wdrapał na górną jego krawędź. Rozejrzał się po szczycie, lecz nie dostrzegł niczego: pusto wszędy było i głucho. Baronowej wydało się, że dostrzegła jakieś, przycupnięte nad przepaścią, czolgające się cienie, co gdzieś rozwiały się, czy zapadły; było to zapewne złudzenie.

Jean-Jacques zawołał z góry, że okraży szczytami teatr i czekać będzie na dole u wylotu wąwozu. Przybywszy z powrotem czarną gardziel przekopu, niebawem na jasnej drodze znalazło się towarzystwo całe, do którego przyłączył się „zółtdziób“ zadyszany. Pan Armand de Vieilleville szedł u boku baronowej, obsypując ją komplementami:

— Co za głos! Co za siła! Co za polot! Niech pani powie, czy to była własna jej improwizacja?

Baronowa nic nie odpowiedziała, natomiast dr. Zwang zauważył:

— Mnie to zadziwia, że pani na pamięć umie ten wzruszający jęk żaloszny Ezechiela nad upadkiem przesławnego Tyru.

Baronowa widocznie nie uspokoiła się jeszcze, przeciwnie, wydawała się jeszcze bardziej podniecona. Twarz jej matowo bladą przebiegały co chwila drgawki: usta zacisnęła i wargi zagryzła, a oczy naprzemian to kryły się za rzęsami zapuszczonemi, to migotały błyskami, rozżarzonemi na dnie źrenic czarnych i ogromnych. Na uwagę uczonego zakrzyknęła w rozdrażnieniu:

— Hymn żaloszny? Pan zwiesz go żalosznym? Może on brzmiał żalosznie w mych ustach; ale to żalłość moja, a nie Ezechiela! On żalłość kłamie! Na dnie jego pieśni drga radość i tryumf!

— Skąd pani to wnosi?

— Ja nie wnoszę. Ja to wiem; ja to czuję. Bom ja Chanaenka! Ja z Tyru jestem rodem. Co mówię? Niema Tyru. Sur tylko został. Wszak pan wie, co to Sur?

— Dzisiejsza nazwa Tyru. Etymologicznie z hebrajskiego *sur*, a zaczęj *sor*, to znaczy skała.

— Tak skała. Ta „przezroczysta skała“, której śpiewał prorok, ona dziś mianem Tyru. I Tyr jest tą skałą. Tyr wspaniały, Tyr możny, Tyr zyciodajny, ojciec setki miast, co kwitły wszędy nad morzami, jest dziś skałą, spustoszoną, obwianą piaskami, skałą zamarłą. Oh, jakby śpiewał Ezechiel i zawodził, gdyby widział mój drogi, mój znikczemniały Tyr dzisiejszy!

— Przecież nie Hebrajczycy Tyr zburzyli.

— O nie. Nie oni. Oni mieliby się porwać na Tyr potężny...? Oni go tylko zdradliwie podkopywali, a potem śmiali się, gdy upadł. Są jeszcze pod Libanem stare, maronickie dziś, rodziny, co pomną i nie zapomną.

— Ja pani rzeczywiście nie rozumiem. Między Tyrem a Jerozolimą stosunki bywały zażyłe. Salomon przyjaźnił się z wielkim Hiramem, uczył się odeń budownictwa, budulec sprowadzał z Libanu, a kruszce drogą na statkach fenickich z Ofiru.

— Z wielką dla siebie korzyścią. Ale nasze stosunki dawniejsze, odwieczne; wszak Hebrajczycy pobratymcami nas, Chanaejczyków. I sami to pobratymstwo pięknie opisali: za to, że Cham ujrzał pijanego ojca, Noego, z odkrytem łonem, za to i nic więcej, ten rzekł, wytrzeźwiawszy: „przeklęty Cha-

naan, niewolnik niewolników będzie braci swoich"! Oh, na tem przekleństwie świątyny interes zrobiło chytre potomstwo Semowe! Rozeszliśmy się. Oni na Wschód, za Eufrat, my do Palestyny i za Liban. Aż Abraham, w dziesiątym pokoleniu potomek Noego, przyszedł z trzodami do nas jako „przyjaciół i gości“. I ten „przyjaciół i gości“ o naszą skórę zawarł z Jehową „umowę“: żebym był bogiem twoim, dam tobie i nasieniu twemu wszystką ziemię chananeńską w osiadłość wieczną“. Naszą ziemię! a odtąd ich ziemię „obiecanej“! Poszli potem do Egiptu i coś pięć wieków tam przesiadzieli, nim przypomnieli sobie obietnicę. Wtedy wrócili, i jak wrócili! „Wysłuchał Pan Izraela i podał Chanańczyka, którego on wybił, wyróciwszy miasta jego“! Jehowa kazał mu „wytracić obywateli ziemi“ (naszej ziemi!) i oni posłusznie „wybili męża, niewiasty i dziatki, nie zostawiając niczego“ i „nie było wsi i miasta, któreby uszło rąk ich: wszystkie im Pan podał“! A ich hasło-przykazanie, gdy wydzierali nam ziemię naszą i w pień wycinali jej ludność, brzmiało: „dostaniesz miasta wielkie i bardzo dobre, którychś nie budował, i domy, pełne wszystkich bogactw, którychś nie zbudował, studnie, którychś nie kopał, winnice i oliwnice, którychś nie sadził — a będziesz jadł i najesz się!“ Oto nasi pobratymcy! Jak pan tłumaczysz ich miano?

— Hebrajczycy? — Transpotamoi, przybysze z za rzeki.

— Przybłądy! Plemię zawistne, wszędy obce i wrogie!

— Niech się pani uprzejmie miarkuje, — szepnął pan Spinelli, oglądając się na architekta, który w tyle pozostał, by zapalić cygaro; — pani nie wie, że

jej słowa mogą nieprzyjemnie dotknąć pana de Vieilleville... Bo jego rodzina właściwie z pochodzenia... Dawniej nazywali się podobno Levi... To mu nic nie uwłacza: nazwisko bardzo arystokratyczne... Zresztą, kto dziś o to pyta? On dzisiaj hrabia.

— Co pan powiada? Pan Armand de Vieilleville jest z pochodzenia Żydem? Nie może być! Za informację tak nadzwyczajną muszę odwdziaczyć się informacją, równie niespodziewaną. Aszur! Chodź tutaj!

A gdy ten stanął przed nią wylękły, łyskając zębami i wybałuszając ślepią, baronowa wskazując nań, rzekła z wielką powagą:

— A Aszur pochodzi z rodziny... murzyńskiej!
I parsknęła śmiechem.

— Skąd w pani tyle nienawiści? — odezwał się ojciec Robin; — pani za winy przodków ściga gniewem ich potomstwo aż po setne już chyba pokolenie.

— Ja ze stanowiska naukowego miałbym wywodom pani wiele do zarzucenia, — rzekł dr. Zwang; — wywody jej nie są ściśle. Pani widocznie nie zna całej literatury naukowej, nie mówiąc już o świetnych hipotezach d-ra Cheyne. A i ta jej kategoryczność w rozeznawaniu typu żydowskiego nie da się również naukowo uzasadnić. Żydzi przybywszy do Palestyny, już nie byli rasą czystą. A odtąd... Z dwunastu ich pokoleń zostały rzekomo dwa; reszta zaginęła. A ja pani powiadam, że zaginęły wszystkie dwanaście! Żydzi dzisiejsi z bardzo nielicznymi wyjątkami, nie mają w żyłach ani kropli krwi hebrajskiej. To zbieranina rozmaitego pochodzenia, na mozaizm kiedyś nawrócona, a odosobnieniem w ghettach doprowa-

dzona do typu wspólnego, który jednak antropologicznie nie jest odrębnym, ani jednolitym. Jak islam sprawił, że mieszaninę ludów w Afryce północnej zwiemy Arabami, tak mozaizm sprowadził do wspólnego typu „Żydów“ najrozmaitszego pochodzenia. Dość wspomnieć Chazarów, nawróconych gromadnie na mozaizm, i „Maurów żydzących“, o których pisze Cerwantes.

— Ale zato, jak się trafi taki „nieliczny wyjątek“, jak wasz piękny architekt, omylić się trudno. Zwłaszcza, gdy się nań spojrzy okiem pobratymcy! I wówczas we mnie, córce „przeklętych synów Chanaan“, milknie wszystko, prócz gniewu.

W tej chwili z zapalonem cygarem zbliżył się architekt. Pan Spinelli zawołał żywo:

— Panowie, nie mamy ani minuty do stracenia! Już dochodzi dziesiąta; pana Mac Gregora tylko co nie widać. Pani baronowa wybaczy, ale musimy wracać śpiesznie. Niech pan Jean-Jacques towarzyszy pani baronowej, on nie będzie narazie potrzebny. Ale my czterej, pani daruje...

— Do widzenia.

I pan Spinelli z architektą, ojcem Robinem i dr-em Zwangiem szybkim krokiem iść poczęli w górę ku hotelowi. Po chwili wszakże młody uczoney zawrócił, podbiegł do baronowej i szepnął cicho:

— Niech pani mi ufa, że nie zapomnę niczego, co z jej ust dziś słyszałem. Nie zapomnę nade wszystko tego, co pani mówiła o bezczeszczeniu grobów. Ja nad tem dzisiaj cały czas myślałem: przyrzec nie mogę! Powiem pani tyle: gdybym odnalazł grobowiec owej pielgrzymki z Tyru, która tu się schroniła przed trzydziestoma wiekami, spokój jej

uszanuję. Zbadam, ale jeden tylko księżyc tego będzie świadkiem.

I młody uczony zniknął, popędziwszy za towarzyszami. Natomiast Jean-Jacques, który trzymał się na uboczu, przybliżył się do baronowej.

Zostali sami. I wolno szli obok siebie drogą odludną, wodząc oczami po stokach wzgórza, półświatłem księżyca wysrebrzonych, i dumając każde sobie i każde osobno.

VI.

Powróciwszy z Jean-Jacques'em przed gospodę z szumnem mianem „*Grand Hôtel Saint Louis*”, baronowa zawołała na czarnego wyrostka:

— Aszur! przynieś tu dwa krzesła i powiedz panu Spinellemu, że pan Jean-Jacques jest tutaj ze mną, i że wystarczy zawołać z terasy, jeśli go będzie potrzeba.

Krzesła kazała ustawić nie przy hotelu, ale znacznie niżej pod urwiskiem, podtrzymywanem wysokim murem rzymskim.

— Tak; tutaj dobrze, zacisznie, — odezwała się po chwili; — stąd nie widać ani hotelu, ani żadnego ludzkiego siedliska, jeno to, u naszych stóp strome i puste odludzie: w dole morze cichuteńkie, połyskiem wygładzone; w powietrzu cisza rzeźwa, wonna, przepojona słonym oddechem morza i oddechem ziół, krzepiących się po skwarze dziennym; w górze księżyc dojrzały, pełnią nabrzękły, jasny, cichy, wylany. I taki spokój. Mnie tak dzisiaj potrzeba wykapać się w ciszy, w spokoju i w tem świetle łagodnem, co jeno głaszcze, nie razi. Byłam nieznośna; wiem o tem. Różne rzeczy na to się złożyły: i takie, co gniewają i drażnią, i takie, co budzą wspomnienia smętne. Tak tu dobrze. Przypominają mi się lata dziecinne: tam też takie morze, taka pustka, taka cisza i takie noce wspaniałe a smutne. A pan, gdzie spędził dzieciństwo?

— Nie mam wspomnień jednolitych. Mój ojciec był nauczycielem w Avignonie. Byłem wtedy takim malcem, iż mającą mi w pamięci tylko mury stare, w pobliżu winnica, pomarańcze i gaj oliwkowy; wkoło — słońce, wesele i śmiech serdeczny. Po śmierci ojca matka zabrała mię do swej Bretanii ojczystej: dżdże, mgły, ziemia jałowa, kamienista, niebo szare, na wzgórzu kościółek z dzwonkiem na wieży, drzewa rzadkie, wątle, w tył wygięte, z łękiem odwrócone do Oceanu, pieniaącego się gniewnemi falami u stóp skał ogromnych, połamanych. Prowan-cya — Bretania, a dziś — Kartagina! Jakie przeskoki, jakie światy różne! Żadnem wspomnieniem dawnem czepić się nie mogę tego, na co dziś patrzy oko. A jednak wydaje mi się nieraz, jak gdyby ten świat tutejszy ze swą pustką, smutkiem, ciszą i radosnemi błyskami, był światem moim dawnym, jeno że zapomnianym, a nie zjawą świeżą, do której dopiero co przyłgnałem.

— Kim pan jesteś? Dziwi pana zaczeność mojego pytania? Niema w nim ciekawości zdrożnej. Bo mnie wszystko jedno kim pan jesteś. Dowiem się dzisiaj? — zapomnę jutro. Gdy zza naszych pleców, z nad urwiska, zawołają z terasy: „Panie Jean-Jacques!“, uklonisz mi się pan pięknie, odejdiesz, i zapewne nie spotkamy się już w życiu.

— Nie spotkamy...? Pewno, że nie spotkamy.

— Pytam pana, kim jesteś, bo pan nie jesteś mną: a od siebie pragnę się dziś oderwać. Mów mi pan o sobie. Kim jesteś?

— Nie wesołe wyznania. Ale skoro się już nie spotkamy w życiu... Kim jestem? Niczem. I to mnie gryzie i złości. Zdaje mi się, że wszyscy

widzą, że jestem niczem — pewno, że widzą — i błyskam pierścieniami na stopach bosych i rozczepierzam aż hen po plecach grzywę kudłatą, iżby czemś wrazić się ludziom w oczy i nie minąć niepostrzeżony. Pani myśli zapewne: „ot sobie, malarz pokojowy, któremu się zdaje, że jest wielkim geniuszem; znana historia!“ Otóż nie. Ja zostałem malarzem pokojowym, właśnie, żeby zostać czemś. A i to nie dopisało! Więc blaznuję, iżby nikt nie odgadł. Skoro jednak nie spotkamy się więcej...

— A wprawdzie czem pan byłeś?

— Uczniakiem. Czemużby? Matka miała rentę dożywotnią i łożyła na wykształcenie. Pocziwe matczyisko! A mnie się zachciało wstąpić do Akademii malarskiej. Nie miała baba kłopotu. Zrazu szło wszystko gładko, nawet za pięknie. Omal, że nie zostałem cudownym dzieckiem. Pochwały, nagrody, „talent obiecujący“... Zawróciło się coś w głowie? Potrosze. Co gorzej, że się w niej rozpałiło. Minęło parę lat. Talent, jak „obiecował“, tak niby „obiecuje“, a ja czuję, że ani kroku postąpić nie mogę naprzód.

I podczas, gdy ja szamotałem się w Paryżu, pocziwa matka umarła w swej Bretanii smętnej. I ani wprzód doniosła, że oddawna chora, żeby się synek nie martwił... I bez jej pomocy mógłbym był dać sobie jakoś rady i dalej w Akademii siedzieć; nie wytrzymałem. Tak mię wciąż trawiła obawa, że lada chwila spostrzegą się wreszcie wszyscy, że ja wciąż jeno „obiecuję“ i „obiecuję“, a nie dotrzymuję nigdy: — i co wtedy? Wolałem wprawdzie zniknąć. Dowiedziałem się, że w Kartaginie potrzeba malarzy pokojowych, — ładny kraj! wrażenia nowe! przyjechałem więc tutaj i maluję ściany zawzięcie; — cóż, kiedy podle!

— I rzucił pan malarstwo?

— A jakże! Niech mi pani wskaże pijaka, co się odrzekł dobrowolnie kieliszka!

„Długowłosa żółtodziób“ machnął przy tych słowach ręką, zamilkł i zwiesił głowę. Zadarł ją jednak zaraz, wstrząsnął grzywą i rzekł:

— Wie pani co? Mnie się widzi, że nastala pora, bym ja panią znów zapytał: kim pani jesteś? Mnie wszystko jedno, kim pani... Pytam, bo pani nie jesteś mną...

— Wszak pan wiesz, kim jestem. Wszyscy wiedzą.

— Myślałem, że wiem. A nieprawda. Przekonały mię o tem moje „paskudniki kochane“. Pani nie wie, kto to taki? To te berberskie dzikusy, co przed chwilą, tam na dole, zwoływały się ze szczytu na szczyt, udając wycia szakali, i czołgały się chyłkiem po urwiskach, zazierając do wnętrza dawnego teatru, wylekłe, że wskrzeszona pełnią, wyrwała się z grobowca wielka Elissa z Tyru i zwoła swych wiernych!

— Paskudniki nie omyliły się tak bardzo: Jestem z Tyru, a na imię mi Elissa. Tylko, że jeszcze nie mam potrzeby wyrywać się aż z grobowca. Ale, czemuż to pańskie „paskudniki kochane“ robią konkurencyę naszemu uczoneму niemieckiemu i zajmują się przedhistoryczną archeologią tych gruzów? Ale prawda, Dr. Zwang radził mi, bym o dzieje zagadkowej założycielki Kartaginy zapytała pana. Pytam, bom ciekawa losów swej rodaczki. Lecz czyż i pan taki uczony, że aż sam pan docent powołuje się nań, jak na powagę?

— Ciężkie nastały dziś na mnie czasy! Widzę, że i z tego przyjdzie się wypowiedać! Skoro wszak-

że nie spotkamy się więcej... Księżyc się też nie wygada, bo on ze mną w znowie. Historia z tą Elissą, to taka dziwna historia, że ja sam nie wiem, czy to żart niewczesny i głupi, czy też tajemnica zawrotnie głęboka? Nikomu jej dotąd nie zdradziłem z obawy, że mógłby uśmiechnąć się wzgardliwie. A ja sam się z niej niby śmieję! Z d-rem Zwangiem rzecz poszła gładko. Niema, jak ci uczeni gruntowni! Wystarczy słuchać ich uważnie i potem to, co się usłyszało, opowiedzieć im z powrotem jako rzecz nową, byle przystępnie, jasno i żywo, — głupieją: tak oryginalnego poglądu nie słyszeli nigdy! Nie poznają własnego dziecka, odartego z erudycji papierowej. Otóż o Elissie nasłuchiwałem się od d-ra Zwanga dosyć, a ze szkół też coś niecoś wiedziałem. Powiedziałem więc sobie: po poezyach i legendach rozprószone są znamienne rysy wielkiej tyryjskiej córy, o której podanie zapomnieć nie mogło wiekami; — bo nie ulega wątpliwości, że one dostały się tam z podania ustnego; — zbierzmy je razem i stwórzmy z nich kobietę żywą. I tak sfabrykowaną zaprezentowałem uczonemu. Opowiada mi raz o owym Melkarcie, co to był uosobieniem rozpędu kolonizacyjnego Tyryjczyków, a ja mu na to, wzruszając lekceważąco ramionami: „wielka mi sztuka, skoro ten rozpęd i ta chwała Melkarta dosięgła szczytu, kiedy jego wielkim kapłanem był człowiek, czerpiący natchnienie z ócz boskiej Elissy“! I nuż mu opowiadać o tej niewieście niezwyklej, budzącej wkół siebie miłość i zapal, jednym spojrzeniem tworzącej bohaterów, gdy (jak mówi Wirgili) „u ust mówiącego zwisa rozkochana“. Opowiadałem mu, jakbym to był wczoraj przeczytał w „Journalu“ za-

pamiętała miłość wielkiego kapłana, jego zamordowanie przez brata Elissy, zazdrosnego o siostrę króla Tyru; jak starczyło, że Elissa ukazała się ludowi i skrzyknęła mężów, by zaraz znalazła się garść śmiazków dzielnych, co wszystko rzucili, wbrew królowi przenieśli na statek skarby i popłynęli z nią na morze otwarte naoslep, tam sterując, gdzie Elissa spoczęła oczyma; — opowiadałem, jak tu przybyła, zagarnęła ziemię, założyła miasto (czy zawładnęła założonem dawniej), ład wprowadziła i rządy; jak za nią z Tyru sam Molkart podążył; jak spojrzeniem uśmierzyła Jarbasa, dzikiego Numidów władcę, a ten do nóg jej padł rozmiłowany; jak, nie mogąc zagasić ogni, które rozniecała wkoło, schroniła się przed nimi na stos rozgorzały; jak, już nieżywą, ze stosu porwał Jarbas na czele Numidów, w prastarem Kambe studnię jej wykopał zwyczajem punickim i sam za nią w tę studnię skoczył; jak następne pokolenia oddały jej cześć boską, widząc w niej i założycielkę grodu i boginię miłości, wskrzesicielkę wiosny, panią odradzającego się księżyca! I, niedopuszczając pytania, skąd to wiem tak dokładnie, zaskoczyłem uczynego propozycją pokazania mu grobowca Elissy: „bardzo ciekawy zabytek, dotąd nieodkopyany“! I pokazałem.

— A to, jakim cudem?

— Tak jest. Rzeczywiście cudem. A może nie był cud, jeno urojenie głupie, i nie grób Elissy znalazłem, choć d-r Zwang o tem nie wątpi? Wchodzą tu w grę moje „paskudniki kochane“. Od początku czułem pociąg do tych malowniczych, wrogich, nieuskromionych dzikusów, takich dzisiaj, jak ich przodkowie, co mszcząc swego Jarbasa, w zgłiszczce obró-

cili świeżo powstałe miasto. Nieraz skradałem się do ich koczowisk, by szkicować tych wielkich panów-
nędzarzów, co zbliżyć się do siebie nie dadzą. Pracowałem wówczas u „ojców białych“, gdyż hotelu jeszcze nie budowano. Razu pewnego przyplątał się do mnie jakiś wyrostek, niby Arab (tu wszystkich tubylców zwą Arabami, choć prawdziwych niema niemal zgoła). Przypuszczam, że mały przybędą jednooki był raczej dzieckiem góralskich Kabyłów, pochodzących z berberyjsko-wandalskiego krzyżowania. Rzekł do mnie: „ja cię tu będę oprowadzał“. I, nie czekając odpowiedzi, usiadł na progu. Gdym wychodził, towarzyszył mi zawsze; gdym był w domu lub przy pracy, siedział przede drzwiami. Dawałem mu czasem po kilka miedziaków; brał je nie dziękując; nie napierał się nigdy. Czasem znikał i nie było go tydzień; i znów pewnego ranka siedział na moim progu, nie racząc dać mi wyjaśnienia co do swych wędrowek. Mały włóczęga mówił po arabsku, bardzo lichy po francusku i włosku, a władał również narzęciem Berberów. Jemu zawdzięczam najwięcej wiadomości o ludziach tutejszych. Był mi zaś pomocnikiem niezrównanym przy podchodzeniu, czy przywabianiu Berberów: ja kryłem się ze szkicownikiem, a on mi ich naprowadzał, zagadując. Raz, w taki wieczór jak dzisiaj, odezwał się: „Dziś pełnia; Berbery będą odprawiać swe obrzydliwości na grobach; chcesz zobaczyć?“ „Prowadź“. Ukryliśmy się pod jakimś sklepieniem obalonem, czy kawałkiem cystermy rozłupanej. Księżyc świecił jasno, więc tem czarniejszą wydawała się kryjówka, w której przyczailiśmy się nieruchomo. Niebawem ścigać poczęły Berbery na szczyt pagórka. Zjawiali się chyłkiem,

wychylając z nocy, niewiadomo skąd, jeno że co chwilę na szczycie przybywała nowa postać, niemo przykucnięta. Patrzyłem na nich nieco w górę, jakby tu, na prawo, siedzieli na tym pagórku. I było coś uroczystego i coś groźnego w tych postaciach w łachmanach, usadowionych kołem, jakby wieńcząca szczyt korona zębata i wyblakła, oblaných światłem księżycyca, rysujących się wyraźnie na tle nieba, jak posągi nieruchomych, z drapieżnym wyrazem, zastygłym na twarzach nieruchomych jak u posągów. Było ich z dziesięciu, samych mężczyzn. Wtem, prowadzona przez dziecko, ukazała się kobieta ślepa, jeszcze młoda, w pół odziana w przerzuconą przez ramię chustę poszarpaną, wyprostowana, krocząca wolno, dumnie, z podniesioną głową, okoloną grubemi splotami czarnemi, z twarzą szlachetną, orłą, jeno że spokojną w swej dumie i sile. Było coś królewskiego w tej żebracze ślepej, gdy zatrzymała się na szczycie i usiadła pośród Berberów milczących.

— Przepraszam, że, mimo całą ciekawość, co się działo dalej. przerwę mu pytaniem: czy pan wymalowałeś już tę scenę?

„Długowłosa żółtodziób“ zmieszał się jak żak, schwytny na gorącym uczynku, i zakłopotany odbaknął:

— Skąd pani przypuszcza? Skąd pani wie? Ja miałbym porywać się na obraz taki? Ani mowy! Nie podolał.

— Pan nie podolał? pan, co tak to czuje, że ja widzę obraz cały? A lepiej pan chyba wyraża swe uczucia linią, plamą i barwą, niżli słowem. Inaczej nie malarstwo ciągnęłoby pana z taką siłą, jak pijaka wódka. Próżno się pan wzbranasz: pana ten obraz

męczyć będzie dotąd, aż dasz mu życie. Pan jeden dać mu może życie.

Jean - Jacques spojrział w twarz baronowej wzrokiem zadziwionym. Z wyrazem nieśmiałej, wyczekującej radości czepił się oczyma czarnych, błyszczących oczu baronowej, jak człowiek spragniony czepia się źródła wargami. Baronowa położyła mu rękę na ramieniu i głosem ciepłym, macierzyńskim, rzekła:

— Pan podoła. Pan to wymaluje. Dla mnie wymaluje. Pomówimy jeszcze o tem. A teraz opowiadaj pan co działo się dalej na owym pagórku?

— Zaraz, dobrze. W tej chwili. Co się działo na pagórku? Prawda... Lecz wprzód muszę pani powiedzieć, skąd wiem, co się dalej działo. Ja nie rozumiem mowy Berberów. Czy ją rozumiał mój przewodnik, Kabil? Powiadał, że tak. Czy, zrozumiawszy, mógł wszystko spamiętać? swą ubogą, łamaną francuzczyzną wszystko wyrazić i powtórzyć? Czy ja z jego gadaniny wyrozumieć mogłem prawdę? Alboż ja wiem. Juściz tak wątpliwą drogą przekazane mi słowa nie zasługują na to, by je brać poważnie. Niech ich pani poważnie nie bierze i uśmiecha się z politowaniem. Ale tak, bym nie widział. Co to pani szkodzi? bo mnie to wszystko: ta noc, ta pustka, ten księżyc, to koczowisko na gruzach, i ta żebraczka ślepa, obdarta, piękna, dumna i natchniona — a rzucająca w głuchą ciszę słowa wpół śpiewane niezrozumiałą mową — wszystko to wzruszyło mię do głębi.

— Uśmiechać się? Powiedz pan odrazu: bluźnić! Spojrzyj mi pan w oczy: czy natrząsanie w nich widzisz i drwinę, czy może odbicie własnego wzruszenia, wierne i szczere?

Jean-Jacques wpatrzył się w te źrenice czarne i ogromne, zatopił się w nie spojrzeniem długim i łaknącem i, nie odrywając już od nich oczu, mówił dalej:

— Otoczona kręgiem postaci niemych, ślepa wieszczka uderzyła parękroć miarowo w bęben, czy jakiś przetak, skórą obciążony, podniosła głowę piękną, szpizowo spokojną, i dźwignąwszy w górę obie ręce, wyciągnięte i drżące, zawołała głosem silnym, zawodzącym, w pół śpiewnym:

„Strzeżcie się, strzeżcie, Umarłej. Księżycyca nad nią moc, księżycyca nad nią dziś blask!

„Choć studnia głęboka ją więzi, choć, gniewie studnię ta góra, — strzeżcie się, strzeżcie Umarłej: księżycyca dzisiaj w niej moc!

„Kto ona? — odwieczny wróg! Kto ona? — proch i trup! Strzeżcie się, strzeżcie Umarłej! Księżycyca dzisiaj w niej moc.“

Tu wieszczka urwała, opuściła ręce i zaczęła bić pięścią miarowo w przetak; natomiast nieruchomy krąg męski wzniósł w górę prawicę i powtórzył za nią, jak przycichły twór:

„Strzeżmy się, strzeżmy Umarłej! Księżycyca dzisiaj w niej moc!“

— I znów ślepa wieszczka jęła zawodzić:

„Kto mocen nad wszystkie moce? Komu korny bogów rój? Omilboja światłości krynica! Omilboja wszech blasków pan! On z jutrzni pije świt! Z południa blask i żar! Z zachodniej zorzy zmierzch!

„Kto władny nad puszczą, nad brzegiem? Zasobny w rój stad i trzód? Przed kim pierzchają najezdce? Przed kim w proch korzy się

*wróg! Jarbasa słucha kraj! Jarbasa wielbi lud!
Król Jarbas słońca wnuk!*

*„Strzeżcie się, strzeżcie Przemożnych!
Omilboja nad bogi bóg! Król Jarbas nad króle
pan! ¹⁾).*

— I znów prawice wzniosły się w górę, i znów przy rytmicznym, głuchym huku bębna chór potwórzył:

*„Strzeżmy się, strzeżmy Przemożnych!
Omilboja nad bogi bóg! Król Jarbas nad króle pan!*

— Ślepa niewiasta podjęła swą pieśń:

*„Kto wtargnął na nasze pastwiska? Kto
w nasze pola się wdarł? Kto obce wwiódł do
nas bogi? Kto wrogi zbudował gród? Uroki
czarne zna! Z miesiąca czerpie moc! Na króla
rzuciła czar.*

*„Przepadnij, przepadnij, Umarła! W prze-
pastnej studni zgnij! W ciemności niech zginie
twoja pamięć! Niech zginie sobowtórceń! Pod
górami czarny twój grób! Pod wiekiem two-
je próchno i trup! Nad trupem sam Jarbas ma
straż.*

*„Gdy słońce zapadnie w morze, mknie zmar-
łych z Zachodu bóg! Czołga się pełnia po nie-
bie! W ziemi — wąż, „światła wróg! Zmarłych
przyjaciół bóg! Zmarłych towarzyszy wąż! Księ-
życ Umarłej druh! Strzeżcie się, strzeżcie,
Umarłej! Choć kryje ją góra i gruz! Rwie się
ku pełni sobowtór, aż dziesięć zawali go miast!*

¹⁾ Omilboja, w potocznej mowie Berberów „Amulab“, jest nazwą kameleona, odmieńca, czczonego jeszcze po dziś dzień, jako symbol słońca; w niektórych zakątkach Afryki północnej.

*„Strzeżcie się Umarłej! Księżycyca dzisiaj
w niej blask! Księżycyca nad nią dziś moc!*

*„Strzeżcie się, strzeżcie Przemożnych!
Ombilboja nad bogi bóg! Król Jarbas nad kró-
le pan!”*

— Gdy przebrzmiał wtór, powtarzający ostatnie słowa wieszczki, i przycichło miarowe dudnienie jej bębna, nastąpiła cisza zupełna. Krąg przykucniętych nędzarzów skamieniał nieruchomo. Wieszczka bezwładnie opuściła ręce, zwiesiła głowę, skurczyła się sama w sobie, zmalęła i w niemem skupieniu opuściła powieki na oczy ślepe. Księżyc wzbił się wysoko i pełną tarczą jaśniał nad wieńcem wzgórz zamartwych i zatoką zastygłą i lśniącą. Noc taka sama, jak dzisiejsza: bez obłoka na spłowiałem niebie, bez powiewu, marszczącego morze; i taka, jak dziś, cisza zasłuchana. Trwało to długo. Wreszcie ślepa zebraczka ocknęła się, wyprostowała, i z podniesioną głową zawołała doniośle:

„Czuwajcie! czuwajcie!

„Pełnia krzepi! pełnia promieniami cuci!

„Nęci i wabi!

„Ku życiu pręży się sobowtór-cień!

*„Czuwajcie aż dziesięciu miast przywali ją
gruz!*

„Czuwajcie!

— Wieszczka zerwała się, uderzać ją w bęben ruchem tak szybkim, jakby nie pięścią weń biła, ale sama ręka rozedrgana po bębnie warczała; naprężyła się, wygięła, w tył rzuciła głowę, ślepe oczy utkwiliła wprost w twarz księżycyca i zakrzyknęła:

„Słuchajcie! Słuchajcie!

*„Słuchajcie głosu z pod mogiły—Taka jest:
Umarłej pieśń!*

„Miesiąc wschodzi, i miesiąc zamiera: miesiąc żyje jeden tylko raz! Gdy się rodzi, nowiem wprzód spoziera; gdy wstecz zerknie, już mu zamrzeć czas!

„Nowiem wstaje, nikły promień snuje; blado świeci wątły sierpa znak! — ciemność kraje, rogiem ciemność pruje: już zamiera, gdy róg zwróci wspak!

„Miesiąc wschodzi, nowiem dreszcz w pierś wlewa: płonie pełnią! Pełnia szczyt i kres! Nów pieśń nieci, pełnia ją wyśpiewa lub dotłumi w szlochu łkań i łez!

„Nów się rodzi: miesiąc pełnią wzbiera: gdy wspak spojrzy, śmierci idzie czas! Nowiem wschodzi, co pełnią zamiera: miesiąc żyje jeden tylko raz!

Zadumana, z oczyma, zgubionemi daleko przed sobą, baronowa zapytała:

— I to jest pieśń Elissy z Tyru? Jej pieśń?

— Cóż pani powiem? Tak. Jeśli prawdę mówiła piękna wiedźma, jeśli dobrze zrozumiał ją Kabil, a ja rozumiałem Kabila. Przypuszczałem, że mój włóczęga znalazł te śpiewy zdawna i umiał je na pamięć, gdyż, tłómacząc je, nie zawahał się ani razu, jeno mozolnie szukał francuskich wyrażań dla słów, które miał znać żywo w pamięci. Żebraczka śpiewała jeszcze inne hymny, czy modlitwy, których treści nie mogłem się już dowiedzieć, gdyż mój Kabil nie chciał mi ich powtórzyć, czy nie znając ich może, czy że się w nim zbudziła podejrzliwość plemienna, czy też znarowił się poprostu. Dość, że

powtarzał tylko, niby ze wstrętem: „to są berberyjskie obrzydliwości“, jak gdyby był prawowiernym islamitą, którego oburzają praktyki kacerzów. W gruncie, jak oni wszyscy, w nic nie wierzył zapewne, nie mając odwagi wręcz niewierzyć, i ograniczając swą religijność do przestrzegania paru zakazów, paru obrzędów i — nienawidzenia inowierców, by w ten tani sposób zapewnić sobie niebo. Zrazu nie przywiązywałem do tych „obrzydliwości berberyjskich“ większej wagi, rozkoszując się jedynie ich małowniczością niesamowitą. Dopiero, gdy pod owym właśnie pagórkiem, gdzie odbywały się te afrykańskie zaduszki, zaczęto kopać ziemię pod „miał sto dziesiątę“: pod fundamenty hotelu naszego, i obcinać ów pagórek, a na jego szczycie, pustym dotychczas, pojawili się Berberowie, i odtąd stale utrzymują tam straż, dniem i nocą — zacząłem to nocne zajście łączyć z podaniem o Elissie z Tyru. Podziała zwłaszcza na mą wyobraźnię ta „Umarłej Pieśń“. Wszak ślepa żebraczka wiedzieć nie mogła, że (wedle d-ra Zwanga) Elissa czczona była w Kartaginie pod imionami: Dido, Isztar, Tanit i t. d., jako bogini miłości, wkrzesicielka zamierającego życia: wiosny — Adona, — bogini odradzającego się księżyca! Wszak a wieszczka, bez żywego podania, nie byłaby wymyśliła sama tej, od trzech tysięcy lat pod pagórkiem przyczajonej groźby, zuchwałej, jak „*Acheronta movebo!*“ A przypuścić znów, że podanie przetrwało takie przewroty i... trzy tysiące lat! Juściż przyznaję, że, gdyby brać rzecz na rozum, pomysł złączenia dziwacznej pieśni wieszczki berberyjskiej z prakartagińskimi dziejami i — pagórkiem nad *Grand Hôtel Hazdroubaal* („zbytek, komfort i obrzyd-

liwość*!) — jest wręcz szalony. Mnie się jednak uśmiechał tak przekonywająco! A bawiło mię przytem, że ja, nieuk, olśniewałem uczonego ciężkiego, wygłaszając pewnym tonem przepowiednie, które, jak dotąd, niszczały się niechybnie, ku osłupieniu poważnego badacza, nie domyślającego się nawet, na jak kruchych podstawach je opieram. Gotuję mu jeszcze jedną niespodziankę: zapowiedź, że przy sarkofagu Elissy znajdzie również szczątki legendarnego Jarbasa!

— Więc pan mniema, że grobowiec Elissy odnaleźliście rzeczywiście?

— Chodzi już tylko o odwalenia kamienia, przykrywającego studnię, na której dnie jest sarkofag. Albo... wszystko jest mrzonką i urojeniem, po którym nie pozostanie nic, prócz wspomnienia,

— Tylko wspomnienia? Nie, panie. Zostanie coś więcej: zostanie obraz pański, mój obraz! Pojmuję teraz podniecenie d-ra Zwanga i żal mi go będzie, jeśli go nadzieje zawiodą. To jest niemądre, co teraz powiem, bo już ciż pod tym kamieniem albo coś jest, albo niema, i na zawartość studni w niczem nie wpłynie to, kto kamień odwali. A ja nie mam wiary w d-ra Zwanga. Człowiek dobry i szlachetny, ale nie czuć w nim iskry twórczej.

Baronowa popadła znów w zadumę, przymrużonemi oczyma wodziła po nocy cichej, po morzu lśniącym i po pagórkach łysych, księżycem osrebrzonych. Poczem, podniósłszy nagle zasłony powiek, i spoczawszy na młodym malarzu żrenicami matowo czarnymi, wielkimi i głębokimi, rzekła głosem powolnym, niskim i stanowczym:

— Ale w panu iskra twórcza tli. Ja widzę

już obraz pański, mój obraz. Ja proszę: daj pan memu obrazowi życie...

Jean-Jacques patrzył na baronowę w niemym zachwycie, jak gdyby z jej ust padły były słowa wyroku nieodmiennego; potem zerwał się na równe nogi, rzucił w górę biret i wrzasnął:

— Huk, błysk, wybuch,—katastrofa! Hip! Hip! Hurra!

A zza urwiska, z góry, odpowiedział mu, jak echo, krzykliwy głosik pana Spinellego:

— Panie Jean-Jacques!—prosimy, prosimy!

VII.

Na jasno oświetlonej, górnej terasie w *Grand Hôtel Saint Louis* pan administrator Spinelli żywo coś tłumaczył panu de Vieilleville, d-rowi Zwangowi i ojcu Robinowi, kiedy ukazał się tam Jean-Jacques z baronową. Na ich widok, wśród ukłonów i uśmiechów, pan Spinelli poskoczył zaraz na ich spotkanie ze słowami:

— Pani baronowa raczy mi łaskawie wybaczyć, że pozwoliłem sobie odwołać jej towarzysza. Ale pan Mac Gregor, sam pan Mac Gregor, bawi tu już od godziny. Teraz przegląda moje wykazy, ale lada chwila tutaj się ukaze. Jutro jest niedziela; w niedzielę pan Mac Gregor nie zajmuje się interesami; w poniedziałek niewiadomo, czy tu jeszcze pozostanie, — z panem Mac Gregorem nigdy nic nie wiadomo z góry, — nużby też wyjechał i pan Jean-Jacques straciłby sposobność zobaczenia się z panem Mac Gregorem!

— Co? — zawołał „długowłosy żółtodziób“, — co? doprawdy groziło mi, że nie miałbym szczęścia spojrzenia w dostojną twarz „tyrana“ gromowładcy i złożenia kornego ukłonu samemu panu Mac Gregorowi! Jakżeż panu jestem wdzięczny, jak niesłychanie wdzięczny, żeś się mnie ulitował i przerwał naszą gawędę!

I „zielona mała“ odwróciła się na pięcie, oparła o balustradę terasy i gwizdać jąła ze wściekłym zajęciem „Marsyliankę“ wprost w nos księżycowi.

— Panie Jean Jacques! — zawołał administrator głosem przerażonym, i zaraz dodał szybkim szep-tem: — pan Mac Gregor!

U wejścia na terasę stał człowiek może czterdziestoletni, smukły, rosły, barczysty, wyprostowany i oczyma szaremi, ze stalowymi przebłyskami, wodził po zebranych spojrzeniem spokojnem. Bystra twarz wygolona miała rysy posągu rzymskiego: sucha, skupiona w sobie i pogodna, z wyrazem wszakże decyzji, energii i siły. Na pierwszy rzut oka *mister* Mac Gregor nie miał w sobie nic „tyrańskiego“; na jego ustach cienkich igrał nawet zlekka uśmiech raczej przyjazny; tak twarz jednak, jak postawa, ruchy i całe wzięcie objaśniały każdego, że to jest twardy człowiek czynu, człowiek co wie, czego chce, do celu idzie prosto, myśli szybko i jasno, wyraża się stanowczo i zwięźle i nawykły jest do posłuchu, Zbliżywszy się do obecnych, skłonił się najpierw zdala baronowej, stojącej na uboczu, poczem zwrócił się do administratora, wskazując oczyma baronowę:

— Pan zechce mię przedstawić.

Signor Spinelli wykonał to z wyskokiem, gnąc się w pół naprzemian to w stronę baronowej, to znów „tyrana“, spojrzawszy wszakże w jego twarz, w której umiał czytać wybornie, zatrzymał się i stanął, jak wryty, „wedle rozkazu“. „Tyran“ zatoczył po swych współpracownikach spojrzeniem i rzekł:

— Dzisiaj nie będę już dłużej zabierał panom czasu.

I skinął im głową wkoło. Na ten znak, pan Spinelli wybiegł za drzwi z takim pośpiechem, że zapomniał nawet ukłonić się pani baronowej. Ta, pożegnawszy się ze znajomymi, po ich wyjściu spojrzała na pana Mac Gregora badawczo, poczem po chwili zapytała:

— Czy i ja wynosić się mam również?

— Skoro pani decyzyę w tym względzie mnie pozostawia, odpowiem: nie, pani; niech pani zechce usiąść; zaraz każę podać herbatę.

— Dziękuję za łaskawe pozwolenie.

Służba hotelowa, nawykła widocznie była do błyskawicznego posługiwania „tyranowi“, gdyż cała zastawa znalazła się tak szybko na stole, jak gdyby czatowano z nią za drzwiami na pierwsze skinienie.

— Ufam, że pani rychło przekona się, iż na przekaz jej nie zasługuję i że jestem wobec niego bezbronny.

— W różnych sytuacjach umiem sobie pana wyobrazić, ale, jako bezbronną ofiarę, trudno...

— Więc powiedzmy: ofiara bezbronna dobrowolnie; może teraz mi pani uwierzy.

— Cóż jest powodem pańskiego wobec mnie... powszechnego rozbrojenia?

— Widzę, że pani odrazu osądziła mię, jako człowieka, którego żywiołem jest walka. Ma pani słuszość: ja jestem człowiekiem walki; o ile walczę. Ale nawet takiemu zatwardzialemu zapaśnikowi, jak ja, zdarza się czasem, że ma walki dosyć. Nie nazwę tego zmęczeniem, gdyż tego nie doświadczam, o ile stoję wobec przeciwników, lub przeciwieństw; nazwę to rozmyślną chęcią rozprężenia woli. I to czasem potrzebne, zwłaszcza, gdy się na takie roz-

prężenie zasłużyło rzetelnie, a ma się przed sobą niedzielę, dzień spoczynku.

— I do tego rozprężenia ja panu jestem potrzebna, jako towarzyszka nieszkodliwa? jako osoba, wobec której nie potrzeba ani broni, ani tarczy? A czy pan taki pewny, że ja nie mam w zanadrzu, nie sztyletu, aie czegoś gorszego: żądła?

— Jestem pewien.

— Chciał pan wytchnienia? Wszak pan miał, beze mnie, tu na podorędziu ukojenia źródło. Chyba pan, pogrążony w papierach i cyfrach, nie obejrzał się wokoło siebie? Chyba pan nie widział tu przed naszymi oczami, — spojrzij pan tylko! — tej ciszy wspaniałej, tego bezwzględnego spokoju...

— Cisza, a spokój! Cisza właśnie jest tem, co niepokoi i drażni. Bo cisza nie jest czemś rzeczywistem, ale zaprzeczeniem, brakiem. Brakiem głosu, brakiem dźwięku, czemś niezupełnem, czczem wewnątrz. Tak — pustka jest brakiem życia; próżniactwo brakiem wysiłku; samotność brakiem obcowania z myślą i wolą bliźnich. Gdybym kiedyś miał zgnuśnieć i zardzewieć, sądzę, że starczyłoby zamknąć mię w takiej samotni, odciąć od walki i życia martwością takiej pustki i ciszy, bym się zerwał jak człowiek, którego coś dławi, któremu w płucach nie staje oddechu...

— I dlatego, przez przekorność plami pan tę pustkę i kaleczy ciszę swym hotelem ohydny?

— Dlatego.

Rzekł to, jako rzecz zupełnie naturalną, głosem spokojnym, nie mającym w sobie nic przekornego ani zaczepnego, odbijającym rażąco od nastliwego tonu baronowej. Zdziwiło ją to widocznie

bo urwała rozmowę i, zmrużywszy oczy, przyglądała się swemu towarzyszowi w milczeniu. Ten po chwili odezwał się tym samym tonem swobodnym:

— Widzę, że pani oszczędza mię uprzejmie. Mówi pani o „plamieniu“ i „kaleczeniu“, a na myśli ma pani świętokradztwo. Wszak się nie mylę: gdybym ten swój hotel „ohydny“ stawiał na takim samem odludziu, lecz pośród puszczy, równie cichej, ale dziewiczej, nie miałaby pani do mnie żalu. Ale te wzgórza opromienione urokiem dziejów dawnych i urokiem legendy; ale te wzgórza przechowują w swem łonie zabytki odwieczne, bezcenne może pamiątki, niemal relikwie; są pobożowiskiem różnych ludów, szczytami rozkwitów wspaniałych, życia hucznego, odwetów mściwych i — wspólnem cmentarzyskiem wielu kultur. Nie chcę się pani przedstawiać lepszym, niż jestem: ten wzgląd był mi właśnie główną pobudką, by zbudować tutaj międzynarodowy hotel wytworny, krzykliwy i gwarny. Znalazło to nawet swój wyraz w planach budowy: kładłem na to wielki nacisk, by sala balowa była przestronna i wesoła, by na wielkiej terasie, z widokiem na morze, była obszerna estrada dla muzyki, z której w takie noce, jak dzisiejsza, rozbrzmiewać będą fanfary ochocze i skoczne, na powitanie statków, wpływających do zatoki.

— Skoro pan dzisiaj „ma dosyć walki“ i wzdycha do „rozprężenia woli“, może mówić będziemy o czemś innem?

— Czemu? Nie mam zamiaru podejmować z panią walki. Gdy do walki się sposobie, zamykam się w sobie, a nie opowiadam się nikomu ze swych pobudek. Przeciwnie, taki, niezwykły u mnie zbytek:

odślonięcie szczerze swych myśli, będących skrytą dźwignią czynów, raczej ulgą mi będzie. Zwłaszcza, gdy to uczynię przed panią, która będzie mi zapewne sędzią surowym, ale nie przeciwnikiem, czyhającym na wypatrzenie słabizny, by w nią ugodzić. Chyba, że panią to gniewa, lub drażni...

— Wyraz „gniewa“ i „drażni“ nie określa moich uczuć wiernie. Szczerość za szczerość: właściwy wyraz brzmi: „brzydzi“. Nie szczerość pańska, oczywiście. Ale ta „dźwignia czynów“, która z pod tej szczerości wyziera. Przypomina mi się — niech pan wybaczy — maksyma Sanszo Pansy: „Niech umarły idzie do ziemi, a zdrowy do karczmy!“

— Wyraz „brzydzi“ wprowadza naszą rozmowę na właściwe tory. Tak jest, proszę pani, i ja mam rzeczy, co mię tak brzydzą, że są dźwignią szybkich decyzji i czynów, nieraz niespodziewanych. Wszak ja z zawodu nie jestem hotelarzem. Mam fabryki, mam kopalnie, farmy, i to w różnych częściach świata: hotelu nie założyłem jeszcze żadnego. Dopiero, przyjechawszy tutaj, uczułem potrzebę nieprzeparą założenia hotelu i to takiego, właśnie tutaj. Nie namyślałem się długo. Może z pół godziny powalałem się po tej pustelni i zaraz zawróciłem na pocztę, obok klasztoru i zatelefonowałem do Tunisu, by panowie Spinelli i de Vieilleville przyjechali tu samochodem natychmiast. Tego samego dnia nabyłem parcelę od „ojców białych“ i podpisałem umowy najważniejsze. W cztery dni budowa się rozpoczęła. Ja zwykłem decydować się i działać szybko. Ale w tym wypadku nie była to już szybkość, lecz wręcz niecierpliwość: znieść nie mogłem tej pustki... ohydnej, *brzydziła* mię jej śmiertelna martwota. Bo

martwota jest wrogiem życia, a życie — najwyższem prawem!

Baronowa, słuchając „tyrana“ z rosnącym zajęciem, nie mrużyła oczu i nie kryła ich pod firankę rzęs długich, ale wsparła się o mówiącego głębokiem, pytającym spojrzeniem wielkich źrenic czarnych. Chcąc i swojej myśli bronić i z towarzysza wydobyć myśl jego całą, zawołała z ożywieniem wielkiem:

— Czyż życie doprawdy takie biedne i tak nieporadne, że sztucznie trzeba je szczepić i pielęgnować tam, gdzie przebrzmiało, pozostawiwszy po sobie wspomnienia wielkie i grunt wyjałowiony i wyspany? Czyż życie, mające całą przyszłość przed sobą, uszanować nie winno pomników bujnego przeżycia?

— Życie nie uszanuje niczego. Życie nie znie wagę przeszłości wyrządza, lecz cześć jej największą oddaje, gdy w jej szczątkach budzi tętno nowe. I tam przedewszystkiem uderzać winno płodną falą, gdzie najbezwładniejsza martwota.

— Choćby mu przyszło bezcześcić grobowce?

— Grobowców się nie bezcześci, ale się je wskrzesza. Cześć martwoty jest zabobonem. Gdyby pani odcięto palec lub rękę, czyby pani dla palca zbudowała mauzoleum, by go na zawsze przed falą życia osłonić? Wszystko jedno, czy jeden palec, czy zwłoki całe: — bezduszny ludzki odpadek, do tego jeno tęskniący, by stać się co rychlej nowego życia pościółem.

— Tak pan mówi dlatego, że te groby, nad którymi pan wznosi swój hotel gwarny, są już od wieków zwietrzałe, a kryły zwłoki ludzi obcych panu krwią i rasą. Ale gdyby to były groby osób panu bliskich? Mnie wszystkie groby równie bliskie.

Pan Mac Gregor nie spieszył się z odpowiedzią; zamyślił się, opuściwszy głowę. Patrzeli na siebie w milczeniu. Ona pytała otwartem spojrzeniem wyczekującym; w jego oczach był ślad wahania, czy oporu zupełnemu „rozprężeniu woli“.

— Niech i tak będzie, — rzekł po chwili; — nie mówiłem dotąd o tem z nikim. Jestem rodem ze Szkocyi, z rodziny zamożnej i zdawna w jednym gnieździe osiadłej, jak o tem świadczyły liczne pomniki Mac Gregorów, grzebanych na cmentarzu, okalającym kościół, od mnogich pokoleń. Kościół stał w pośrodku miasteczka. Byłem wyrostkiem, kiedy postanowiono usunąć nagrobki ze cmentarza, który miał stać się placem publicznym. Ojciec mój, w obawie, że kiedyś ludzie, przy przeprowadzeniu kabli elektrycznych, lub innych robotach, „znieważycyby“ mogli ogołoczone z pomników mogiły Mac Gregorów, postanowił wykopać ich szczątki, włożyć w małe trumienki i wmurować je wraz z nagrobkami w ściany kościoła. Ja nie rozumiałem tej pieczołowitości o kości zwietrzałe, ale nie wyrywałem się ze swem zdaniem, gdyż ojciec opozycyi nie znosił; stał zresztą już sam nad grobem... I mnie tę czynność poruczył. Tygodniami rozkopywałem jedną mogiłę za drugą, zbierałem starannie szczątki, układałem w trumienkach, wypisując na nich nazwiska i daty. Nie mam najmniejszego obrzydzenia wobec szczątków ludzkich; każdą kość z osobna wziąć mogę w rękę bez śladu wstrętu. Nie mam też ani trochę obawy śmierci, lub do niej odrazy. A jednak... Po paru tygodniach grzebania się w grobach miałem wrażenie, że palce mam oblepłe strupieszalością mogił, że martwota obłazi mię, jak robactwo. Skończyłem powierzoną

mi robotę i zaraz potem... drapnąłem z domu i oparłem się aż w Australii! Tam odetchnąłem, tam zacząłem życie prawdziwie czynne. Potem przeniosłem się do Ameryki. Wszędzie zakładając przedsiębiorstwa, zjeździłem dużo świata. Tylko nie wróciłem już nigdy do gniazda rodzinnego, gdzie z poza nagrobków, wmurowanych w ścianę, martwota powitałaby mię, po starej znajomości, zbyt poufale. Ja wolę ją tępić, gdzie napotkam, a nie pieścić się z nią i cackać. Takie są wspomnienia grobów moich bliskich.

— Moje inne. W mojem gnieździe rodzinnem kości przodków leżą pokoleniami o wiele liczniejszemi, niżli Mac Gregorów. I wracam tam zawsze z radością i tam tylko czuję się naprawdę w domu, między swymi. A żywych swoich już nie mam. Ale nie rozkopywałam mogił; ktoby je odnalazł? zasypane gruzem i zawiane piaskiem. Mogił nie trzeba ruszać, nigdy ruszać; gdy ziemia je strawi, życie samo z nich wykwitnie bez naszej pomocy. Ale i tu-tejsze mogiły nie są mi obce. Ta, wystawiona za szkłem u „ojców białych“ kapłanka-kościotrup, to może moja krewniaczka. Założycielka Kartaginy jest w pańskich oczach zapewne obojętną postacią mityczną, a mnie niemal siostrą. Nie zrozumiemy się nigdy: pan chce, by nad mogiłą Elissy orkiestra cygańska grała skocznie walca z „Wesołej wdówki“; ja, by w ciszy szumiało jej jeno morze tęskną, rzewną pieśnią.

— Co? Elissa? wielka Elissa ma drzemać przy szumie pieśni tęsknej i rzewnej? Ja niewiem, czy Elissa istniała. Ale jeśli istniała, jeśli tu żyła i działała, to ona bliższą jest mnie, niżli pani, mimo węzły

krwi, o których pani wspomina. Bo wielka Elissa z Tyru, to nie smętna zaduma nad grobem cichym; to wcielenie myśli śmiałej i czynu rażącego. Czy pani wie, kim była Elissa?

— Zdaje mi się, że wiem o niej wszystko. Nasłuchałam się o niej dzisiaj i od erudyty, badacza przeszłości i od artysty, przenikającego jej postać intuicyją.

— I ja się nasłuchałem. Uczeni patrzą na nią pod kątem wieczności i, odmawiając jej przeważnie osobistego bytu, widzą w niej tylko symbol ekspansyi punickiej; artyści nie potrafią wspomnienia jej oderwać od tutejszych gruzów i grobów i przez mglistą aureolę, otaczających ją poezyi i legend, dostrzedz nie umieją jej rysów, tchnących śmiałością, rozmachem i życiem. Ja w podaniach o niej widzę konsekwencyę, uwydatniającą nam jej postać wyraźnie. Ona nie płakiwała nad grobami. Gdy tu zawitała, zastała też pewno groby; zawsze były; zwłaszcza w miejscu tak historycznem odwiecznie: ani na nie spojrzała! Co ją obchodziła przeszłość zamarła? Ona przyszłość gruntowała i rzucała szczerze posiew rozwoju przyszłego.

— Co? pan przy tylu zajęciach miał czas rozmyślać nad Elissą i wyrobić sobie o niej zdanie własne.

— Dlatego zapewne, że mię pociągała swym rozpędem, zawsze śmiałym, bujnym i rozumnym. Myślałem o niej świeżo. Pani wie, że podanie, między innymi, przypisuje jej sprowadzenie tu z dawnej ojczyzny latorośli fig, oliwek i daktylów. Czemu nie? To zupełnie przystaje do tej postaci, która pozostawić miała po sobie rzespożyte wspomnienia

czynów dokonanych. Otóż świeżo bawiłem w południowo-wschodniej Tunetanii. Jechałem puszczą, nie zjedzoną jeszcze piaskami, ale nagą, zarośniętą jedynie krzewiną karłowatą, której nie pozwalają się rozrość Arabi i kozy. Gzieniegdzie napotykałem zwaliska miast dawnych, świadczące że tu był ongi, kraj bogaty i żyzny. Czasem opodal zwalisk stało parę nędznych domków arabskich, których mieszkańcy uprawiali nibyto rolę: ziemię, pokrytą drobnym gruzem, orali sochami, omijając każdy większy kamień i każdy krzak większy! Nawet drobniejszych kamieni nie usuwają: jak Allah zechce, urodzi się i na kamieniu; a jak nie, poco się trudzić! Potem wjechałem znów w pustkę litą. Jak daleko okiem sięgnąć, nic jeno faliste nieużytki, obrosłe zielskiem twardem i krzaczkami. W tem wpadło mi w oko że co jakiś czas widzę odmienną roślinę z liściem żywym. Zatrzymałem się i począłem badać. Okazało się, że w tej puszczy, na tem odludziu, rosły, opuszczające się wciąż od korzenia, z obgryzаныmi wciąż przez kozy czubkami — oliwki, sadzone w równych od siebie odstępach! Odkąd one tam walczą z tą martwością zabójczą? Może odkąd odbiegli ich wylękli najazdem Rzymianie, których potomkowie zbisurmanieni orzą po zwaliskach sochami, omijając kamienie i krzewy! A może pochodzą one od latorośli, które sama Elisssa przywiozła ongi z Tyru? Przez chwilę przeszła mi przez głowę myśl: a gdyby tej Elisisie, co tutaj tak rządnie gaździla, wznieść żywy pomnik, wskrzeszając ten gaj oliwny na pustkowiu? Gdym odchodził, pomyślałem sobie: gdyby mię teraz widziała Elisssa, zawołałaby pewno: „widzisz {dzieło moje w zniszczeniu i mijasz”!

— I cóż? I cóż?

— I co? Pojechałem dalej i jestem tutaj.

— I nie myślisz pan więcej o wskrzeszeniu gaju?

— Szczerze mówiąc, nie myślałem, nie miałem po temu czasu. Ale myślę; w tej chwili myślę.

— Nie namyślał się pan tak długo, gdy chodziło o uczczenie pamięci Elissy hotelem z przestronną salą balową i kapelą skoczną.

— Prawda. Ale tu starczyło zatelefonować po Spinello i Vieillevilla, puścić robotę w ruch i wpaść potem raz na parę miesięcy zobaczyć, jak postąpiła. A tam... Tam nie puszczać Spinellich ani Vieillevil-lów! tam nad wskrzeszeniem życia trzebaby pracować samemu; pracować z oddaniem się zupełnie dziełu zbożnemu. W tej ziemi błogosławionej i tym klimacie dokonać by tego można w jakie trzy lata. Byle pokopać studnie z wiatrakami amerykańskimi, rozprowadzić kanałami wodę, wytrzebić zarośla i chwasty, zalesić wzgórze, wystawić dom pośród ogrodu... Ale poświęcić temu trzy lata przy tylu innych zajęciach...

— Zamykając się na odludziu dzikiem w pustce i ciszy, co dławi...

— Nie byłoby tam pustki i ciszy, gdybym ja się tam osiedlił. A nie dumałbym też pewno z założonemi rękoma. Odludzie narazie jest, ale nie dzikie. Kraj śliczny. Nad werżniętą w ład zatoką, ciągnie się półksiężycem wygięta, pusta równina falista okrażona pagórkami, z wysokim i łysym Zaghoanem w głębi. Na jednym skrzydle zatoki stoi dawny zamek arabski, otoczony murami wysokimi:

obronna *Kazbah*, w której dawniej ćwiczone batami wziętych do niewoli giaurów, nim ich za niewolników sprzedano w głąb kraju. Na drugim skrzydle, na szczycie pagórka, wznosi się jeszcze ciosowy zrąb świątyni rzymskiej; u stóp pagórka widziałem zdala łuk tryumfalny i kawałki marmurowych kolumn, sterzających z pastwiska, jak szparagi olbrzymie. Nie, — kraj śliczny... A gdy teraz o tem myślę... Szkoda, doprawdy szkoda! Bo to mię tam gniewa i korci, że dwie martwoty podały sobie ręce, by wszelkie życie unicestwiać; wrodzona tubylcom mahometańskim gnuśność złośliwa, co wszystko niszczy, a nic nie naprawia, i — Kościół mahometański, którego te obszary są własnością wieczystą.¹⁾ A na kościelne dobra, nawet sam *bey* targnąć się nie może. Ale to nie stałoby mi na zawadzie; to jedna z takich przeszkód, z którymi borykać się warto. A, wie pani, coby mię tam jeszcze pociągało? Darmo, swego usposobienia zmienić trudno. A tam rzeczywiście mógłbym czuć się u siebie panem, jak dotąd nigdzie. Gdybym nabył te wielkie obszary, przy stosunkach tutejszych, miałbym doprawdy poczucie, że myśl moja rządzi wszystkim, na co patrzy moje oko, że moja wola jest wszystkim prawem.

Baronowa popadła w zadumę, postawiła słupem oczy ogromne, ślepo zapatrzone w noc, rozświetloną pełnią, co twarzą bladą gorzała w górze na podniebiu bladym, a tam w dole, u stóp wzgórzy stromych, odcinała się w zwierciadle zatoki nieruchomo lśnięciem. Po dobrej dopiero chwili pół szeptem, pół śpiewem baronowa rzekła, jakby sama do siebie:

¹⁾ Posiadłości kościoła mahometańskiego, zwane *Habus*

— ...*„Kto władny nad puszczą, nad brzegiem? zasobny w rój stad i trzód?*

— Co pani mówi? Co pani jest?

— ...*„Księżycy nad nią dziś blask, księżycy nad nią dziś moc.”* ... Przepraszam pana, — dodała żywo zmienionym już głosem, — przepraszam pana bardzo. Czasem piosenka jakaś czepi się głowy, że się jej opędzić nie sposób. Niech pan nie zważa. Zapomniałam się. Czasem bywam tak roztargniona. A dzisiaj tyle miałam wrażeń. I ta rozmowa nasza z grobowemi wspomnieniami i te... Nie; mówmy raczej o czemś innym.

— Ale ja nie chcę wspomnień grobowych! Ja wspomnienia grobowe odtrącam. Pani zrozumiała mnie chyba na opak. Nie jest to u mnie teoria wyrozumowana, ale nieprzeparty wynik całej mej treści wewnętrznej. Ja nie mogę się nagiąć i być innym, niż jestem: muszę iść przed siebie naprzód

nigdy przejść nie mogą w inne ręce i nawet władze duchowne pozbyć się ich nie mogą. Obejmują obszary ogromne. Powstały częścią skutkiem zaboru ziemi po najeździe Arabów, gromadzących majątki na wojnę świętą, utrzymanie meczetów, duchownych, uczonych i ubogich; częścią przez zapisy i fundacje dobrowolne, lub półdobrowolne, gdy bogaci Arabowie, obawiając się za „dobrych czasów” konfiskaty na rzecz *beya*, woleli oddać ziemię kościołowi, wymawiając sobie małą rentę; częścią nawet przez zapisy Berberów, których najwyższe prawo zwyczajowe, *aada*. wbrew Koranowi wyklucza od dziedzictwa niewiasty, więc zapisali ziemię na *Habus*, „o ile braknie spadkobierców po mieczu” i zyskiwali dla przepisów *aady* poparcie duchowieństwa. Skutkiem tych konfiskat, fundacji i zapisów różne meczety miejscowe, a nawet meczety w Mecce, posiadają w Tunetanii obszary rozległe nietykalne wieczyście. A że meczety opływają w dostatki, więc pozostawiają te obszary odłogiem.

i wprzód, i tylko wprzód patrzeć: wstecz się oglądać nie potrafię. Rozmyślać i dumać nie lubię i nie umiem. Na to dość czasu, gdy sił do czynów nie stanie. Na ten czas sposobić trzeba materyał, godny przyszłej zadumy: życie wkoło siebie krzewić. A na to trzeba być bezwzględny i twardym, śmiałym, a rozważnym.

— Niech mnie pan nie przekonywa. Zgadzam się z nim zupełnie, choć sama nie czuję w sobie tej rozpędowej siły, co każe wciąż iść do celu po przeszkodach wywróconych. I to moje szczęście. Ze słabym swym, kobiecym rozumem nie umiałabym zatrzymać się rozsądnie, gdyby pociągał mnie cel prawdziwie wielki...

— I, jako kobieta może się pani jedynie tem chlubić. Ja swą męską chlubę pokładam w tem, że wbrew rozumowi nie dam pociągnąć się niczemu. Bo wtedy nie jest to zamysł, lecz zachcianka.

— Niech wtedy chwalon będzie na tych gruzach na wieki rozum męski, przy dźwiękach kapeli cygańskiej! a nie tam na puszczy, gdzie wędną bezradnie oliwki, opierając się zagładzie! Co, jako sens moralny, brzmi zresztą bardzo pięknie i posłużyć nam może za przystojne zakończenie rozmowy. Zatem, pan daruje...

— Nie; niech pani jeszcze nie wstaje. Jeszcze tylko chwilkę. Nie chcę, żeby pani rozstała się ze mną pod tem wrażeniem.

— Wrażenie jest bardzo dodatnie. Składa się na nie pańska szczerość niewątpliwa, energia i rozum. Czego pragnie pan więcej?

— Chcę, żeby pani mnie zrozumiała i przyznała mi słuszność.

— Trudno będzie... Rozum męski chadza innymi szlakami; innymi kobiecy. Spotkanie niełatwe. Cóż na to poradzić? Chybaby jedno z nas skapitulowało, a ja nie mam potemu ochoty najmniejszej.

— A ja tego nie umiem. A jednak byłoby może wyjście, byle pomyśleć nad niem naprawdę i wspólnie.

— A więc myślimy naprawdę i wspólnie, byle szybko, bo godzina późna.

— Cóż, kiedy mam wrażenie, że myśli pani inne, a słowa inne. Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Jenó, że myśli pani znaczą coś innego, niż słowa, które pani wymawia. Ale co?

— Niema chyba osoby odemnie szczerzej; szczerzej aż do zuchwalstwa, i to nietylko w słowach, ale i w czynach. A jeśli jest jakiś rozdźwięk między mą myślą, a słowem, nie moja w tem wina, jenó tego, że jestem kobietą. Kobiety wykrawają czasem ze słów maski i ubierają w nie swe myśli bezwiednie. I nie rozumieją, czemu potem ktoś z miną domyślną powiada im: „znam cię, maseczko“! Cóż na to pański rozum męski?

— Mój męski rozum powiada, że jest tylko połową rozumu ludzkiego. Że i śmiałość jego jest połowiczną, bo ma hamulec rozwagi, a brak mu rozpędowego śmigła: ślepej wiary kobiecej, co wprzód pcha na oślep. Mój rozum rozsądny powiada, że dopiero, uzupełniony nierozsądnym rozumem pani, dałby swoją miarę pełną. Niech mi pani poda swą rękę szczerze i ufnie, jak ja wyciągam swoją.

— Na co? By ją pan do swej kulbaki przytroczył? Ja nie znoszę więzów.

— Jak pani chce i raczy. Ale niech pani pomni, że najtrwalsze więzy są te, których pozornie niema. Te wiążą na zawsze.

— Ja za swą szczerość odpowiadać mogę dzisiaj; ...„*nade mną księżycą dziś moc!*...; kto zgaśnie, co przyniesie jutro?

— A ja jestem człowiekiem, co tylko z myślą o jutrze się pora. Odejmij mi pani jutro, cóż mi pozostanie?

— Świadomość, że taki człowiek, jak pan, sam jutro swe tworzy.

— Tak pani o mnie mniema?

— Mniemam? Gdy kobieta nie widzi mężczyzny wielkim ponad ludzką niemal miarę, takim, jakim mógłby może być, — widzi go małym i gardzi.

— Więc podaj mi pani rękę, a będę takim, jakim mnie pani zobaczy.

— ...„*Jarbas nad króle pan*“?...

— I razem wskresimy puszcę i oliwny gaj odrośnie bujnie i nowym okryje się liściem.

— ...„*Miesiąc wschodzi i miesiąc zamiera: miesiąc żyje jeden tylko raz*“...

VIII.

Gdy nastaje niedziela, wzgórza kartagińskie nie przestają być pustkowieciami, ale nie są odludziem i na pustkowieciu bezrobocie odbija się gwarem. Od samego rana trąby samochodów huczą po gościńcach, powozy spinają się po pagórkach i zatrzymują przed hotelem, lub katedrą; przepełnione wozy kolei elektrycznej wyrzucają coraz to nowe zastępy przybyszów z Tunisu, szukających, zwłaszcza latem, świeższego powietrza i krzepkiego powiewu od morza. W pustej cały tydzień gospodzie obok przystanku kolejowego gwaro; w otaczającym ją ogródku rojno: przybysze pokrzepiają się i „aperitywami“ podniecają wyobraźnię, nim pójdą na gruzach marzyć o Hannibalu i jego ojczyźnie przepadłej; podróżni w kraciastych ubraniach dobywają „Bädekery“, czerwono oprawne, i pokazują sobie nawzajem palcami miejsce, gdzie morze wgryzło się w łąd wąskim, węzowatym przekopem: rzekomą dawną przystań kartagińską. I przyjezdni bowiem z dalekich krajów wybierają niedzielę na zwiedzanie Kartaginy, żeby za jednym zachodem i zabytki i gruzy obejrzeć i w pysznej katedrze, z wnętrzem z kiepska mauretańskim, przysłuchać się chórowi „ojców białych“, huczącemu wspaniałymi basami. Na razie, nim dzwon wezwie ich na nabożeństwo, zakonnicy trójkami przechadzają się po wzgórzu, mrużąc zcicha modlitwy; inni oprowadzają

turystów po muzeum, lub w kancelaryi sprzedają im wykopaliska co pośledniejsze.

W miarę, jak w gospodzie zasiadają za stołem nowi przybysze, inni, już pokrzepieni, rozchodzą się na wsze strony. I niebawem, gdzie spojrzeć, wszędy widać wałęsającą się po pagórkach czeredę niedzielną: jedni maszerują rażno, pokrzykując ochoczo; inni z przejściem grzebią w ziemi, szukając monet i kawałków mozaiki; inni sadowią się na wyniosłościach, dobywając z koszów pieczywo i pieczone, poobwijane w papiery, oraz butelki pękate; inni patrzą przez lornetki ponad zatokę na przeciwległe góry; inni wreszcie zmierzają gościńcem wprost do katedry, lub ścieżkami, gęsiego, zdążają do odkopanych ruin: do Odeonu, bazyliki, will rzymskich, grobowców punickich i amfiteatru, zwłaszcza za podróżnymi w ubiorach kraciastych pędzą Arabczuki, ofiarowując na przedaj rozmaite wykopaliska; czasem gdzieś na ustroni, Berber, okutany w opończę szarą, patrzący z podełba i milczący, pokaże też garść piątek zaśniedziałych. Podróżni targują się na migi z przekupniami i z dumą unoszą potem zdobycz, nie wiedząc, że Berber z tem, co znalazł, chodził już do „ojców białych“, którzy za rzeczy wartościowe dobrze płacą, a Arab niczego nie znalazł, bo nie szukał, woląc od agenta w Tunisie nabyć na spekulację tanie „kartagińskie wykopaliska“, *en gros* wyrabiane w Lipsku czy Frankfurcie.

Bardzo nieliczni Kartagińczycy dzisiejsi, mieszkający tutaj stale, wyjeżdżają przeważnie na niedzielę do Tunisu. To też i ojciec Robin, wyświeżony po niedzielnemu, wstał wcześniej i poszedł odwiedzić swych towarzyszków, by, jak zwykle, umówić

wyprawę wspólną. W domku, w którym mieszkał dr. Zwang, służący Arab powiedział mu:

— Pana, co mądrości szuka, niema w domu. Pan, co mądrości szuka, nie spał noc całą, tupał obcasami po podłodze, że aż się dziś skarżyła ta pani, co mieszka pod nim na dole. Pan, co mądrości szuka, wyjechał, rychło świt, pierwszym zaraz pociągiem do Tunisu.

Ojciec Robin poszedł tedy dalej, naprzelaj przez gruzy, ku domkowi, gdzie „zielona małpa“ mieszkała. Tu, usadowiony na progu, zagroził mu drogę, ostrzegając szeptem:

— Cicho, cicho! Mój pan żyje teraz snem. Mój pan, póki leżał mrok, oka nie zmrużył. Coś go nosiło precz po pagórkach i szczytach, i coś nim strasznie miotalo, bo rękami machał, dłonią oczy przysłaniał i mruczał, nie mowę, lecz wzdychanie i krzyk. Cicho, cicho! Mój pan chciał mnie obić, gdym za nim chodził, jak prawo moje. Musiałem chodzić za nim ukradkiem i milczkiem. Mój pan powrócił do domu o brzasku i rzekł, bym doń nie puszczał nikogo, bo żyć będzie snem. Cicho!

Ojciec Robin był nierad, że w dniu spoczynku pozostał sam bez swych towarzyszków zwykłych. Stracił ochotę całą i krokiem ociężałym skierował się ku gospodzie „ojców białych“. Na drodze spotkał pana Spinello, przechadzającego się drobnymi, niespokojnymi kroczkami przed hotelem.

— Pan do pana Mac Gregora? — odezwał się administrator; — przecież pan wie, że pan Mac Gregor w niedzielę nie przyjmuje interesentów. Zresztą pana Mac Gregora niema. Wyjechał w nocy samochodem.

— Nie mam do niego sprawy żadnej. Jak widzę, nie popasał tym razem długo. Czy już odjechał na dobre?

— Kto może wiedzieć? Może na dzień, a może na rok; z panem Mac Gregorem nigdy nic nie wiadomo... Pani baronowej jeszcze nie widziałem.

Gdy ojciec Robin odszedł w stronę katedry i muzeum „ojców“, administrator rozglądać się począł i co chwila patrzeć na zegarek; uspokoił się dopiero, gdy dostrzegł zbliżający się samochód czerwony. Z samochodu wyskoczył pan de Vieilleville, jeszcze strojniejszy i wytworniejszy, niż zwykle. Przywitawszy się, skręcili z drogi i udali się nieużytkami na puste wzniesienie, skąd na wszystkie strony widok był otwarty. Tutaj, pewni, że im nikt nie będzie przeszkadzał, usadowili się i zaczęli rozmowę.

— Więc, jak stoi sprawa — zapytał pan Spinelli, — z budową nowej dzielnicy?

— Jak najlepiej i — jak najgorzej. Rozmówiłem się dzisiaj znów z panem..., wiesz pan z kim: wszystkie ułatwienia, tereny dostaniemy za pół darmo, a równocześnie, po bardzo dobrych cenach, kontrakt o budowę na nich trzech budynków rządowych. Interes poprostu świetny. Cóż, kiedy trzeba mieć około dwóch milionów gotówki. Można, oczywiście wciągnąć w to kapitalistów, ale wtedy trzeba by było podzielić się zyskiem, który wyniesie...

— Przy trzech budynkach rządowych i sześćdziesięciu kamienicach wyniesie... Ja to obliczę dokładnie. Lepiej głośno nie mówić. Dzielić się... Byłoby szkoda.

Tu pan Spinelli zamilkł, coś rozmyślał, czy obliczał, bo i głową potrzasał i palcami przebierał

zaginając to u jednej ręki, to u drugiej, czasem po dwa palce, po trzy, a czasem wszystkie dziesięć. Skończywszy niemą medytację, przemówił:

— Ale... Żebym nie zapomniał... Chciałem pana zapytać w... innej sprawie: co pan myśli o pani baronowej? Mnie się wydaje osobą bardzo miłą, bardzo przystojną...

— Nie będę przed panem tail, że zająłem się nią szczerze, bardzo szczerze. Rozmówiłem się z nią wczoraj, otwarcie obnażając przed nią swe serce. Niestety...

— Co? Nie chce przystąpić..., nie chce odpowiedzieć uczuciem na uczucie? Czyż może marzyć o lepszej partyi? Podała jakieś powody?

— Otwarcie — nie. Ale dała mi do zrozumienia, że coś, jak gdyby nie czuła się godną nosić nazwiska de Vieilleville...

— Zwłaszcza wiedząc, jak panu zależy na... ugruntowaniu jego świetności. Ja rozumiem. Ale, na pańskim miejscu nie dałbym za wygraną: osoba tak urocza...

— Tak. Ale rozmowa tak się zakończyła, że trudno mi będzie ją nawiązać.

— Nad tem jeszcze pomyślimy. Są różne sposoby...

— Co pan myśli? Czy pan Mac Gregor nie zwrócił na nią uwagi? Zostali wczoraj sami... Co on dziś robi?

— Wyjechał. Ale wróci dzisiaj.

— Powiedział panu?

— On? Otacza się tajemnicą. A ja wiem zawsze. Nie mówi, na jak długo wyjeżdża, ale ma zwyczaj rozdzielać napiwne służbie tem hojniejsze,

im dłużej go nie będzie. Ja potem pytam służącego Araba, tego głupkowatego, co zawsze z prawdą się wygada — ile dostał? Dziś powiedział mi, że jeszcze nic; więc pan Mac Gregor zaraz wróci. Co się tyczy pani baronowej i ja zwróciłem na to uwagę. Przypadkiem (przechadzałem się wieczorem, a terasa była oświetlona) widziałem, że rozmawiali ze sobą żywo, może z godzinę. On zaraz potem wyjechał.

— Czyby pan nie uważał, że byłoby naszym obowiązkiem, wobec stosunku, jaki nas łączy z panem Mac Gregorem, obowiązkiem sumienia: przestrzedz go co do pani baronowej, wspomnieć o jej przeszłości?

— Powiem panu otwarcie, że ta myśl zaszczytu mu przynosi. Bo pan Mac Gregor jest nietylko naszym chlebodawcą, szczodrym, ale poniekąd i przyjacielem! To też i ja już to rozważyłem. Ufam, że pan podzieli moje zdanie. Ja wprawdzie nie mam zaszczytu nosić nazwiska szlacheckiego, ale, pochlebiam sobie, że równie, jak pan, jestem *galantuomo*. Pan Mac Gregor jest też *galantuomo*. Kobieta każda, a cóż dopiero tak urocza, liczyć zawsze może na to, że znajdziemy się wobec niej po rycersku. Więc w stosunku do pana Mac Gregora... Choćby nawet... Wszak pan pewny jesteś swych uczuć, że nie wygasną przy lada przeszkodzie... Choćby nawet..., *potem* rzecz przedstawiałaby się jeszcze lepiej pod wieloma względami: pan Mac Gregor jest *galantuomo*... Rzecz odwlekłaby się, ale nie na długo. Ja nie jestem zabobonny. Ale znajomości z panią baronową, bliższe znajomości, pociągają zawsze chwilowy wyblysłk, a potem przyćmienie; czasem znaczne nawet przyćmienie. Co do pana, mniejbym się tego obawiał.

— Może pan być spokojny. Dla dobra kobiety, która nosić będzie moje imię, zachowam krew zimną.

— Czy zachowałby ją pan Mac Gregor? Jeśli pofolguje uczuciu, wątpię. Otóż, gdybyśmy zauważyli takie przyćmienie (bo lekkomyślnie tego traktować nie można!), takie rzeczywiste przyćmienie u pana Mac Gregora, to wtedy byłoby niewątpliwie obowiązkiem sumienia jakoś temu zaradzić — przez przyjaźń dla pana Mac Gregora... Ale może lepiej nie mieszać się w to osobiście; jesteśmy *galantuomi*... Wszak są ludzie, których jest to obowiązkiem. Nie mówię już o duchownych katolickich, choć są tacy, na których przyjaźń możemy liczyć, ale znam pastora Anglika, który w tych sprawach jest bardzo surowy; gorliwość jego, gdy chodzi o ratowanie zbłąkanych... Bądź pan spokojny. Ja tej sprawy nie spuszczę z oka. Gdy chodzi o uczucia, tak szczerze, jak pańskie, jest obowiązkiem każdego *galantuomo*... W każdym razie nie sądzę, by było wskazaniem, żeby pan dzisiaj widział się z panią baronową. Czy zajdzie ta... przeszkoda, chwilowa przerwa..., *intermezzo* .., czy nie, niech pan na mnie liczy.

— Ja panu we wszystkim ufam i wierzę, w imię przyjaźni, która nas łączy; łączy nierozdzielnie.

— Więc z całym spokojem niech pan pozostawi mnie czuwanie nad tem, co tak blisko dotyka jego serca. Pan za to, niech z podwójną gorliwością pilnuje tych spraw, o których mówiliśmy poprzednio, poziomych zapewne i prozaicznych, ale które stać się mogą podstawą szczęścia kobiety, którą pan pokochał.

I, wymieniwszy gorący, wylany i mocny uścisk dłoni, przyjaciele rozstali się: pan Spinelli powrócił do hotelu, a piękny architekt wsiadł do samochodu czerwonego i pomknął nim w stronę Tunisu.

Tymczasem ojciec Robin krokiem leniwym waleśsał się bez celu. Idąc dalej w górę, znalazł się niebawem obok katedry przed bramą, wiodącą do ogrodu klasztornego, którym pośród zieleni było muzeum „ojców białych“. Przeszedł obok kapliczki, wzniesionej dla upamiętnienia wyprawy afrykańskiej św. Ludwika, przyjrzał się, wydrążonym u jej stóp, podziemiom punickim, na których straży ustawiono posąg niewieści greckiego dłuta, bez głowy i bez rąk, ruchem i draperyjami przypominający Nike samotracką. I, wspominając słowa dr-a Zwanga, ojciec Robin dziwował się, że ma tu swą kaplicę św. Ludwik, któremu zaraza, dziesiątkująca wojsko, przeszkodziła, by cośkolwiek zdziałał i jego samego powaliła, a natomiast nic nie przypomina zwycięskiej wyprawy Karola V, co rozgromiła rozbójnicze zastępy arabskie i dwadzieścia tysięcy chrześcijan z ich niewoli wybawiła. Ojciec Robin poszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków dalej i, nie dochodząc do muzeum, tutaj się zatrzymał. Znał bogate zbiory „ojców“ i bardzo je cenił, ale ich nie lubił. Rozłożone w muzeum po pułkach i kablótkach, pokatalowane i ponumerowane, robiły na nim wrażenie czegoś martwego, jak gdyby odciętego od tej ziemi kartagińskiej, z której je wy dobyto i na której stało to muzeum. Tutaj natomiast, pod gołym niebem, leżały wszędzie mniej cenne zabytki, ale nie uwięzione w murach sztywnych, porzucone gdzieniebądź na ziemi: kolumny,

amfory, kapitele, marmurowe płyty i t. d.; w murze zaś, otaczającym ogród, osadzono liczne ułamki i okruchy posągów i płaskorzeźb z różnych czasów: i starych, kartagińskich, kutych w kamieniu, lub wypalanych z gliny, i rzymskich, i greckich: niektóre z nich były piękności niezwykłej. Tutaj ojciec Robin lubił przechadzać się, rozglądając się po rzeczach, które przypadkiem pociągały oko. Dzisiaj jednak, ledwie przystanął przed wystającą z muru, marmurową główką kobiecą, która zachwyciła go profilem przedziwnej piękności, zaraz ktoś z tyłu przerwał mu bieg myśli pytaniem:

— Przepraszam pana: gdzie tutaj na wzgórzu znajdowała się świątynia Tanity?

„Pewnie jakiś kraciasty turysta“ — pomyślał zagadnięty i z niechęcią odwrócił się do pytającego. Był to rzeczywiście pan kraciasty, młody jeszcze, wysoki, z długą brodą, tak jasną, że wydawała się niemal białą.

— Proszę pana — odparł — ja nie jestem ani przewodnikiem, ani uczonym. Przewodników znajdzie pan zapewne koło katedry, a uczonego tylko jednego: księdza Michała, tam, w klasztorze.

Kraciasty pan podziękował i odszedł, a ojciec Robin machnął ręką, splunął i mruknął: „nie, w niedzielę niepodobna; wolę już zamknąć się w domu“. I wróciwszy do siebie, doczekał się południa, a po posiłku pozwolił sobie rzadki zbytek: na popołudniową drzemkę.

Słońce dobrze już przechyliło się ku zachodowi, gdy wstał, wyszedł znowu i znowu w jednym domku dowiedział się, że „pan, co mądrości szuka“ jeszcze nie powrócił, a w drugim, że „mój pan“

jeszcze „żyje snem“. Bez zajęcia i bez towarzystwa był markotny i czas dłużyć mu się poczynał, a że nie miał też ochoty spotykać się z gośćmi niedzielnymi i odpowiadać na pytania, gdzie była świątynia Molocha? lub gdzie mieszkał Hannibal? — okrążył górne wzgórze bokiem i, zszedłszy po przeciwnym jego stoku, zapuścił się na równinę odludną. Tu odetchnął; tu był już spokojny i pewny, że nie spotka panów kraciastych. I tu wprawdzie rozciągało się ongi miasto, jak o tem świadczył choćby amfiteatr z kapliczką męczenników, ale poza amfiteatrem były już pola uprawne, należące do folwarków klasztornych. Dla wszelkiej ostrożności nie szedł drogą, ale puścił się przez pola, miedzami. Miło mu było, po kartagińskiej pustce, paść oczy widokiem pól żyznych i ludzkiej pracy owocnej. A jednak, ciesząc wzrok tym widokiem, bezwiednie myślą cofnął się wstecz do owej pustki. Najpierw zobaczył w myśli na tle czarnego urwiska kobietę bieli, z głową owiniętą w zawój jasny, w którym promienie księżycy, padając nań z tyłu, rozniecały różnobarwne, mieniające się blaski, a ona, z podniesioną prawicą, rzucała głosem potężnym w ciemną, ciszę i pustkę słowa: *„a gdy cię szukać będą, nie najdą cię więcej na wieki — mówi Pani;* potem wspomniał sobie też niewiastę siedzącą na wzniesieniu, trzymającą go za rękę i powtarzającą ze łzami w głosie: „pan jest jedynym mym przyjacielem niezmiennym; szczerem, wyrozumiałym, serdecznym“. Biedna kobieta! Co ją mogło tak przygnębić i tak upokorzyć? Mówiła o upokorzeniu wyraźnie. Ojciec Robin w zadumie nie widział już pól żyznych, między którymi szedł miedzą z głową

zwieszoną. Biedna kobieta! biedna kobieta! — potarzał nieustannie w myśli i, chociaż nie mógł odgadnąć powodów, co czyniło ją biedną, dał folgę wyobraźni i snuł najrozmaitsze widzenia, w których on, Robin, „biedną kobietę“ z jej biedy ratował.

— Cóż pana tutaj sprowadza?

„Biedna kobieta“, w swej własnej osobie, stała tuż przed nim na tej między między polami pustemi, z twarzą pogodną i uśmiechniętą, która wydawała się dzisiaj mniej przejrzysto blada na tle odchylonej wtył parasolki czerwonej. Ojciec Robin ocknął się, jakby ze snu zbudzony, wyprostował, pogładził „napoleonkę“ i zapytał:

— Ale pani co tutaj robi?

— Barbarzyńcy hulają dziś po Kartaginie, więc uciekłam przed nimi w pola.

— Ja również.

Ojciec Robin zamilkł, nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, tak „biedna kobieta“, ożywiona i wesoła, niepodobna była do tej, którą właśnie w dumaniach swych pocieszał i ratował. Z kłopotu wybawiła go baronowa, zapytując głosem ochoczym i żwawym:

— A gdzie są pańscy przyjaciele? Bardzo mili ludzie; wczoraj spędziłam z nimi wieczór bardzo przyjemny. Opowiedz mi pan coś o nich, o wszystkich, sprezentuj mi ich pan, jakimi znasz, jednego za drugim.

Ojciec Robin rozmyślał w duchu: „wczoraj rozpacz czarna, a dziś wesele i pogoda; i ja niby jestem jedyny człowiek, który rozumie ją zawsze! wolałbym już być w skórze tych, co jej nie rozumieją: może nie byłbym, jak ta tabaka w rogu!“ Pod wpływem jednak uśmiechu baronowej rozpogodził czoło i zapytał tonem swobodnym:

— Dobrze. Od kogo mam zacząć?

— Powiedzmy od... Nie, zacznijmy z cieńszego końca: od pana Jean-Jacques'a.

— To jest taka wstrętna „zielona małpa“, której bym nie cierpiał, gdyby nie to, że za nią przepadam. Ten smarkacz nieznośny ma coś i w głowie, i w piersiach, i w sercu. Ale mu tego nigdy nie przyznam, taka bestya nieznośna!

— Brawo! Portret wydaje mi się podobny. I mnie się ten młodzieniec podobał. Sądzę, że to człowiek, co swym talentem może robić niespodzianki. A pan Zwang?

— Objadł się nauki i tak głowa mu cięży, że musiał połknąć laskę, by wdół nie zawisała, i by trzymać się prosto i sztywnie, jak to prawdziwemu Germaninowi przystoi. Laska była tem potrzebniejsza, że w gruncie to człowiek nie tylko dobry, ale mięki, uczuciowy i wrażliwy, czego wstydzi się bardzo i robi wszystko, co może, by być surowo metodycznym ciężkim i oschłym.

— Wybornie! Ciekawam, co mi pan powie o panu Spinellim,

— Nie powiem nic.

— A to czemu?

— Bo go nie znam dość blisko, by, tak na wiatr, wygłaszać sąd, który zapewne byłby dla niego krzywdzącym

— Ależ ja nie proszę pana o sąd sprawiedliwy i nieomylny, ale o wrażenie, którym przyjaciel dzieli się z przyjacielem w zaufaniu. Wszak pan nie miał również dowodów na to, że jeden przyjaciel jest małpą i to zieloną, a drugi połknął laskę. Cóż pan Spinelli połknął?

— To powiem pani tyle: noszę zawsze zegarek, którego pilnuję, jak oka w głowie; widzi pani, nie wiele wart: srebrny, staroświecki, pokazujący dni miesiąca i tygodnie oraz zmiany księżyca; ale to pamiątka po moim pradziadku, więc tak go strzegę, że nabrałem nawyknienia, iż chwytam się często za kieszonkę, by stwierdzić, czy go mam jeszcze. Zwłaszcza w tłumie czynię to bezwiednie. Otóż, co pani na to powie: ilekroć rozmawiam z panem Spinnellim trzymam się za kieszonkę z zegarkiem bez przerwy...

— Zgoda! zupełna zgoda! Niech pan nic więcej nie dodaje! A wobec pana de Vielleville chwytą się pan również za zegarek?

— Nigdy! Nie mogę się przemódz, by zbliżyć się do niego na odległość taką, iżby zegarek mój był w niebezpieczeństwie!

— Ależ to zegarek nieoceniony! Jakże się zachowuje wobec pana Mac Gregora?

— Temu powierzyłbym go z całym zaufaniem, choć go prawie nie znam. Trzyma się od nas zdala i nie wiem, czy pięć słów z nim wymieniłem. Ale to człowiek prawy. Więcej nic o nim nie powiem, bo go zgola nie rozumiem. Człowiek zbyt rozsądny, by życie poświęcał wyłącznie robieniu majątku, zwłaszcza, że ma już tyle, iż ani cząstki dochodów wydać nie zdoła. A nawet niema czasu wydawać, tak wciąż pracuje zawzięcie. Więc, czemu męczy się tak bez przerwy z nigdy nie słabnącem wytężeniem? czemu, nawet gdy przyjedzie gdzieś dla rozrywki, zaraz założyć musi jakąś fabrykę, lub przedsiębiorstwo, jak tu w Kartaginie ten hotel? W tym rzutkim i trzeźwym businessmanie-

milionerze tkwi jakaś zagadka dziwna, do której klucza nie daje ani myśl logiczna, ani najściślejszy rachunek.

Baronowa spostrzegła się teraz, że miedza między polami tak się zwężała, że iść nie mogą dalej obok siebie, wysunęła się więc naprzód i szła w milczeniu, ogrodzona od towarzysza swą parasolką czerwoną. Uszli w ten sposób dobry kawał, przeszli jedno pole i drugie, i choć czasem spotykali ścieżki szersze, baronowa, idąc przodem, wybierała wciąż miedze wąskie. A szła bardzo szybko. Dopiero, gdy zbliżali się do drogi, wiodącej z powrotem na kartagińskie wzgórza, baronowa stanęła w miejscu jak gdyby wahała się, czy ma już porzucić tę miedzę, po której iść mogła w milczeniu i osamotnieniu. Stała i patrzyła przed siebie. Równina rozciągała się daleko, pokryta polami uprawnymi, a przerżnięta żółtą drogą, po której kroczył właśnie jakiś pan w stroju kraciastym. Kapelusz wraz z jakąś rozwiniętą mapą trzymał w rękach, założonych za plecyma i szedł z gołą głową podniesioną, aż w tył odchyloną, bladą, jak blade miał również jasne włosy, wstecz zgarnięte z ogromnego, wysokiego czoła, — bladą brodę, długą i jasną, i blade oczy, jasno-błękitne, wprzód utkwione nieruchomo, niewidzące nic obok siebie, a bodaj i niewidzące nic przed sobą. Gdy minął, sunąc drogą krokiem równym, niemal automatycznym, baronowa zawołała- odwracając się do towarzysza:

— Co za głowa nadzwyczajna! To jakiś filozof, wizjoner, marzyciel i prorok! Takiej głowy nie zapomina się nigdy!

— On szuka tutaj miejsca, gdzie była świątynia Tanity. Nagabywał mnie pytaniem o to dzisiaj rano.

Baronowa nic nie odpowiedziała, jeno, zamyślona, patrzyła na równinę rozległą, cichą, spokojną, skwarem wygrzaną, pokrytą ścierniami, rozgrodzonym tu i owdzie żywymi murami kaktusów kolczastych, ozłoconą promieniami zachodzącego słońca, a przerzniętą drogą żółtą, po której sunął teraz cicho i uroczyście cały sznur wielbłądów, idących jeden za drugim, wolnymi, długimi krokami, huśtających miarowo garby objuczone i niosących nad sobą na długiej, wygiętej szyi małe, nieruchome główki, ciekawie zadarte, kończące szyje haczykiem zagiętym. Za wielbłądami dreptały drobnym, trzęsącym truchcikiem małe osiołki, przykryte grubymi, słomą wypchanymi materacami-czaprakami, przypopręgowanymi na łąku; bokiem na nich usadowieni, siedzieli Arabowie z zawojami na głowach i, owinięci w białe, fałdziaste togi, bili piętami wierzchowce w tak oślego truchtu, a równocześnie patykiem, zaostrzonym na końcu, sztursali ustawicznie w kłęby ośle, kluciem podniecając wierzchowce do biegu. Baronowa, uderzając w dłonie, zawołała w uniesieniu.

— Jaki to widok przepiękny! Tak mi dobrze znany, a tak zachwycający zawsze! Patrz pan, jaka w tej karawanie godność spokojna i prostota malownicza! Wy takich widoków nie macie w waszej Europie cywilizowanej. Czy nie sprawia to panu wrażenia, jakgdybyśmy patrzeli na ucieczkę świętej rodziny do Egiptu?

— Dziwna „święta rodzina“! — mruknął Robin, — w której „św. Józef“ rozsiadł się wygodnie na ośle z pa-

pierosem w gębie, a „Bogurodzica“ z dzieckiem przytroczonem na plecach, dyrda obok na piechty! Pani zna dobrze ten widok i może się nim jeszcze zachwycać?

— Niech mi pan nie psuje wrażenia! Niech pan zmruży raczej oczy, a myśli nie zaprzęta dociekaniem. To takie piękne!

— Z daleka. Więc nie zbliżajmy się, póki karawana nie przewinie się i wdał nie zanurzy swego uroku — mamidła.

Jakoż niebawem karawana przesunęła się cicho i zmaląła w oddali. Baronowo odrzekła teraz, że musi już śpiesznym krokiem powracać do domu. Gdy weszli na drogę, okazało się, że nie cała jeszcze karawana zniknęła za zakrętem. Oczom ich przedstawił się bowiem taki widok: na środku drogi żółtej leżał, brzuchem na ziemi, mały osiołek; na jego grzbiecie, między dwoma ciężkimi workami, siedział spokojnie rosły Arab i kłuł ustawicznie osiołka papatykiem zaostrzonym w kłęb rozraniony, z którego ciekła krew i ropa. Arab nie niecierpliwiał się i nie gniewał, nie było mu śnać bardzo spieszenie (Arab nie spieszy się nigdy), bo kłuł ośła spokojnie, wciąż jednakowo, rozhuśtanym ruchem ręki, równocześnie wachając kwiat, tak łodygą zatknięty za ucho, że koroną sięgał mu pod dziurki od nosa. Osiołek z bólu zrywał się co chwilę, próbując stanąć na nogi i wraz upadał bezsilnie, a Arab kłuł go dalej wytrwale i apatycznie, wachając kwiat z spokojem niczem nie zamąconym.

— To okropne! Nie patrzmy na to! — zawołała baronowa.

— Ja od takiego widoku nie zwykłem odwracać oczu: przeciwnie!

I jednym susem ojciec Robin był już przy Arabie i okładał go z furią pięściami, to cięciem, to żgnięciem. Zdawało się zrazu, że i to Arabowi nie zamaça spokoju, bo siedział dalej, biernie przyjmując razy; ale gdy Robin do tej mimiki wymownej dodał nie mniej wymowne słowa, huczane z gniewem, nad którym nie mógł zapanować, a nakazując Arabowi nie tylko wstać, ale zdjąć wszystko z osła i swój grzbiet tem objuczyć, — Arab, czy przekonany tą argumentacją, czy mniemając, że przeznaczenie objawiło mu się z siłą nieprzepartą, wstał powoli, odpiął popręg i cały ładunek ośli wziął na barki bez szemrania. Zobaczywszy, że odsłonięty grzbiet ośli był jedną wielką raną rozkrwawioną i jątrzącą, Robin nie mógł wytrzymać i dodał Arabowi jeszcze jedno silne kopnięcie na drogę; osiołek powstał i szedł za swym panem, jak pies wierny. Cały wzburzony i trzęsący się Robin wołał:

— Widzi pani! Oto jest Afryka pod brzemieniem arabskiem! I pomyśleć, że nie tak dawno to gnuśne, ospałe, a okrutne i złośliwe plemię w ten sposób obchodziło się z jeńcami francuskimi, hiszpańskimi i włoskimi, wczoraj jeszcze — z murzyńskimi niewolnikami, a po dziś dzień obchodzi się tak z ziemią, co była jednym ogrodem wspaniałym, nim zaciężył na niej Islam, a jego wyznawcy przemienili ją w nieużytek jałowy i pustkę! Widziała pani, jak ten osiołek, uwolniony z męki i ciężaru patrzył na nas boleśnie a wdzięcznie? Tak patrzeć na nas będzie każda pięćdziesiątka ziemi, którą wybawimy od arabskiego znęcania się i ucisku!

Ojciec Robin perorował na ten temat z przejęciem dalej, ale baronowa nic mu nie odpowiadała, a niewiadomo nawet było, czy go słucha, bo w milczeniu dążyła do domu krokiem pośpiesznym. Gdy stanęli z powrotem przed hotelem, baronowa milcząco pożegnała się ze swym towarzyszem uściśnieniem dłoni gorącym i pobiegła zaraz do siebie. Ojciec Robin, rad z siebie, poszedł także do domu, dowiedziawszy się po drodze, że „pan, co szuka mądrości“ jeszcze się nie pojawił, a „mój pan“ nadal „snem żyje“.

W chwilę po powrocie baronowej stanął przed hotelem zakurzony samochód i *mister* Mac Gregor wyskoczywszy z niego, pobiegł na górę. Na górną terasę wyszła na jego spotkanie baronowa.

— Dziękuję panu, — rzekła, wyciągając do niego obie ręce; — dziękuję panu, żeś powrócił. Czulałam się dzisiaj tak samotna i opuszczona.

— Nie straciłem czasu. Byłem i *tam* i w Tunisie i rzecz załatwiona. Władza duchowna już orzekła, że akt darowizny, na mocy którego dierży te obszary, jest sporządzony w złej formie, a więc nieważny. Dawni zaś właściciele podpisali już akt sprzedaży. Jedno zero więcej na czeku dokazało tego cudu. Te obszary puste są już moje; chciałbym powiedzieć -- nasze. Jutro wczesnym rankiem cztery samochody pojedą tam z Tunisu, wioząc wielki namiot o kilku przedziałach, najpotrzebniejsze urządzenia i sprzęty, i moich ludzi, którzy na pojutrze rano zwołać mają robotników. Ja wyruszam stąd jutro w południe.

— Co? więc już jutro w południe... wyruszamy?

— Dziękuję pani za to słowo.

— To niech pan za jednym zachodem podziękuję i za słowo inne. Ale to wielka tajemnica. Pamięta pan naszą rozmowę wczorajszą, niemal sprzeczkę? Otóż — tu baronowa [nachyliła się ku jego uchu i dodała szeptem: — otóż bodaj, czy to nie pan miał słusność — nie ja.

I podała mu rękę.

IX.

Choć budowa *Grand Hôtel Hazdroubaal* prowadzona była z ogromną energią i pośpiechem, pośpiech ten cierpieć musiał jeden wyjątek, mianowicie, że odpoczynek niedzielny rozciągał się jeszcze na pół poniedziałku. Na stosunki tunetańskie był to niewątpliwie pośpiech wyjątkowy. Nikt tutaj nie pracował tak pilnie. Mahometanie posłuszni przepisom swej religii, święcą, jak wiadomo piątek. Ale żydzi święcą znów sobotę, a chrześcijanie niedzielę. Mało zaś robót wykonywuje się w ten sposób, żeby te wszystkie trzy wyznania w grę nie wchodziły i nie tamowały roboty przez całe trzy dni, na co zresztą Arabowie nie skarżą się całkiem, a Włosi tylko półgębkiem.

Żydzi zwłaszcza odgrywają w ekonomicznych stosunkach tutejszych rolę przeważną. Pozornie zarabizowani są zupełnie. Mówią tylko po arabsku (przywędrowali tu z Maurami) i ubierają się w strój arabski, przyczem dokazują tej sztuki, że ten strój, w którym nawet pokraczny Arab wygląda malowniczo i wspaniale, wisi na nich niezgrabnie, jakgdyby niechętnie przyodziewał ich postaci, nieumiejące poruszać się w nim ze swobodą i wdziękiem. Odróżniający się od reszty ludności tuszą nadmierną, Żydzi wiodą tutaj żywot mało ruchliwy ale zyskowny, oddając się przeważnie lichwie. Przy nieporadności

i lenistwie Arabów, zawód ten pasożytny daje zyski tak dobre, że Żydzi tyją coraz bardziej i rosną w dostatki, a Arabowie nienawidzą ich i nimi gardzą, ale na nich wyłącznie pracują, o ile pracują. A że potrzeby mają małe, wolą nie pracować zgoła i najchętniej święciliby w tygodniu dni siedem! Przy budowie hotelu na kartagińskim wzgórzu nie zatrudniano wprawdzie Arabów, ale robotnicy i rzemieślnicy europejscy, spędziwszy na tutejszem pustkowiu tydzień cały, wyjeżdżali na niedzielę do Tunisu i tam zabawiali się z takim animuszem, że w poniedziałek do południa robota szła opornie, a pan Spinelli, nie chcąc za lichą pracę dobrze płacić, zgodził się na to, by zaczynano ją dopiero od południa, ale ostro.

Zbudziwszy się tedy ze snu, którym, według małego Kabila, „żył“ od onegdaj, „długowłosy złotodziób“, zamiast spieszyć do pracy, ustroił się przedewszystkiem z wielką starannością, na palce u nóg bosych założył pierścienie najpiękniejsze i długi czas strawił przed zwierciadłem, przekrzywiając bilet to w prawo to w lewo i rozczesując w rozwichrzoną, szeroką grzywę kłębiące się po ramionach kędziory. Zadowolony wreszcie z siebie, zapalił krótką fajeczkę i, klasnąwszy na swego Kabila, kazał mu nieść za sobą ostrożnie spore płótno malarskie, naciągnięte na krosnach, którego przód zakryty był kartonem, przytwierdzonym w czterech rogach gwoździkami, przebitymi przez kawałki korków, by karton nie dotykał płótna.

I tak z głową zadartą i miną zadzierzystą, z giermkim kabilskim z tyłu, kroczył pewny siebie i butny, puszczając dymy z fajki lub gwizdząc z przejęciem „Marsylianek“, Szedł do *Grand Hôtel Saint*

Louis. Po drodze nie spotkał nikogo i to sprawiło mu przykrość. Był w usposobieniu zwyciężskim. Słoneczny, pogodny dzień i błyskająca wesoło wszystkimi barwami zatoka dostrajały się do jego myśli różowych i byłby rad, żeby go ludzie byli widzieli kroczącego tak z weselem na twarzy i dumą: nie wiedzieliby, czemu panoszy się tak tryumfalnie, ale na pewno czuliby w nim tryumfatora.

Nim doszedł do hotelu, Jean-Jacques zboczył z drogi w lewo i zatrzymał się u stóp muru rzymskiego, gdzie wczoraj rozmawiał z baronową. Tu przystanął, rozejrzał się dokoła, wciągnął w siebie głębokim oddechem przez usta i nozdrza wielką moc powietrza, zaśmiał się serdecznie i, zawoławszy na Kabila: — Teraz naprzód, a żywo! — puścił się kłusem do gospody.

Wybiegłszy po schodach na górną terasę hotelu, przystanął w korytarzu chwilkę. Serce biło mu rączo, tak szybko, że musiał odetchnąć. Gdy, postąpiwszy parę kroków, stanął u wejścia na terasę zobaczył przy stole z zastawą herbacianą usadowionego „tyrana“, patrzącego z głową w bok odwróconą, z takim niezwykłym w tej twarzy surowej wyrazem błogości łagodnej, że zdziwiony krok jeszcze postąpił, by zobaczyć, na co „tyran“ spogląda. U drugiego wejścia na terasę stała baronowa. W białej, porannej sukni, wykrojonej pod szyją, z obnażonymi ramionami, wystającym z krótkich rękawów, z czarną gęstwiną włosów, związanych w gruby węzeł tymczasowy, stała promieniejąca tak jasnym uśmiechem, jakiego nigdy u niej nie widział, nigdy nie byłby przypuścił, jakiego nigdy nie byłby wymarzył... Z tym uśmiechem, niemym a wymownym, patrzyła

na pana Mac Gregora, który przerwał milczenie słowami:

— Tylko proszę cię, Elisso, nie guzdraj się długo z ubieraniem, bo o dwunastej musimy wyjechać.

Baronowa roześmiała się jeszcze czarownicę i zniknęła. Jean-Jacques chciał również uciec, nim wszakże się opamiętał, „tyran“ zauważył jego obecność i zwrócił się doń z pytaniem:

— Pan ma zapewne do mnie jakiś interes, proszę bliżej.

— Ja interes do pana? Nie mam żadnego.

— Myślałem, skoro pan tu przyszedł...

— Przyszedłem, bo mi się tak podobało — odparł „zółtodziób“, zadzierając zuchwale głowę — przyszedłem dowiedzieć się, czy tu... czy tu niema dla mnie apartamentów odpowiednich.

„Tyran“ spojrział na niego uważnie i rzekł z uśmiechem żartobliwym:

— Żałuję, że nie umiem pana pod tym względem objaśnić. Gdy skończę *Grand Hôtel Hazdroubaal*, będę na jego rozkazy i polecam się pańskim łaskawym względem.

„Długowłosemu zółtodzióbowi“ nie wpadła widocznie żadna odpowiedź, będąca na wysokości położenia, bo wyjął tylko z kieszeni krótką fajkę, nałożył do niej tytoniu z wielką starannością, zapalił i, otoczywszy się chmurą dymu, odwrócił się nagle i wyszedł. Na dole krzyknął Kabilowi;

— Dymaj z tem do domu, a kłusa i postaw to płótno za szafą!

Poczem chyłkiem, jak złodziej, pomknął za róg hotelu, skulony obiegł go na stronę przeciwną, pa-

roma susami poskoczył skryć się za pagórek najbliższy i tam dopiero przystanął z ustami otwartymi i oczami wybałuszonemi i chwycił się oburącz za głowę. Stał tak chwilę nieruchomy, jakby ogłupiały. Potem bić się zaczął w piersi, bębniąc w nie pięściami, wreszcie sunął przed siebie cwałem, pędząc po stoku góry naprzelaj, naoslep.

.....

Wbrew upomnieniu „tyrana“ baronowa „guzdrała się widocznie z ubieraniem długo, bo było już w pół do drugiej, gdy przed przyszłym *Grand Hôtel Hazdroubaal* zatrzymały się dwa samochody. Z pierwszego wyskoczył pan Mac Gregor, a za nim rzuciwszy z siebie samochodowe osłony, wyszła i baronowa i przechadzać się zaczęła na uboczu, przyglądając się zatoce błękitnej i uroczej. Samochód drugi, próżny, wiózł tylko kufry baronowej, a obok kierownika siedział czarny Aszur w swej todze purpurowej.

Naprzeciw „tyrana“ poskoczył żywo pan Spinelli z panem de Vieilleville i administrator, nie czekając na zapytanie, zapewniać zaczął swego zwierzchnika, że wszystko jest w porządku największym, że budowa postępuje zupełnie normalnie, ściśle według jego rozkazów i życzeń, że może być całkiem spokojnym i zaufać bez obawy gorliwości i jego i pana architektki, który doprawdy nie żałuje trudu... Potok ten słów przerwał pan Mac Gregor:

— Dzisiaj muszę panu wierzyć na słowo, gdyż spieszy mi się i nie mogę zatrzymać się dłużej, by sprawdzić twierdzenia pańskie na miejscu. Wpadnę tu znów w tym celu niebawem. Zatrzymałem się tylko na chwilę, by z panem de Vieilleville omówić

parę szczegółów. Czy nie jest pan zdania, że wobec rozmiarów hotelu, *garage* na samochody jest w projekcie pańskim za szczupły? Dzisiaj łatwo to jeszcze zmienić: można posunąć się dalej z lewym skrzydłem, skopując jeszcze kawałek góry. Podczas, gdy „tyran“ omawiał z architektką techniczne szczegóły tego, administrator oddalił się spiecznie, by zabawić baronowę, przechadzając się samotnie. Ledwo jednak zagadał do niej:

— Pani baronowa raczy pozwolić...

Posłyszał odpowiedź w tonie raczej opryskliwym:

— Czy pan nie może powiedzieć pięciu słów, nie nazywając mnie przynajmniej dwukrotnie „panią baronową“?

— Ależ pani baronowo...

— Znowu?

— Przecież pani baronowej należy się ten tytuł, więc niech pani baronowa pozwoli...

— By pan ciągle mnie nim nudził, nawet wbrew mej woli!

— Więc jakże mam nazywać panią ba...?

— Mówiąc do mnie poprostu „pani“; a mówiąc o mnie, „pani Elissa“. A kiedy się pan w tem wprawi, podejmiemy rozmowę na nowo.

I pani Elissa odwróciła się i odeszła krokiem szybkim. Przechadzając się dalej po drodze, wpatrywała się w zatokę cichą, śmiejącą się dzisiaj blaskami tak czarownicami, jak nigdy dotąd; a jednak śpieszno jej było, by co rychlej wyrwać się stąd pędem samochodu. Spotykała co chwilę robotników, zdążających na budowlę, a w ich liczbie dostrzegła i ojca Robina, który zdala pozdrowił ją uchyleniem

kapelusza i minął. Pani Elissa zawahała się nieco, decydując się jednak, zawołała:

— Panie Robin, czy tak śpieszno panu do pracy?

— Zapewne, że śpieszno. Tylko, że na razie dostać się tam nie mogę. Pan Spinelli postawił straż przy wejściu z poleceniem, by nie wpuszczala nikogo, póki nie wybije godzina druga. Nigdy tego nie było. A pan Spinelli nic bez celu nie czyni...

— Więc chwytasz się pan za kieszonkę z zegarkiem pradziadka?

— I jestem czegoś niespokojny...

— Przepraszam, że w takiej chwili pana zatrzymałam. Ale wyjeżdżam i chciałam się z nim pożegnać. Nie wiem, gdzie się znów spotkamy i kiedy...

— Życzę pani wszelkiej pomyślności...

— W życzliwość pańską ufam zawsze i zawsze ufać będę. Bo życzliwości pańskiej potrzeba mi zawsze. Niech pan odemnie pozdrowi swych przyjaciół: dr. Zwanga i pana Jean-Jacques'a.

— Nie widziałem żadnego z nich ani wczoraj, ani dzisiaj; zobaczą ich wszakże, ufam, za chwilę.

— A młodego swego przyjaciela, tego „nieznośnego“, zapewnij pan, że w jego talent wierzę.

— I ja w nim talent przypuszczałem. Dzisiaj wiem, że go ma i to niezwykły; miał go przynajmniej wczoraj...

— Jak to wczoraj?

— Wczoraj służący jego, Kabil, nie chciał mnie do niego puścić, opowiadając, że całą noc „nosiło go coś po szczytach“, a teraz „mój pan snem żyje“. Dziś przekonałem się, że rzeczywiście „żył snem“ wczoraj dzień cały, ale na jawie! Malował dzień

cały od świtu do zmierzchu i stworzył rzecz wręcz porywającą. Szkic to na razie. Ale jaki szkic! Noc; na szczycie pagórka, ot tego właśnie, Berberzy usadowieni kołem, "pośrodku niewiasta ślepa z twarzą natchnioną, jaśniejącą przedziwną mocą i bólem! W głębi zatoka z księżycem nad tamtymi górami... A wszystko spowite mrokiem, dyszy taką mocą tajemniczą, co wskroś przenika i rozpętuje całe roje marzeń! Wręcz się zdumiałem. Zobaczyłem to przed chwilą przypadkiem, gdyż mały Kabil wezwał mnie na pomoc. Powiada, że nosił obraz za swym panem do gospody „ojców białych“, że pan nagle uciekł, a jego odesłał z obrazem do domu; że jego znów „coś nosi ażę strach“. Otóż obraz przykryty był kartonem. Kabil, pędząc z nim, odezwał karton, nie wie, jak to naprawić, więc mnie prosi o zaradę, bojąc się swego pana, bo on dziś „strasznie zły i strasznie go nosi“. Nie widziałem się z nim. Jeszcze nie powrócił.

Pani Elissa stała chwilę w milczeniu, trąc czoło poczem wyciągnęła rękę do Robina i rzekła:

— Niech mu pan powie coś ode mnie, coś ciepłego, serdecznego... Ja w tej chwili nie mogę znaleźć słów dla swej myśli. Nie mogę. Niech mnie pan zastąpi. A i dr. Zwanga niech pan serdecznie pożegna. I..., bądź zdrów, przyjacielu! A teraz niech pan idzie, niech pan idzie. Nie, niech mnie pan nie odprowadza. Proszę pana, niech pan idzie.

I, choć pan Mac Gregor dawał zdala znaki ręką, że już czas na wyjazd, pani Elissa stała jeszcze w miejscu aż ojciec Robin zniknął za ogrodzeniem budowli i wtedy dopiero pobiegła śpiesznie, by zająć w samochodzie miejsce obok pana Mac Gregora.

Gdy już skinieniem głowy odpowiedziała i na ukłony czolobitne administratora i na pokłon pana de Vielleville, pełen wytwornej godności i wdzięku, wstała jeszcze z siedzenia, by około twarzy opiąć woalkę. Stała tak właśnie, trzymając w podniesionych rękach białą, cieniutki szal, rozprężony za głową, gdy obok drogą przechodził jakiś pan w stroju kraciatym: ten wczorajszy „prorok“ z wysokiem czołem, jasną brodą, bladą i oczyma blademi. Przechodzień przystanął, jak wryty, i utkwił w tę twarz kobietą blade oczy marzycielskie. Trwało to oka mgnienie, gdyż woalka w tej chwili zakręciła się około głowy, pani Elissa usiadła, trąba zahuczała i samochód pomknął zwawo, znikając niebawem za żółtą chmurą kurzu. Administrator z architektką odeszli śpiesznie na budowę, a „prorok“ stał wciąż nieruchomy, zapatrzone w chmurę żółtą, przesłaniającą widziadło, co się jeno ukazało migiem i znikło. Obejrzał się dopiero, gdy poza sobą postyszał kroki człowieka, biegnącego pełnym pędem. Spojrzał na młodzieńca, lecącego z takim rozmachem, że skudłone kędzioły trzęsły mu się za głową, podrzucane wiatrem; policzki miał oblane potem, oczy wytrzeszczone, usta rozwarłe, a na twarzy wyraz lęku. „Prorok“ zatrzymał go, rozkrzyżowawszy ramiona zawołał:

— Jedno słowo! Kto jest ta niewiasta, co w tej chwili odjechała samochodem?

— Ona?—Elissa? Boska Elissa! Boska i przeklęta! I, pozostawiając „proroka“, oszołomionego takim objaśnieniem, Jean-Jacques popędził dalej, wpadł, jak szalony, na budowę i, spostrzegłszy administratora, architektkę i Robina, rozmawiających opodal, zakrzyknął do nich głosem przerażonym:

— Dr. Zwang! Gdzie jest dr. Zwang!?

— Nie wiem, — odparł ojciec Robin, — nie widziałem go do soboty; jeździł podobno do Tunisu; nie wiem czy wrócił.

Pan de Vielleville wrzucił tylko lekceważąco ramionami, ale administrator odezwał się, zacierając dłonie, z uśmiechem najmiłszym:

— Nie wiem, czy dr. Zwang powróci. Mam pod tym względem wątpliwości poważne. Nie mówiłem panom, że miałem z nim w sobotę rano długą rozmowę: stawiał mi rozmaite wymagania niemożliwe, rzeczy kosztowne, a niepotrzebne, a gdy mu odmówiłem, oświadczył, że w takim razie posadę swą porzuci. Starłem się odwieść go od tego zamysłu, mniemałem nawet, że mi się to udało (dla tego o tem nie wspominałem), kiedy dzisiaj otrzymałem telegram od niego z Tunisu. Mam go tutaj przy sobie: donosi mi, że stanowczo odjeżdża.

— Kłamiesz! — ryknął Jean-Jacques, co siły w płucach; — tę depeszę zamówiłeś sobie pan telefonem sam u jakiegoś takiego, jak pan, kolegi-Maltańczyka! Dr. Zwang nie żyje! obleciałem wszystkie wzgórza: nigdzie nie spotkałem żadnego Berbera: ściągnęli strażę i znikli! Zrobili więc swoje i dr. Zwang nie żyje! Chodźmy prędko do grobowca Elissy pod urwisko; tam się przekonamy.

— Przepraszam, — przemówił pan Spinelli głosem stanowczym i tonem jak najbardziej urzędowym; — śmiem zwrócić uwagę panów, że jest już dwadzieścia minut po drugiej: miejsce panów jest obecnie przy pracy, a nie przy jakichś grobowcach wymarzonych. A nawet i później iść tam panom nie pozwolę. Przy tamtem skrzydle oberwał się

kawałek góry i chodzić tam niebezpiecznie; może nastąpić obsunięcie dalsze. Najwpierw muszę zbadać rzecz z panem architektą i obmyśleć, jak to zabezpieczyć. Stanowczo — nie pozwalam.

— Pan nie pozwalasz? — ryczał znów Jean-Jacques,—to ja pana o pozwolenie poproszę bardzo grzecznie!

I przyskoczył do administratora z zaciśniętymi kułakami. Ten usunął się szybko na bok, a Jean-Jacques z Robinem pobiegli w stronę urwiska. Pan de Vieilleville odezwał się do administratora:

— Widzi pan, co to jest poufalić się z ludźmi bez wychowania! A ostrzegałem pana nieraz. A co ten gbur bredził o jakimś grobowcu i Berberach? Cóż to ma za związek?

— Czy ma związek, czy nie, sprawa jest bardzo przykra. Chodźmy tam za nimi szybko, by niepotrzebnie nie narobili alarmu. Pan rozumie: choćby tam w tem i coś było, poco wywoływać krytyki, artykuły po gazetach?... Panu Mac Gregorowi byłoby nieprzyjemnie, zwłaszcza, że to mogłoby zaszkodzić przyszłej frekwencji w hotelu; jak się taką historię rozdmucha... Mógłby nawet pan Mac Gregor nam robić wyrzuty niesprawiedliwe. Rozmyślnie przeczekałem z tem aż odjechał. Zresztą i koszta... Jeśli się coś nawet stało, to się już nie odstanie. Pan mnie rozumie?

Gdy znaleźli się za lewem skrzydłem hotelu pod urwiskiem zobaczyli Robina, stojącego w zadumie smutnej, z głową spuszczoną i obnażoną i założonemi rękoma. Obok Jean-Jacques targał się za włosy i krzyczał:

— To moja wina, moja wina! Wszystko to ja sprawilem! Ale, jak mogłem przypuszczać? Obiecał mi, że sam beze mnie nie poważy się na to. Mówilem mu, że niebezpieczeństwo tu grozi! Co ja teraz zrobię? co zrobię? Żebym był czuwał wczoraj nad nim, a nie dał się opętać temu obrazowi,—co robić! A może on tam jeszcze żyje?

Poczem, uspokoiwszy się na chwilę, tłumaczył począł Robinowi:

— Widzi pan, tutaj był ten kamień, co przykrywał studnię z grobowcem. Ledwie różkiem wystawał z pod góry. Teraz góra podkopana, a kamień odwalony leży tam! On się spuścił do studni, a wtedy przyczajone Berbery przypadły: wczoraj była pełnia, pełnia, co „krzepi i cuci“, co „nęci i wabi“, — wylękli się, że z grobowca otwartego Elissa powstanie: przypadli, zasypali, żywcem zadławili! Mój Boże! co ja pocznę? co pocznę!

— Darujcie panowie,—przerwał pan Spinelli,—mówicie o jakiejś studni, kiedy tu żadnej studni nie było. Niema żadnego śladu studni. Że ziemia miękka? No, bo z góry się oplezła i jest zbeltana, jak przy każdym osypisku. To jest zwykle osunięcie się urwiska, jakie zdarza się często. Niema się czem niepokoić. Co się zaś tyczy dr. Zwanga, to ja słowo panom daje, że w sobotę jeszcze wypowiedział mi służbę, a dzisiejszy telegram potwierdza, że rzeczywiście wyjechał. Ja nie biorę panu za złe słów pańskich, nieco zapewne za krewkich, ale w obawie o przyjaciela...; choć obawa bezpodstawna. Wyjechał wczoraj rano, odtąd się nie pokazał, a dziś telegrafuje... Rzecz, ściśle biorąc, w porządku...

— Panie Spinelli, — odezwał się Robin głosem drżącym i groźnie spokojnym; — dziwne to pańskie oberwanie góry. Bo widzi pan tutaj ślady motyk, które pomagały widocznie górze, gdy obrywała się sama. I nie od góry się obrywała, ale u dołu wgrzyzło się osypisko w brzeg w tem jednym tylko miejscu! Dziwne oberwanie! Tem dziwniejsze, że, jak widzę, prócz ziemi z urwiska są tu także w tem świeżem „osypisku“ cegły i kamienie, wyrwane tam z muru, które po równej drodze przyleciały tu ze dwadzieścia kroków, by koniecznie wziąć udział w tem „oberwaniu“.

— To zrobili oni, oni: „*aż dziesiątego miasta przywali ją gruz!*“

Nie zważając na okrzyk Jean-Jacques'a, Robin ciągnął dalej:

— Pan Zwang wyjechał, powiadasz pan, i więcej się tu nie pokazał? Wszak się nie mylę? Panie Jean-Jacques, pomóż mi podważyć ten kamień. A co? — hełm dr. Zwanga, którego... tu nie było! Panie Spinelli, nie zagaduj pan niepotrzebnie, ale zwołaj ludzi i każ odkopać studnię! Choć żywego już nie znajdziemy...

— Temu ja muszę stanowczo sprzeciwić, — odezwał się architekt; — co do tego miejsca mam wyraźne rozkazy od pana Mac Gregora, żeby natychmiast przedsięwziąć tu roboty dalsze. Nie odwlekę ich dla jakichś tam sentymentów, nieopartych na niczem poważnem.

— Pozwólcie, panowie, — dodał pan Spinelli, — ja w sprawie dr. Zwanga, przyznaję, że nie zupełnie wyjaśnionej, poczynię jaknajdalej idące dochodzenia. Panowie wiecie, że my mamy stosunki w sferach

wpływowym, bardzo poważne stosunki... Użyjemy ich, by rzecz wyjaśnić, *jak należy*... Nie troszczcie się panowie o to, to rzecz nasza. W tem miejscu budowla będzie rozszerzona; zabierzemy się do tego zaraz, a tu, gdzie ziemia jest miękka, no, to ten kawalek się przesklepi, nie ruszając. Nie prawda, panie de Vieilleville? Uspokójcie się, panowie. Mówmy raczej o rzeczach pilnych. Wobec... wyjazdu dr. Zwanga, ktoś musi objąć jego zajęcia. Jeśli pan się zgodzi, panie Robin, ofiarowuję to jemu na warunkach, bardzo korzystnych... Pan Jean-Jacques musiałby oczywiście pomagać panu przy rysowaniu projektów, a taka praca wynagradza się znacznie wyżej, bez porównania wyżej, niż zwykle malowanie ścian. Ja ufam, że panowie wywiążecie się z tego zadania dobrze; zależy nam zresztą na pośpiechu... Więc zgoda?

— Panie Spinelli, — odparł ojciec Robin, — pan w swoim życiu musiałeś spotykać dużo łajdaków...

— Ale nigdy chyba takiego, jakim sam jesteś! — dodał „długowłosy żółtodziób“.

— Skoro panom moje propozycje nie dogadzają — odrzekł szorstko administrator — nie zmuszam i prosić nie będę. Panowie róbcie sobie, co się wam żywnie podoba, nie wzbraniam. Ale nie zapominajcie, że tutaj z ramienia pana Mac Gregora rządzą ja. I ja panom rozkazuję opuścić budowlę i zgłosić się do administracyi, celem wyrównania ich rachunków. A tutaj ja zarządzę, co uważać będę za właściwe. Żegnam panów.

— Nie wątpię, — odparł Robin — zarządzenia pańskie będą bardzo... mądre i praktyczne, a stosunki jego dość wpływowe, by się pokazało, że niebosz-

czyk Zwang wyjechał w świat zdrów i zadowolony, choć... nie dojechał nigdzie! Nie wątpię, że powodzenie nadal towarzyszyć będzie waszym przedsięwzięciom: wszak macie stosunki wpływowe i w tym świecie i — na tamym. Żegnam panów.

— Głupie chamy, a przytem złośliwe — mruknął administrator, gdy obaj malarze odeszli — ale myślą się, jeśli myślą, że ja ich przycinki wezmę do serca. Wie pan, w tem, co ten stary powiedział tkwi pomysł niezły: „wyjechał w świat zdrów i zadowolony“? Niech pan dziś jeszcze tem się zajmie, by taka notatka wykazała się w dziennikach.

Robin z Jean-Jacques'em odeszli, ale nie udali się do administracyi, celem wyrównania rachunków. Pobiegli wprost na przystanek kolei elektrycznej i wskoczyli do pierwszego pociągu. Dojechali nim do najbliższego przystanku „Salambo“ i następnym pociągiem powrócili. Gdy wykonali to, tam i z powrotem, parokrotnie, dowiedzieli się od konduktorów, którzy wszyscy znali dr. Zwanga dobrze, że uczony wyjechał wczoraj rzeczywiście do Tunisu pierwszym pociągiem porannym, ale powrócił przed wieczorem i to w towarzystwie dwu Arabów, zaopatrzonych w kilofy i łopaty; dr. Zwang przywiózł z sobą latarnię i powróż mocny i długi. W dwie godziny potem Arabowie powrócili do Tunisu sami, zadowoleni widocznie z pracy krótkiej, a zapłaty dobrej, gdyż przez drogę śmieli się licząc pieniądze. Dr. Zwanga odtąd nikt nie widział; pewnem zaś było, że powtórnie do Tunisu nie pojechał.

— No, to teraz nie mamy już tutaj nic do roboty — rzekł ojciec Robin; — chodź pan ze mną, pomóż mi pan spakować manatki, a potem ja tobie

nawzajem pomogę i pożegnajmy Kartaginę, dziś stokroć smutniejszą, niż wówczas — pamiętasz pan? — gdyśmy zobaczyli ją po raz pierwszy i dziwowali się, że z jej opuszczenia zionie taka rozpacz cicha i taka za życiem zamarłym tęsknota...

Pakowanie manatków podstarzałego malarza nie trwało długo. Za chwilę opuścili dom jego, obarczeni jedną tylko torbą i niewielkim kuferkiem. Udali się do mieszkania Jean-Jacques'a. Gdy weszli do jego izby mieszkalnej, pierwszą rzeczą, która uderzyła ich oczy, był obraz młodego malarza, oparty o poręcz krzesła, oświetlony jasno, tak jak go ojciec Robin ustawił i odszedł. Ujrawszy swoje dzieło, Jean-Jacques stanął zdziwiony, jakgdyby był zobaczył rzecz nową, nieznaną. Wpatrywał się w płótno, przy czym twarz drzeć mu poczęła, a łzy zakręciły się w oczach. Chwyciwszy przyjaciela za rękę, szeptać doń jął półgłosem:

— Nie zważaj pan, nie patrz. W tem nieszczęściu nie myślałem o tem, a teraz znów moje zajrzało mi w oczy! Zwang nie sam jeden dzisiaj umarł! tylko, że ja żyć i tak muszę dalej!! Nie, nie zniosę tego widoku, tego wiecznego przypomnienia, jak byłem strasznie, jak naiwnie głupi, i jak straszne było z głupiego snu zbudzenie! Potargam to na strzępy!

I, kopnąwszy obraz nogą, że pod okno poleciał, rzucił się za nim, jak za wrogiem nienawistym. Ojciec Robin powtrzymał go, silnie chwyciwszy za ramię.

— Nie masz prawa! — zawołał rozkazująco; — to już nie jest twoje. Skoro smutek tych zwalisk i tej pustki przemówił przez twój talent z taką siłą, nie masz prawa pozbawić go głosu. Zabierz wszystko, co twoje, — dodał — Kabil zanieśe rzeczy

nasze na przystanek, a ja osłonię i wezmę w przechowanie ten obraz. A potem pójdziemy raz jeszcze pożegnać przyjaciela.

Pomimo całego pośpiechu, gdy wkrótce potem znaleźli się na szczycie łysego wzgórza, na dawnym, dziś opuszczonym, koczowisku Berberów, słońce zasunęło się już za łańcuch gór ciemny. Szary mrok rozpościerał się nad pagórkami szaremi i pustymi, odarł już z blasków zatokę, świecąca się jeszcze bladym wspomnieniem słonecznego ognia, i coraz gęściej czarniejącą zasłoną okrywał kotliny i zagłębienia. U stóp ich, w dole pod urwiskiem, widniały jeszcze mury *Grand Hôtel Hazdroubaâl*, wystające prostymi liniami z pomroki czarniawej i zaczerniającej cieniem żalobnym ziemię, świeżo rozkopaną. Patrzący z góry rozeznacć już nie mogli ani owego kamienia, odwalonego z nad studni-grobowca, ani miejsca, gdzie miękka, grzęska ziemia dławiała studnię, zmieszana z cegłą i ciosami. Zdawało im się, że tam z dołu, z tej budowli, opuszczonej przez gwar ludzki, obrastającej mrokiem, podnosi się ku nim zwolna cisza głucha, dotkliwie bezwzględna i stamtąd rozpręża się w koło: ogarnęła już wybrzeże, obsiadła zatokę wybladłą i ku górze pnie się coraz wyżej, szmer wszelki tłumiąc i szczelnie przylegając do stoków, dosięga już szczytów, milczkiem do nich przywarła i ze szczytu na szczyt pełza po wszystkich wzgórzach i wsiąka w gruzy i zwaliska nagie i smutne.

Tak nad tem urwiskiem siedzieli bez ruchu, rozmawiając milczeniem i bez słów wymieniając myśli.

I byliby się zdziwili nadmiernie, gdyby im ktoś był nagle powiedział, że dwa dni temu byli sobie niemal obcy.

X.

W głębi zatoki kartagińskiej, oddzielone nią od pełnego morza, leży miasto stołeczne Tunis, zalane światłem, białe, słoneczne, szeroko rozsiadłe. Nie jedno to właściwie miasto, ale miast trzy, zrosłych z sobą, choć zgoła odrębnych, różnych wyglądem i charakterem oraz mową mieszkańców: tuż nad przystanią — miasto nowe francuskie, za jego plecami, w głębi lądu, opiera się o nie stary Tunis arabski a między nie wcisnęła się dzielnica włoska.

Tunis francuski, jasny i przestronny, czysty, wymyty i schludny pławi się cały w białym blasku słońca, poprzerzynany cienistymi ulicami, wysadzonemi, drzewami, wybrukowany kostką drewnianą, rozkrojony aleją długą, prostą i przewiewną, przy której stoją budynki najwspanialsze: pałac rezydenta francuskiego, umajony zielenią ogrodu, katedra, teatry, kluby, hotele, banki, kawiarnie i całe szeregi sklepów wytwornych. Z tej tętnicy głównej miasto nowe rozgałęzia się w obie strony ulicami, równie wesołemi i schludnemi, rozprowadzającemi szeregi drzew poza mury miejskie w kraj dotąd pusty i z wszelkiej zieloności odarty. Na początku tej alei, obok przyszystani, stoi spiżowy Juliusz Ferry, twórca potęgi zamorskiej Francji, patrzy w głąb czarnego ludu; na jej końcu wznosi się monumentalna „*Porte de France*”: brama symboliczna, przez którą wpływ Francji przelewa się na świat muzułmański.

Kto przekroczy „Bramę Francyi“, to jakby przeskoczył morze: z Europy suchą nogą wchodzi w jądro Afryki muzułmańskiej, malowniczej, barwnej, olśniewającej bielą murów, rozpalonych słońcem, ciemnią uliczek ciasnych, pstrokacizną strojów, noszonych z powagą i godnością, co zachwyca, czy gnuśnem lenistwem, co drażni. Tuż za „Bramą Francyi“ miasto arabskie wznosi się połego uliczkami wąziutkiemi, ciasnemi, krętymi, ciemnymi, bo wijającemi się błędnem labiryntem między murami wysokimi i ślepyimi, lub o oknach zakratowanych: uliczkami, zapchanemi ciżbą arabską różnobarwną, wałęsającą się bez ceiu, po kawiarniach przykucniętą na rogózkach, usadowioną w kuczki przed klitkami balwierzów, podgałających wkrąg głowy śród zgiełku ulicznego,—drzemiącą po zaułkach dusznych, wyciągającą się po stopniach meczetów, gnuśnie błogą choć wciąż potrącaną, lub podnieconą wrzaskliwie po targowicach i bazarach, do których przekupnie greccy, egipcscy i żydowscy przemocą wciągają przechodniów wśród krzyków, nawoływań, obietnic i zachwalań. A pośród tej ciżby snują się milcząco, jak cienie, kobiety arabskie w szatach białych z zasłoną czarną na twarzy, lub okutane w grube opończe brunatne, tak ręką podtrzymywane przed twarzą, by nic nie było widać, prócz oczów uśmiechniętych, wyczierających ciekawie szparą wązką; dołem widać jeszcze stopy bosc w kłapciach i grube obrączki srebrne na pęcinach. Miasto arabskie rojne, zawile, krzykliwe, poplamione czerwienią „szeszyj“ (fezów), złocistością zawojów, żywemi barwami burnusów, „gandur ciemnych i tóg białych, fałdzystych, rażące bielą murów, górą oblane słońcem, a dołem w zaułkach wązkich ciemne, duszne,

oślizgłe, cuchnące; natłoczone, gwarne, a zaspane, mrowiące się ruchem nieustannym, a powolnym, w którym godność majestatyczna brata się z niedołęztwem niezdarnem, — miasto arabskie kręci się i kupi około pałacu *beya*, obszernego i ciężkiego (do tyła zeuropeizowanego, że wewnątrz „zdobi“ go tandeta europejska najlichsza), — a ponad miasto, z tłoku murów wybielonych, strzelają w górę smukłe minarety świątyni i z posad zwalistych śmigają w niebo śmiało lotnie: jeden zwłaszcza, dzieło bezimiennego budowniczego Hiszpana, wziętego ongi do niewoli przez piratów tunetańskich. I o tym Hiszpanie i jego towarzyszach jeńcach myśli się tu niejednokrotnie, patrząc na bramy kamienne, okucia żelazne i po podwórzach, na krużganki z podcieniami o łukach lekkich, wspartych kolumnach, misternie w marmurze rzeźbionych — nie przez Arabów chyba, skoro ci bielą je parę razy w roku, że aż rzeźby zniknęły pod warstwami wapna!

Między Europą a Afryką: między miasto francuskie czyste i przewiewne, tętniące życiem spokojnem i sprawnem, a to duszne mrowisko arabskie malowniczo niedołączne, wsunęły się Włochy, Dzielnica włoska, przytulona do „Bramy Francyi“, a raczej do miasta arabskiego, gdyż zagnieździła się u jego boku jeszcze przed przybyciem Francuzów, łagodzi przejście z Europy zachodniej, pracowitej i skrzętnej, do Afryki mahometańskiej, zaskrzepłej w zastoju malowniczem i błogości leniwej. Trzy razy liczniejsi od Francuzów (Crispi nazywał Tunetanię „kolonią włoską, strzeżoną przez żołnierzy francuskich“), ci przybysze z Włoch południowych, Sycylii i Malty, których krew przy stosunkach odwiecznych, acz wrogich, zmieszała się

wielokrotnie z krwią tubylców mahometańskich, są ącznikiem dwóch światów. Z ojczyzny dawnej przywieźli tutaj swe cechy znamienne: przestawanie na małym, brak potrzeb, obywanie się bez wygod i zbytku (a czystość jest im chyba zbytkiem największem!), skłonność do próżniactwa i gotowość imania się pracy każdej, gdy w domu braknie oliwy i ryżu. Ze wszystkich Europejczyków sposobem życia i pojęciami Arabom najbliżsi, gdyby byli pozostali tu z Arabami sam na sam, byłiby zapewne zbisurmanieli po paru pokoleniach, dodając coś ze swych wad do tak w nie bogatej mieszaniny tutejszej, gdyż przejmują łatwo nawyki arabskie, a wywierają wpływ cywilizacyjny mały.

Ale, jak ich sąsiedzi w zawojach, i osadnicy włoscy nie oprą się chyba już długo prądowi ożywcemu, wylewającemu się przez „Bramę Francji“ na Afrykę północno-zachodnią. Po raz pierwszy bowiem w swych dziejach Francja zastosowała w Tunetanii system kolonizacyjny, dający ludności miejscowej jaknajwięcej korzyści, a strzegący się wszystkiego, co niesprawiedliwe, krzywdzące, upokarzające, lub bodaj tylko dokuczliwe. Tak rządził ongi Rzym, władca nad władce, w poczuciu swej siły, i tą siłą krzepiącą i sprawiedliwą, a nigdy zazdrosną ani małostkową, nowych sił sobie przymnażał. Tak Wielka Brytania rządzi rzymskim wzorem. I Francja, jak gdyby poczuła się spadkobiercą Romy, wniosła do Tunetanii ład i życie, dała nowemu życiu ramy państwowe, ale w tych ramach pozostawiła mu swobodę wszelką. Jak Rzym, wprowadziła najpierw tętnice życia: drogi bite, utrzymane wzorowo, wysadzone drzewami; wzięła się równocześnie do budowy

wodociągów i kanalizacyi, nie tylko w Tunisie samym, ale w kraju całym, chwytając źródła i odgrzebując wodociągi rzymskie; dalej przystąpiła do zalesienia pagórków, kopania studzien, zakładania winnic i plantacyi drzew oliwnych; wreszcie — do budowy linii kolejowych. Ożywiła drogami, okrzepiła wodą i uzdrowiła porządkiem kraj wyniszczony i zaniedbany, a równocześnie uszanowała ludności miejscowej nie tylko język, religię, szkoły, sądownictwo, zwyczaje, ale i miłość własną, a nawet zabobony. Pod kontrolą francuską krajem rządzi *bey* przez swych kaidów i kalifów; sądy arabskie wymierzają Arabom sprawiedliwość arabską; arabskie szkoły uczą ich po arabsku ustępów z koranu i niczego więcej; nie tylko Islam ma wszystkie prawa tradycyjne, ale tak droga, jak ulica i linia kolejowa zboczyć musi, gdy stanie jej na zawadzie grób *marabuta*: coś w rodzaju świętego żebraczego, cudotwórcy i obłąkańca, których jest mnogość nie przebrana. Ale obok arabskich są sądy francuskie; obok szkół arabskich są wszędy, dostępne wszystkim, szkoły francuskie, w których język francuski jest równouprawniony z arabskim: całe życie codzienne Arabów, tak fizyczne, jak duchowe, podlega wyłącznie prawom, normom i zwyczajom dawnym, arabskim, z pod których wyłamać się mogą jedynie z własnej swej woli. Nawet na upartą oporność włoską znaleziono lekarstwo z tej samej apteki: nie zamknięto, broń Boże, ani w niczem nie ograniczono szkół prywatnych włoskich, jedno starano się odjąć im rację bytu, wprowadzając do francuskich szkół w Tunisie język włoski, jako obowiązujący. I ożywczy duch twórczy Francyi dzisiejszy wkracza już przez ową bramę symboliczną do zacofanej dziel-

nicy włoskiej i zwolna przenika i do miasta arabskiego.

Narazie dzielnica włoska nie wiele się różni od arabskiej; jest ludna, ciasna, brudna i biedna, z życiem rojnym, gwarnem, krzykliwym i — taniem. I ten ostatni jej przymiot sprawił, że ojciec Robin i „zielona małpa“, opuściwszy Katarginę, tutaj zamieszkali. Kamienica stała w zaułku ciasnym i tak wązkim, że z okna do okna można było podać sobie ręce na dzień dobry ponad ulicą, o ile nie stała temu na przeszkodzie bielizna, susząca się na sznurach. Do mieszkania ich szło się schodami krętymi, obrosłymi brudem odwiecznym, a dwie ich izdebki na czwartem piętrze miały posadzkę z cegły i mieściły po parę tylko sprzętów najniezbędniejszych. Mieszkanie ich, prócz taniości, miało jeszcze jedną zaletę: kamienica kończyła się dachem płaskim, z którego otwierał się widok na miasto arabskie i wiodącą do niego uliczkę, rojącą się postaciami w burnusach i zawojach.

Tutaj też dwaj przyjaciele przesiadywali najchętniej, spędzając na dachu płaskim ranki i popołudnia, gdy słońce nie dopiekało dotkliwie. Tutaj, w słońcu porannem, siedzieli i dzisiaj z krótkimi fajczkami w zębach. Jean-Jacques wpatrywał się w ruch uliczny i z przejęciem szkicował mrowie arabskie, przewijające się dołem; ojciec Robin to puszczał z fajki dymy, to dziennik przeglądał, a po każdej z tych czynności powracał do tematu ulubionego: do przekonywania przyjaciela, iż powinien tutaj z nim osiąść na stałe, skoro jemu, Robinowi, oszczędności starczyły na otworzenie w Tunisie własnego zakładu malarsko-dekoracyjnego: jeśli

wezmą się do roboty siłami wspólnymi, mają powołanie zapewnione. „Długowłosey żółtodziób“ rozmyślał, szkicując dalej, i nie odpowiadał, a Robin nie nalegał też na odpowiedź, ufając, iż myśl ta zakorzeni się zwolna w umyśle przyjaciela. Wodząc oczyma po dzienniku. Robin nagle wykrzyknął:

— A to łajdaki chytre! Gotują biednemu Zwangowi *alibi* pośmiertne. Słuchaj tylko:

„WYJAZD UCZONEGO. Dystyngowany i sympatyczny badacz starożytności semickich, Dr. Zwang, opuścił, jak się dowiadujemy, Kartaginę, zakończywszy swe badania, które dały plon obfity. Młody uczoney wyjechał obecnie na południe, skąd ma zamiar zapuścić się dalej w głąb Afryki. W pogoni za odkryciami dalszemi badacz nie uląkł się niebezpieczeństw, towarzyszącej takiej wyprawie. Życzymy mu powodzenia i ufamy, że cenne zdobycze naukowe odplacą mu sownicie trudy i niebezpieczeństwa“.

— A to łajdaki przebiegłe! Że nie odplynał statkiem, dałoby się łatwo sprawdzić; więc wyprawili go na Saharę karawaną!

Jean-Jacques zerwał się, rzucił szkicownik i krędkę i zawołał:

— Nie, nie! Ja tutaj nie wytrzymam. Jestem panu bardzo wdzięczny za jego życzliwość, przyznaję, że widoków lepszych mieć nie będę nigdzie, ale nie mogę, nie mogę! Tu na każdym kroku czyha na mnie wspomnienie tego biednego Zwanga i mojej winy. A gdy na chwilę o tem zapomnę, zaraz budzi się to wspomnienie drugie. Nie jabym tu oszalał! Czy pan wiesz, iż na każdym rogu ulicy opada mnie trwoga, że z za węgła *ona* się wysunie, u *jego* ramienia czule uwieszona i spoglądająca mu w oczy z takim uśmiechem... Tego uśmiechu

nie zapomnę nigdy! Pan jej nie znasz, skoroś tego uśmiechu nie widział. Gdyby się do mnie uśmiechnęła raz jeden! Ale do niego... Gdy o tem pomyślę, krew mi do głowy, dreszcz mnie chwyta — nie, nie! nie wytrzymam tutaj!

— Ale wytrzymasz, wytrzymasz. Człowiek nie takie rzeczy przetrzyma, jak musi. Zresztą w twoim wieku... Przed tobą życie się dopiero otwiera; z poza łez, co wnet wyschną, życie się do ciebie zaśmieje, młode serce upomni się o swe prawa i nieraz jeszcze zabije żywiołowo, gwałtownie. Bo, nie mówię, gdyby cię to było spotkało później, żebyś już nie widział przed sobą nic, jeno pustkę i pustkę... Ale i wówczas! co tam? niech sobie przeciwności kruszą na człowieku zęby! Jeno weź się ze mną do roboty, a ostro: praca codzienna, taka od świtu do zmierzchu, to lekarstwo najlepsze. A i mnie taką będziesz pomocą. Za tydzień już możemy rozpocząć.

— Daruj ojczulku, daruj, ale ja doprawdy nie mogę. Może później, gdy się przemogę, gdy ten uśmiech jej... nie zapomnę, — nie zapomnę! Pan tego nie rozumiesz, nie czujesz, a to tak szarpie, tak targa, tak dławi, tak... Nie, gdybyś to kiedy był przeżył, nie mówiłbyś, że to przemódz można!

— Pewno, pewno... — mruknął podstarzały malarz i zatopił się w dziennik, w którym znalazł chyba nowiny wielce zajmujące, bo od jednego miejsca oczu nie odrywał.

Czytanie przerwał listonosz. Po jego odejściu „żółtodziób“ zawołał zdziwiony:

— Co? List polecony do mnie? I to z Lan-nion. z Bretanii? Ależ ja tam nikogo nie znam i nikt tam chyba nie słyszał o mnie. Przeczytajmy.

List opiewał:

„Zawiadamiam pana, że w Perros Guirec umarła pani Magdalena Le Goffic, siostra nieboszczki matki pańskiej. Okazuje się, że pan jesteś jej jedynym spadkobiercą. Spadek po zrealizowaniu wyniesie dziesięć do dwunastu tysięcy franków. Proszę o wiadomość, czy pan sam tu przyjedziesz, czy mnie przyślesz pełnomocnictwo. Vibert, notariusz“.

— To dziwne, — rzekł po namyśle „zółto-dziób“ — dowiedzieć się w ten sposób, że miało się jakąś ciotkę, o której istnieniu nic się nie wiedziało. Dziwniejsze, że ta ciotka rozstrzyga o mojej przyszłości. Niech pan daruje i nie ma mnie za niewdzięcznika, ale ja wyjechać muszę; odjadę najbliższym statkiem: odchodzi dziś wieczorem. Ja tu pozostać nie mogę. Patrząc co dzień na te wzgórza, tam za zatoką, zmarniałbym, zgrzytając zębami w ustawicznej z sobą szarpaninie. Zmarniał, lub oszalał. Wiesz pan, co zrobię? Jadę do Paryża, wynajmuję pracownię i, póki pieniędzy starczy, będę pracował, będę malował całymi dniami, będę pracował tak wściekle, tak zawzięcie, że dojdę, dojsć muszę do tego, by stworzyć takie dzieło, żeby przed niem wszyscy uchylili czoła, a nikt nie śmiał mi urągać zapewnieniem, że w mój talent łaskawie wierzy, nikt nie śmiał rzucić mi takiego zapewnienia, jak żebrakowi jałmużnę, na odczepne!

— Mój kochany — odparł Robin — rób co chcesz, i co uważasz, że dla twej przyszłości najlepsze. Ale pamiętaj o jednym: taka myśl, myśl by oślnić innych, nie starczy, by stworzyć dzieło praw-

dziwie wielkie. Musisz się w pierw przezwyciężyć i przemódz. Ból duszę użyźnia tylko wtedy, gdy się zapanuje nad bólem. Rób zresztą, co chcesz, odradzać ci nie będę.

— Sam pan rzekłeś, że praca od zmierzchu, to lekarstwo najlepsze; zaręczam ci, że leczyć się będę, jak się chyba dotąd żaden chory nie leczył! Ja już teraz wysiedzieć nie mogę w miejscu, tak myślę o tej pracowni, którą funduje mi nieboszczka ciotka. I siedzieć nie będę! Już na samą myśl, że dzisiaj wyjadę, lżej mi się zrobiło. Pan masz swoje zajęcia w swej pracowni przysłej. Na mnie czekają też zajęcia pilne. Pan rozporządziłeś swemi oszczędnościami, teraz ja rozporządzę swojemi skromnemi: zachowam sobie tyle, by dojechać do Paryża, gdzie czekają na mnie kapitały srogie, i by z ojczulkiem wypić na pożegnanie butelczynę uczciwą, a za resztę zakupię dziwów afrykańskich i fatałaszków arabskich gwoli ozdobieniu swej pracowni. Spotkamy się na *avenue de France* na „aperytywie“!

I na tem stanęło. Gdy wyszli z domu, Jean-Jacques zobaczył usadowionego na progu małego Kabila, którego odjechał w Kartaginie bez pożegnania. Miał tyle przytomności umysłu, że nieuraził go zdziwieniem, że „swego pana“ odnalazł. Jak gdyby to było rzeczą, rozumiejącą sama przez się, że on tu czekać był powinien, rzekł do niego:

— Dobrze, żeś się nie spóźnił. Potrzebnyś mi natychmiast. Muszę zaraz nakupić rozmaitych rzeczy: ty mnie poprowadzisz i za mnie będziesz się targował; zapłacę tylko tyle, ile ty postanowisz.

I wyliczać mu począł cały szereg przedmiotów: ubiory berberyjskie i arabskie, tak męskie, jak i ko-

biece, broń, makaty, tkaniny, hafty, kobierzec z Kai-ruanu, wyroby gliniane z Nabeul, ozdoby srebrne i t. d. Kabil słuchał w skupieniu ducha, poczem rzekł tylko:

— Chodź za mną.

Rozstawszy się z ojcem Robinem, kudłaty dziwoląg, błyskający pierścieniami na nogach, kroczyć począł dumnie wązką uliczką miasta arabskiego w ślad swego kabilskiego giermka. Oczywiście ze wsząd opadli go przekupnie, szarpiąc za rękawy i ciągnąc do swych kramów. On jednak, nic nie odpowiadając, wskazywał tylko na swego „pełnomocnika“, który rósł w coraz większą dumę, kłócił się z przekupniami po arabsku głośno i długo i tak, otoczeni zgrają krzykliwą, przeszli całą ulicę i dotarli do arabskich „sukiennic“, zwanych tutaj „sukami“: wielkiej budowli o licznych, oszklonych górą, galerjach, po których obudwu stronach znajdowały się sklepy. Kabil wstępował tu i owdzie, skutkiem czego rosła ustawicznie ich eskorta, gdyż Kabil zaglądał wszędzie, a nic nie kupował. Czasem tylko zwracał się do swego pana: „daj mi pięć franków“ albo „daj mi ośm franków“ i biegł z nimi nie do sklepu, ale do grup Arabów, krzyczących coś w środku galeryi, pośród których inny Arab wyzbywał się w drodze dobrowolnego przetargu publicznego, swej przyodziewy, lub „kosztowności“. Za zbliżeniem się Kabila wzrastał wrzask, zakłęcia i bicia się w piersi: Jean-Jacques stał tymczasem pośród przekupniów krzykliwych, ciągnących go gwałtem do kramów, gdzie „nie potrzebuje nic kupować: przyjrzeć się tylko, napić się, jeśli łaska, czarnej kawy i przekonać się, że wszystko jest za

bezcen“. Ale on kiwał tylko w bok głową kudłatą, i milczkiem wskazywał na swego „pełnomocnika“. Ten ze sporym już węzłkiem rozmaitej przyodziewy zatrzymał się wreszcie przed pewnym sklepem, z którego wygłosił do eskorty arabską przemowę z tym skutkiem, że przekupnie poczęli rozchodzić się zwolna, wyklinając i odgrażając się „pełnomocnikowi“. Kabil rzekł:

— Idź i wybieraj; — i usiadł na progu.

Ta ciżba arabska, ci krzykliwi kupcy greccy, egipcscy i żydowscy, te kłótnie, te wrzaski, nawoływania, targi, ta zgraja różnobarwna i rzeczywiście ładne rzeczy, które widział po sklepach, oraz mina poważna pana pełnomocnika, dumnego ze swej roli, wszystko to rozpędziło smutne myśli i młody „żółtodziób“ bawił się, jak dzieciak. I teraz w sklepie wynalazł sobie zabawkę nową, która wprawiła go w humor dobry: oglądając bowiem kobierce, klejnoty, tkaniny i t. d., dziwował się w głos, że wszystko jest takie tanie i żądał, by mu pokazano rzeczy lepsze i droższe. Kupiec uśmiechał się i zacierał ręce, zapewniał, że on to tylko pokazał, tak sobie, ale dla takiego pana ma rzeczy bez porównania cenniejsze, a „żółtodziób“, pytając wciąż, czy nie ma droższych, wybierał, co mu się podobało, i odkładał na kupkę osobną. W tych warunkach ceny rosły oczywiście do wyżyn wręcz fantastycznych, czem młodzieniec nie niepokoił się zupełnie. Gdy wreszcie wybrał już wszystko, czego mu było potrzeba, spytał o cenę ogólną, i gdy posłyszał, że „tylko cztery tysiące ośmset sześćdziesiąt trzy franki“, ale to tylko dla takiego znawcy i takiego miłego klienta, gdyż to warte w dwójnasób — odrzekł, że to wcale nie-

drogo i, śmiejąc się sam ze swego konceptu, dodał, wołając Kabila:

— A teraz ty powiedz, ile ja za to wszystko mam zapłacić. To mój minister skarbu — objaśnił — i bez jego zgody nie zapłacę ani franka.

Wyszedł, zapalił fajkę i przez drzwi przyglądał się scenie, która się wewnątrz sklepu rozgrywała. Kabil oglądać począł rzeczy wybrane bardzo uważnie, i mrucząc coś pod nosem, rozkładać je na kupki. Kupiec, poważny żyd w stroju arabskim, przyglądał mu się z uśmiechem lekceważącym. Nie mówili do siebie nic. Skończywszy swój szacunek, Kabil wyszedł do swego pana i na zapytanie, ile to warte razem, odparł:

— Ja tak razem nie wiem; chodź, to ci powiem.

A gdy weszli, rzekł, wskazując palcem:

— Za tę kupkę dasz dwadzieścia franków; za tę pięćdziesiąt; za tę nic, bo to lichota, znajdę gdzieś indziej lepsze; za tę — trzydzieści pięć i t. d.

Jean-Jacques zapisywał sobie ceny, zsumował je i odezwał się do kupca:

— Więc wszystko razem kosztuje czterysta pięćdziesiąt dwa franki? To rzeczywiście za bezcen! Ale skoro mój minister skarbu tak orzekł, więcej nie dam.

— Co? — krzyknął kupiec, — to jest żart! cztery tysiące ośmset; mogę zresztą te sześćdziesiąt trzy opuścić, ale ani grosza więcej! Niech pan się przypatrzy...

Kupiec rozpuścił śluzę swej wymowy, przeplatając prośby zaklęciami i przysięgami, ale „zółtodziób“ nie słuchał go i wyszedł ze sklepu z Kabilem, który mu szepnął:

— Idź teraz i chodź sobie, aż wypalisz trzy fajki. Ja tu zostanę, by słuchać, jak on krzyczy. On będzie krzyczał długo. A musi być ktoś, co słucha, bo do kogoby krzyczał? A, nie wykrzyczawszy się, jak ma opuścić?

Przekonany wywodem tak logicznym, Jean-Jacques poszedł się przechadzać po mieście arabskim, a gdy odchodził, dolatywały go wrzaski, w których teraz i „pełnomocnik“ brał udział czynny. Był pewny, że się pobiją, bo kupiec nietylko wrzeszczał i odgrązał się, ale i z pięściami przyskakiwał do Kabila. Zdziwił się też bardzo, gdy powróciwszy za jakie pół godziny, ujrzał ich obu uśmiechniętych i rozmawiających w zgodzie zupełnej. Kabil rzekł mu:

— Dodasz mu jeszcze pięćdziesiąt franków, bo to mój przyjaciel.

I tak z całym stosem ozdób przysłej pracowni paryskiej powrócili do domu.

Gdy wieczorem po sutym obiedzie (po półczwarta franka, nie licząc burgunda!) ojciec Robin siedział z młodym przyjacielem przy kawie czarnej na terasie kawiarni przy *avenue de France*, pomimo burgunda, rozmowa nie kleiła się jakoś. Rozmowa się nie kleiła, gdyż obaj mieli to samo na myśli i oba unikali poruszenia tematu, który ich zajmował. Mówili o rzeczach potocznych i już za chwilę nie wiedzieli, o czym mówić. I choć czuli, że mają sobie do powiedzenia wiele, i że tracić nie powinni czasu, który szybko zbliża ich do chwili rozstania, rozmowa urywała się wciąż i wciąż coraz dłuższe zapadało milczeniu. Mówili o pracowni dekoratorskiej Robina w Tunisie i o pracowni malarskiej Jean-Jacques'a w Paryżu, umawiali się, że będą do siebie pisywali,

i że „żółtodziób“ zaraz przyśle przyjacielowi swój adres. Niebawem, wyczerpawszy wszystkie podobne tematy obojętne, zamilkli na dobre. Wyjazd „żółtodzioba“ był już postanowiony i bilet kupiony, więc pocóż było mówić o tem, jakby to dobrze było być na swoim chlebie i w pracowni własnej dorabiać się spolem? Te zaś myśli, które im obudwu zaprzętały głowę, a o które żaden nie chciał potrzącać słowami, starczyły na to tylko, by tłumić inne, takie, o których rozmawialiby chętnie. Zaczęli więc przeglądać pisma ilustrowane. Ale i to nie na wiele się zdało, gdy przypadek wmieszał się w tok wypadków. Ojciec Robin zaczął coś czytać, zasępił się, zmarszczył czoło, zadumał i po namyśle podał pismo przyjacielowi ze słowami:

— I pan to przeczytaj; to cię zajmie.

Jean-Jacques czytał:

Zapomnij, droga, zapomnij!
Miłości piękny aniele,
Zapomnij! Dołem się ściele
Świat ze swą troską i łzami:
Zapomnij, droga, zapomnij,
Niedbaj — niech pelza pod... wami!

Zapomnij, droga, zapomnij!
Noc ciemna w czarnem twem oku,
W twojej twarzy bladość miesiąca
Lśni z włosów gąszczu i mroku:
Zapomnij, droga, zapomnij!

Leć w jutro, z jutrem się poraj!
Płyń w przyszłość, żądna, tęskniąca!
Zapomnij, że moje wczoraj!
Leć w jutro za sercem, śmiało,
Nieć blaski, nie dbaj, czy gasną:

Gdzie serce, — dusza i ciało!
Promienna, w jutrznię leć jasną!

Zapomnij, droga, zapomnij,
Rozkoszy piękny aniele!
Po tobie lkają tam żale,
Tam w dole, gdzie ból się ściele:
Zapomnij, droga, zapomnij
O bólach świata i kale!
Niech męką mrowi się, krwawi:
Zapomnij, droga, zapomnij!
Wy w szczęście lećcie zuchwale
Nad świata grzeskie topiele!
Niech bólem dusi się, dławi:
Zapomnij, droga, zapomnij!
Wy w szczęściu żyjcie i szale:
Zapomnij, szczęścia aniele!

— Cóż to za cymbał to napisał? — zawołał Jean-Jacques, gniewnie odrzucając pismo. Takiemu dozorcą haremu być, a nie poetą.

— Nie mów o nim tak lekceważąco, nim nie przeczytasz podpisu. Bo to napisał Deloncle, Henryk Deloncle, uwieczony piewca „Wiosennych świtów“ i poeta wielki...

— Który na psy zeszedł! Teraz wierzę, że zeszedł na psy, jak opowiadali, ale czemu nie przestał pisać? Czyż on nie czuje tego? nie rozumie, że rezygnacya, — to jest wszystkiego koniec: grzęzawisko straszne, bezdenne, co wchłania w siebie każdy rozpęd natchniony, wszelką twórczość w siebie wchłania, spokojnie i niechybnie wchłania i pozostaje zawsze jednakowo płaskie, łakome, beznamiętne, cuchnące! On, co doznał w życiu takiego szczęścia, — z rąk je wypuścił, pozwolił wyrwać je sobie, a nie bronił pazurami do upadłego, on teraz śmie głośno

skomleć: „Zapomnij, droga, zapomnij“ i wykrztusić bluźnierstwo: „Wy w szczęściu żyjcie i szale!“ „Zapomnij“? — nie bój się, bratku, takiego dawno zapomniała! Grzech-by był, gdyby nie zapomniała! Bodajby on był zapomniał, a nie bluźnił wielkiemu wspomnieniu! Bo to podobno była miłość wielka i obopólna: i — „zapomnij“! Ja niczego nie doznałem, prócz jednego spojrzenia i jednego słowa jałmużny, a nie zapomnę nigdy! Zapomnieć ten uśmiech, którego on, poeta, zaznał, gdy się ku niemu anielil!

— Zapomnisz. W twym wieku! Co innego, gdyby... Bo, cokolwiek bają rozmaite poety, — pierwszą miłość przeboleć trudno, lecz zapomnieć łatwo. Później z tem gorzej. Ale, co tam... Niepotrzebnie znów się o tem zgadało. Myślałem, że cię wiersz Deloncla rozerwie: są w nim, bądź co bądź, myśli szlachetne, wyzbycie się egoizmu, niemal bohaterskie. Nie przerywaj pan. Co wiesz, co się działo w sercach i sumieniach? Kto sąd wyda, co sam nie przecierpiał? Nie chcę wszczynać sprzeczeki. Wszak to nasza rozmowa ostatnia i pozostanie nam obu wspomnieniem na lata długie, może na zawsze. O której odpływa statek? Co? już za godzinę? tak rychło? A tyle chciałem panu powiedzieć. Wiesz co? Chodźmy już stąd. Wolno pójdziemy sobie, gawędząc, ku przystani. Jaki śliczny wieczór! Zupełnie, jak wówczas w Kartaginie... Co to chciałem powiedzieć? No, już chodźmy.

— Poszli i doszli do przystani w milczeniu. Zastali tam małego Kabila z wszystkimi rzeczami „żółtodzioba“, usadowionego na nich z tem samym

spokojem niemym, z jakim siadywać zwykł był na progu. Mieli z nim kłopot, bo, gdy rzeczy przeniósł na statek, na statku znów na nich usiadł z postanowieniem widocznym, nie ruszania się, aż gdy statek znajdzie się po drugiej stronie „słonej wody“. I wszystkie przedstawienia nie pomagały: odejść „swojego pana“ nie chciał pod żadnym pozorem. Aż, gdy ten, zniecierpliwiony, zawołał:

— Co to? Czy ty mi rozkazujeś, czy ja tobie? masz służyć panu Robinowi wiernie, póki nie wrócę i ze służby cię nie zwolnię. Poczekaj tutaj i odprowadź go potem do domu.

Rozkazu mały Kabil usłuchał i snąć w jego głowie nie powstała nawet myśl, by mogło być inaczej, bo bez szemrania odszedł rzeczy „swego pana“ i za ojcem Robinem stanął potulny, lecz markotny. Zajście to wszakże z wyrostkiem upartym zabrało im sporo czasu i pokazało się, że teraz nadeszła pora na pożegnanie ostateczne. Uścisnęli sobie dłonie mocno i serdecznie i rozstali się, nie znalazłszy innego słowa, jak pospolite: „do widzenia“.

Śruba statku zawarczała i zaczęła wodę bełtać i kotłować ją poza sobą; statek powoli poruszył się i sunął zwolna po płaskim zwierciadle zatoki spokojnej; za chwilę, mimo niebo pogodne i gwiazdy wyiskrzzone, majaczył się już niewyraźnie w mroku nocnym u podnóża wzgórz kartagińskich, nagich, ciemnych i pustych.

Ojciec Robin stał ciągle u przystani z małym Kabilem u boku i ciągle powtarzał sobie w duchu: „A tyle chciałem mu powiedzieć! Szkoda mi chłopaka. I w tę pracownię własną ubrałem

się niepotrzebnie; ale kto mógł zgadnąć, że mi się tak znarowi i nie domyśli się, że ja to dla niego zrobiłem. Darmo, trzeba się będzie borykać samemu.

I ze swym Kabilem w odwodzie ojciec Robin puścił się ku domowi przygarbiony, z głową zwieszoną, jak gdyby lata przeżyte na tę chwilę były czekały, by mu zaciężyć brzemieniem.

XI.

Trzy miesiące minęło, odkąd dr. Zwang „wyjechał na południe w głąb Afryki“, a do Tunisu nie nadeszła żadna wieść ani o nim, ani od niego. Nie niepokoiło to nikogo: ojciec Robin nie oczekiwał jej już nigdy, a panowie Spinelli i de Vieilleville, zapewne skutkiem licznych swych zajęć, nie mieli czasu dziwić się długiemu milczeniu uczonego. Zagadkowego jego zniknięcia nie przypominał już także rzekomy „grobowiec Elissy“, gdyż w tem miejscu, gdzie się miał znajdować, wznosiły się obecnie mury nowej przybudówki hotelu, który niebawem w całej swej wspaniałości wieńczyć będzie jedno ze wzgórz katargińskich, nosząc szumną nazwę; *Grand Hôtel Hazdroubaal*. Zabieglivi administrator i wytworny architekt nie mówili nawet nigdy o zaginionem, jak gdyby byli zgoła zapomnieli jego nazwiska, i pierwszy raz wspomnieli o nim dzisiaj przy sposobności następującej:

Pan Spinelli przyjechał do Tunisu na naradę z architektem, którego biura znajdowały się przy jednej z najwytworniejszych przecznic z *avenue de France*. W swym gabinecie, pełnym sprzętów ozdobnych i drogich, bronzów, różnej złocistości i makat kosztownych, pan de Vieilleville powitał przyjaciela słowami:

— Prosiłem pana, byś przyjechał, gdyż dzisiaj dobijamy do przystani: chodzi już tylko o podpisanie

kontraktu, „mocą którego panowie Spinelli i Vieilleville nabywają od skarbu tunetańskiego tereny...“ i t. d. Przyjęli wszystkie warunki, jak je pan ułożyłeś. Nam nie wolno rozpocząć budowy, nie uiściwszy 30% ceny kupna (to znaczy, że płacić będziemy dopiero, gdy będziemy mogli budować), a rząd za te trzy gmachy, którą podjęliśmy się wystawić, płaci nam połowę należitości z góry. Dzisiaj popołudniu podpiszemy umowę. Wszak warto było trudzić pana prośbą o uprzejme przybycie?

— Panie hrabio, pozwól, bym ci złożył uniżone gratulacje!

— Daj pan spokój, do mego hrabiostwa jeszcze daleko.

— Nie panie hrabio; już pora wydobyć pergamin z szuflady i z wolna zaczynać się wprawiać w noszeniu tego tytułu. Skoro mamy ten kontrakt w kieszeni...

— Ale nie mamy jeszcze w kieszeni dwu milionów, niezbędnych, by z tego kontraktu zrobić podwaliny fortuny, zdolnej podźwignąć koronę z dziewięcioma pałkami. Gdyby tak w tej chwili mieć ten posag...

— Ależ posag będzie, nie ten, to inny. Niech pan będzie oto całkiem spokojny. Ja ufam, że to tylko mała zwłoka, która posagowi z pewnością nie zaszkodzi; może nawet przeciwnie...

— Czy miałeś pan jakie wiadomości?

— Ot tak, przypadkiem coś niecoś słyszałem. Pani baronowa bawi chwilowo... na świeżem powietrzu, powiedzieć można nawet na puszczy. To niechybnie dobrze wpłynie na jej zdrowie, które wydaje mi się wątłe. Wyobraź sobie pan, że wpadło

jej do głowy mieszkać na odludziu w namiocie i przypatrywać się, jak pan Mac Gregor puszczyć przemienia na ogród. Nie dziwię się jej wcale. To musi być niezmiernie zajmujące; tam dzieją się podobno cuda. Do niedawna widziałem tylko tyle, że codziennie idą tam transporty rzeczy najrozmaitszych: wiatraki amerykańskie, rury wodociągowe, płoty kolczaste, wszelkiego rodzaju przyrządy i narzędzia, sadzonki, nasiona.“; to znów na gwałt sprowadzają rzemieślników, ogrodników, robotników: ładny pieniąż tam się rozchodzi! Bliższych szczegółów trudno się było dowiedzieć, bo z ludzi, tam zatrudnionych, nikt jeszcze nie wracał, a z obcych nie puszczają nikogo. Nawet transporty zatrzymują się u granicy, wylądowują i wracają. Ale nie dawno wzięto tam mego rodaka (do sadzenia drzew oliwnych) i przez niego dowiedziałem się że pana Mac Gregora odwładnęła istna wściekłość (mówię to bez myśli ubliżenia panu Mac Gregorowi, dla którego mam poważanie najgłębsze!). Zatrudnia setki ludzi i robi wszystko równocześnie. Buduje gościńce, wysadza je palmami. kopie studnie, z których wiatraki amerykańskie czerpią ustawicznie wodę, rozprowadzaną na wsze strony kanałami; świeżo odnalazł w dawnych zwaliskach, obok świątyni, wodociąg rzymski i, uchwyciwszy wodę, prowadzi ją do miejsca, które obrał sobie na dom pośród ogrodu: a tak dom, jak ogród, już w pełnym toku. A wszystkiem on kieruje osobiście, sam rysuje plany i dogląda wykonania.

— A pani baronowa?

— Pani baronowa jest w czerstwym zdrowiu, przechadza się, jeździ konno, cieszy się postępami robót i podziwia energię pana Mac Gregora, Nie

dziwię się jej całkiem: energia pana Mac Gregora jest rzeczywiście godna podziwu.

— A jak pan sądzi: czy ta podziwu godna... idylla z przemianą puszczy na ogród trwać będzie długo?

-- Nie myślę. Powiedzmy, jakie pół roku. To są rzeczy niezmiernie zajmujące, jako wrażenie nowe, ale nieco monotonne i wnet zaczną nudzić kobietę, nawyklą do życia światowego i wzruszeń zmiennych. A i energia pana Mac Gregora, ta podziwu godna energia, niezadowolili się zapewne długo tak ograniczonym polem działania. Jego natura wymaga wciąż nowego pola i wciąż nowych trudności do zwalczania. To człowiek nadzwyczajny, ale...

— Wiesz pan co? Ja się obawiam, że on może się okazać bardziej nadzwyczajnym, niż pan przewidujesz, i niż to dla naszych planów, a zwłaszcza mych osobistych widoków, jest dogodnie i przyjemne.

— Do pewnego stopnia zapewne. Ale my, choć nam się oczywiście z panem Mac Gregorem ani mierzyć, też nie jesteśmy w ciemną bicia. Zwłaszcza, że jego inteligencja i energia z konieczności rozpraszać się musi w tylu kierunkach. Między nami mówiąc, zauważyłem na przykład, że od pewnego czasu mniej czujnie zajmuje się sprawami hotelu, mnie coraz więcej folgując cugli... Ale to oczywiście mówię w wielkim zaufaniu. Pan Mac Gregor ma zresztą zupełną słuszność, że pokłada we mnie coraz większe zaufanie...

— Panie, żeby się pan tylko nie przeliczył! Bo to człowiek rzeczywiście nadzwyczajny. Ja zdałem sobie z tego dopiero sprawę, kiedy dowiedziałem

się, jak te dobra kościelne wyrwał *Habusowi* z gardzieli ot tak, na poczekaniu, jak gdyby nigdy nic! Panie, kto tego dokazał, to człowiek, z którym strasznie trzeba się mieć na baczności.

— I będziemy się mieli na baczności. A przyjdzie nam to tem łatwiej, że jeno jego dobro mamy na oku, więc żaden zarzut spotkać nas nie może, choćbyśmy nawet zgrzeszyli... zbytkiem gorliwości. Ale wie pan co? Jabym wolał, aby nie doszło jego uszu, w jakich okolicznościach Dr. Zwang... wyjechał na południe. Ja zwróciłem się do właściwych władz z prośbą, by wszystkie szczegóły wyjaśniono. Pan mnie rozumiesz... Mam tu właśnie ze sobą wynik poszukiwań urzędowych. Czyby się nie dało jakoś wytłómaczyć temu niemądremu Robinowi (ten drugi świszczypała szczęśliwie z Afryki wywietrzał!), że się w swych przypuszczeniach mylił. Tutaj są fakty, stwierdzone urzędowo, fakty! A, prawdę mówiąc, Robin przydałby mi się teraz. Na razie poruczyłem zastępstwo Zwanga temu malarzowi z Monachium, którego on sobie sprowadził do pomocy. Ale on do roli kierownika robót nie dorósł. Robin jest wprawdzie zwykłym rzemieślnikiem, ale ofiarowałbym mu chętnie warunki bardzo nęcące. Możeby się pan z nim rozmówił, bo on ma do mnie jakieś uprzedzenie.

— Nic łatwiejszego. On ma pracownię tuż obok, mogę po niego posłać. Jeśli ma krztynę ro-zumu, to przyjmie z pocałowaniem ręki. On teraz założył pracownię na własną rękę, a dla przedsiębiorstwa początkującego jest to gratka nie lada. Cała rzecz, rozwiać jego obawy co do losu tego naiwnego uczonego.

— Ależ tu ma pan fakty, stwierdzone urzędowo!

— No tak... Chodzi więc o to, by okazały się na tyle... prawdopodobne, by zachwiać jego uporem. Niech mi pan te papiery zostawi, a sam przejdzie do drugiego pokoju, by pana Robin tu nie zastał. Wolę mówić z nim w cztery oczy.

Ledwie pan de Vieilleville miał czas przeczytać papiery, zawierające wyniki dochodzeń urzędowych w sprawie D-ra Zwanga, gdy służący oznajmił mu przybycie pana Robina. Architekt włożył owe papiery pod plany, leżące na biurku, i wyszedł na spotkanie dekoratora, ku któremu wyciągnął — o dziwo! — nie dwa palce, ale ręce obie.

— Przepraszam pana, — odezwał się z wyszukaną grzecznością — że pana do siebie trudziłem, zamiast zgłosić się sam do niego. Ale mam w tej chwili zajęcia tak pilne! a sądziłem, że pan ma więcej czasu, jako rozwijający dopiero swe przedsiębiorstwo, które pod jego umiejętnym kierunkiem rozkwitnie, nie wątpię, znakomicie. Pozwoli pan, że mu złożę szczerze życzenia. I przystąpmy odrazu do rzeczy. Jak pan wie, prowadzę rozmaite budowy. W zaufaniu, (ale to w wielkiem zaufaniu, bo rzecz jeszcze musi pozostać w tajemnicy) dodam, że zapewne wkrótce przystąpię do budowy większej: paru ulic. Otóż widząc pana przy pracy, nauczyłem się go cenić i chciałbym wejść z panem w stosunek stały. Pragnąłbym tedy dowiedzieć się, czy pan mógłby podjąć się robót na wielką skalę, powiedzmy za jakie pół roku, i jakie byłyby w przybliżeniu pańskie ceny przy układzie ryczałtowym. Nie chodzi o ofertę obowiązującą, lecz tylko o bliższe dane dla mej orientacji.

— Owszem, jeśli mnie pan uprzedzi na miesiąc przed rozpoczęciem robót, mogę podjąć się każdego

przedsiębiorstwa, wchodzącego w mą dziedzinę. Co do cen, przyszlę panu taki przybliżony ich wykaz jutro. Dziękuje panu za uprzejme życzenie: może się one choć w części zniszczą, gdyż przedsiębiorstwo moje idzie rzeczywiście nieźle. Czy mogę jeszcze czemś panu służyć?

— Interesu niemam już żadnego, Ale może pan zechce chwilę się zatrzymać. Cóż zresztą słychać? Miał pan wiadomości od swych przyjaciół? od d-ra Zwanga i tego drugiego, jak on się nazywa?

— Od d-ra Zwanga wiadomości nie oczekuję.

— Nieprawdaż? To dziwny człowiek. Żeby tak do nikogo nie napisać ani słowa! Nie mówię teraz, kiedy zapuścił się podobno daleko, ale póki bawił w Suzie, w Sfaxie, w Gabes...

— Jakto? Pan twierdzi, że Zwang żyje?

— Nie, panie. Ja nic nie twierdę. Nie mam najmniejszego pojęcia, co się z nim dzieje. Wspominałem jedynie o jego pobycie w tych miastach po wyjeździe z Kartaginy, gdyż o tem miałem wiadomości. Gdybym był przypuszczał, że pan o tem nie wie, byłbym mu posłał bliższe szczegóły natychmiast. Ale nie wątpilem, że pan miał je wprost od niego samego.

— Skąd pan miał te wiadomości?

— Drogą bardzo prostą. Wiedziałem, że władze zaniepokoiły się jego wyjazdem tajemniczym i zarządziły dochodzenia. Zatelefonowałem więc przed paroma dniami z zapytaniem, czy dochodzenia dały jakie wyniki. Przystano mi w odpowiedzi wyciąg z aktów urzędowych. Muszę mieć go tu gdzieś nawet. Niech pan poczeka, poszukam. Ot, leży tutaj, Niech pan przejrzy.

Robin pochwycił papier i czytał go z wielką uwagą. Skończywszy, oddał go architekcie ze słowami.

— Jeśli innych wiadomości o nim niema, to żałuję, że przez chwilę żywił nadzieję, iż wbrew wszystkiemu...

— Ależ, panie! Czegóż panu potrzeba więcej? Ma pan jedną miejscowość za drugą: w Sfaxie zeznali w policyi Admed ben Abdallah i Fredzi ben Mahmet, że rozmawiali z nim, gdy się wybierał do Gabes. Tam znowu układał się o wynajęcie karawany z...

— Dwoma innymi Arabami. Ja nie mam stosunków wpływowych, ani... wprawy, a jednak mógłbym, sądzę, dostarczyć panu takich samych dowodów opartych na zeznaniach Arabów, że pan bawi dzisiaj nie w Tunisie, rozmawiając ze mną, ale dzień cały, od świtu do zmierzchu, zwiedza amfiteatr w Eldżem, lub świątynię w Dugga. Czy pana to nie zabawiło, że Zwang rozmawiał wyłącznie z samymi Arabami, a nie widział go żaden Francuz, ani właściciel hotelu, ani pocztmistrz, ani urzędnik żaden, ani oficer, choć tam na południu przyjazd Europejczyka nie jest rzeczą tak powszednią, by mógł minąć niepostrzeżenie.

— Nie myślałem o tem. Skoro jednak są zgodne zeznania nie jednego Araba, ani dwu, ale coś ze dwunastu... Jakiż mieliby w tem interes, by opowiadać, że widzieli kogoś, gdyby nie byli go widzieli na prawdę?

— Może interes w tem mieli oni... Ja niczego nie twierdzę, bo niczego nie wiem, prócz tego jednego, że te wiadomości nie wystarczają mi, bym zmienił swe przekonanie o losie biednego Zwanga.

— Mówmy więc o czemś innym, bo nie podejmuję się pana przekonać; nie mam zresztą tego zamiaru. Ufam, że niedaleka przyszłość da mi słuszość, a pana zwolni z troski, którą rozumiem i szanuję. Ale prawda; byłbym zapomniał; jak się ma tyle rzeczy na głowie... Czy pan w tej chwili ma dużo zajęć? Powiem wprost, o co mi chodzi. Wchodzi tu w grę nie mój interes, ale moja miłość własna. Zajęcia d-ra Zwanga objął teraz jego dawny pomocnik. Otóż ja nie jestem zadowolony z nowego kierownika artystycznego. Wprost nic mię to nie obchodzi, ale, pan rozumie, skoro zrobiłem plany, pragnę, by mego dzieła nie zeszpecono przez niewłaściwą dekorację. Z panem byłbym pod tym względem zupełnie spokojny. Wiem, że to panu ofiarowano, i że pan tego nie przyjął, ale może zechciałbyś pan uczynić to dla mnie. Skoro mamy wejść w stosunek stały... Ja ze swej strony przyrzec panu mogę, iż biorę to na siebie, że pańskie warunki przyjęte będą bez targu, choćby były i nieco słone. Bo tu, rozumie pan, chodzi o moją miłość własną i reputację.

— Żałuję bardzo, ale stoi tu na zawadzie kilka przeszkód, nie pozwalających mi podjąć tej pracy. Wymienię tylko jedną: d-r Zwang nadał dekoracyi hotelu piętno zupełnie osobiste, które mnie nie przemawiało wprawdzie do przekonania, ale z którym trzeba się liczyć. Otóż ja nie zdołałbym prowadzić dalej, wbrew swemu przekonaniu, jego dzieła w jego stylu i w jego myśli. Moje kierownictwo wprowadziłoby tam niejednorodność i pstroka-ciznę, która zeszpeciłaby pańskie dzieło do reszty.

— Ależ my możemy usunąć wszystko, co d-r Zwang zrobił, i pan obejmie całą dekorację wedle własnego, jednolitego planu.

— Na to zgoda. Ale pod jednym warunkiem: że d-r Zwang oświadczy, iż nic nie ma przeciw temu. Skoro są wiadomości urzędowe, że żyje, nie trudno będzie, idąc za jego śladami, znieść się z nim w tej sprawie. A od tego warunku nie odstąpię.

— Zatem do widzenia. Nie wątpię, że stanie się zadość życzeniu pańskiemu, i że pan obejmie roboty. Pociągnie to zapewne za sobą pewną zwłokę, bo d-r Zwang może zabawić dłużej na swych poszukiwaniach, ale jak mówił mi niedawno pan administrator, obecnie pan Mac Gregor nie nastaje już na pośpiech z wykończaniem robót. Nie tracę więc nadziei, że pan będzie mógł oddać mi tę przysługę osobistą.

Po odejściu ojca Robina pan de Vieilleville wpuścił do gabinetu administratora Spinellego, i zdał mu sprawę ze swych zabiegów:

— Niestety, nie udało mi się przełamać jego oporu. Ale zrobiłem, co było można: mniemam, że dyabło zachwiałem jego przekonaniem o gwałtownej śmierci Zwanga. Przyjąłem mianowicie bez żadnych trudności, jako rzecz zupełnie wykonalną, jego żądanie, byśmy od d-ra Zwanga uzyskali zezwolenie usunięcia wszystkiego, co dotychczas wykonano. Ufam, że to go uspokoi przynajmniej na czas jakiś. Swoją drogą przyznam się panu, że mi już tęskno za tem, by co rychlej wyzbyć się tej ciągłej troski o oszczędzanie humorów „tyrana“, którego już mam dotąd! Gdybyśmy mieli środki, by rozpocząć budowę nowej dzielnicy, moglibyśmy żartować sobie z tego,

co mu się podoba, a co nie. I w tych warunkach, czekać aż baronowa zechce zmienić zdanie...

— A jednak trzeba trochę poczekać, panie hrabio. Parę miesięcy — ja rozumiem — minie szybko. Ja już wszystko rozważyłem. I gdybyśmy mieli czekać zbyt długo (czego nie przypuszczam), mam inne zamysły w obwodzie. Wspominałem panu, że pan Mac Gregor darzy mię coraz większem zaufaniem i coraz większą samodzielnością. To nakłada na mnie obowiązek wnikania w jego myśli, by tego zaufania nie zawieść. A mnie się zdaje, że on nie byłby od tego, żeby z tego przedsiębiorstwa hotelowego wycofać się zupełnie. On może jeszcze sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Tyle rzeczy ma na głowie! Na wypadek, gdyby nabrał tego przekonania, czemu nie będę przeciwdziałał, poczyniłem już pewne kroki. Bo mnie oczywiście przypadłoby zadanie wykonania jego myśli. Dla uspokojenia pana udzielię mu parę szczegółów. Niedawno zgłosił się do mnie pewien pośrednik (oni wszyscy do mnie się zgłaszają) w takiej sprawie: Bardzo poważny kupiec z Saloniki, lekko licząc, mający dziesięć milionów, niejaki pan Bernhard Izrael, pragnąłby zmienić miejsce pobytu, gdyż Salonika nie dogadza mu w tych czasach. Przeniósłby się chętnie tutaj, gdyby wiedział, że znajdzie tu interesy korzystne. Ja na to powiedziałem: niech on tylko tu przyjedzie i ze mną się rozmówi, a ja, Spinelli odpowiadam za to, że on będzie kontent i na stałe tu zamieszka. Ja mógłbym panu powiedzieć więcej, ale nie powiem. Uważaj pan tylko: kto w Salonice zrobił dziesięć czy piętnaście milionów, to zna się na interesach; a jak on się zna na interesach, to my się dogadamy.

— Jeśli on taki chytry, to będzie chciał nas wyzyskać i możemy zrobić zły interes.

— Zły interes? Co to jest zły interes? Ja panu powiem, co to jest zły interes. Zły interes, to jest taki interes, co go niema. Bo, jak on jest zły, to ja go nie zrobię, a jak ja go nie zrobię, jak on ma być zły?

Rozmowę przerwał służący, wchodząc do gabinetu ze srebrną tacą, na której leżała karta wizytowa. Pan de Vielleville przeczytał głośno: „*Hrabia Axel Oxenstierna*“ i zauważył:

— Nigdy takiego nazwiska nie słyszałem; czego ten pan może chcieć odemnie?

— Niema się czemu dziwić: hrabia ciągnie do hrabiego, jak w dym. Tylko niech go pan przyjmie po hrabiowsku. Czy ja mogę być przy tem?

— Niech pan zostanie. Prosić.

Do gabinetu wszedł młody jeszcze człowiek, ubrany zupełnie nie po „hrabiowsku“: w wełnianej koszuli, szarej kurtce i spodniach, nieco spracowanych i pomiętych, z których wystawały miejsca, wytłoczone wprzód kolanami; wysoki, bardzo chudy, trzymał się prosto z podniesioną wysoko głową, z twarzą bladą, ściągłą, czołem wysokim i płaskim i długą brodą, jasną, jak len. Powiódłszy wkoło jasnemi oczyma, których spojrzenie śliznęło się po wszystkim a nie zatrzymało na niczem, zapytał:

— Czy mam przyjemność mówić z panem de Vielleville?

— Jestem na pańskie rozkazy; hrabia pozwoli, że przedstawię mu swego przyjaciela, pana Spinello.

— Panie hrabio, — wtrącił administrator, — jest to dla mnie wielkim zaszczytem...

Przybysz spojrział na administratora, czy może na makatę, znajdującą się za jego plecyma; i patrzył tak chwilę w milczeniu, które ciążyło panu domu więc przerwał je słowami:

— Niech hrabia raczy usiąść i wyjawić, czem mogę mu służyć.

Hrabia Axel ocknął się i przemówił:

— Prawda. Im rychlej się tego pozbędę, tem lepiej. Nie cierpię tych drobiazgów: rozpraszają myśli nasze i odrywają je od celu, do którego są wszakże koniecznymi stopniami. A tymczasem natężenie myśli naszej słabnie, rozdrabniając się na szczegóły, których suma stanowi czyn, w myśli poczęty, a nieraz tymi zabiegami małostkowymi z swej linii wytycznej wypaczony. I tak często ta masa drobnych środków, wiodących nas do celu, spiętrza się w przeszkodę, co nas od celu dzieli.

Hrabia Axel zamilkł znowu i posłał widocznie swe spojrzenie w pościg za ową myślą zagrożoną, gdyż źrenice jego błękitnoblade stały nieruchomo, przed się utkwione. Z milczenia tego skorzystał pan Spinelli, by zauważyć:

— Jak ja pana hrabiego rozumiem! i jak pogląd jego górny podzielam! Jakże i ja pragnąłbym koncepcye swe wprost wcielać, że się tak wyrażę, ucieleśniać, a życie mi schodzi na wykonywaniu drobiazgów! Czynię to z poczucia obowiązku, by oszczędzać zachodu umysłom wyższym. — W duchu zaś dodał: Gdzie ja jego widziałem? Ta gęba zagapiona nie jest mi obca. Ale gdzie...?

Hrabia Axel przypatrzył się uważnie mówiącemu i zapytał:

— Przepraszam, jakie pańskie nazwisko, bo nie posłyszałem?

— Spinelli.

— Spinelli? Bodaj, że je słyszałem, Czy pan nie jest administratorem tego przedsiębiorstwa hotelowego w Katarginie?

— Do usług pana hrabiego.

— Tak jest. Słyszałem pańskie nazwisko od „ojców białych“, od których nabyłem kawałek ziemi nad urwiskiem. Z nimi poszło mi dość łatwo: spytałem o cenę, napisałem czek, a oni wzięli uprzejmie na siebie załatwienie całego mnóstwa drobnych formalności. Oni też dali mi pański adres, panie de Vieilleville. Przychodzę do niego właśnie w sprawie tego kawałka ziemi, a raczej tego urwiska. Stanowi ono granicę między posiadłością panów, a moją. Panowie zaczynacie, jak widziałem, podmurowywać urwisko od dołu. Otóż mem życzeniem jest, żeby ten mur wzmocnić i pociągnąć aż do samego szczytu.

— To naraziłoby na koszta znaczne, — przerwał architekt.

— Te oczywiście ja poniosę. Jest to konieczne, gdyż wybuduję coś na samej krawędzi urwiska i balkon wypuszczę wprzód w ten sposób, by wisiał nad przepaścią.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę hrabiego, że to połączone będzie z wielkimi trudnościami technicznymi.

— Nie rozpraszajmy myśli na szczegóły drobne, by nie wypuścić jej wątku. Tak będzie. Nad trudnościami technicznymi myśleć będzie architekt, któremu budowę powierzę. Narazie chodzi mi o mur

silny, podtrzymujący urwisko, a „ojcowie biali„ zapewnili mię, że pod tym względem liczyć mogę na uprzedzającą uprzejmość ze strony panów. Więc zgoda?

— Przepraszam bardzo, — odparł architekt, — że nie mogę tak wprost powiedzieć „zgoda“, nie zbadawszy i nie obliczywszy wszystkich szczegółów, z tym projektem związanych. Mogę powiedzieć tylko, a i pan administrator to twierdzi, że w zasadzie „zgoda“. o ile hrabiemu dogadzać będą wszystkie konkluzye, które z naszych obliczeń szczegółowych wypadną. Obliczenia będą gotowe jutro o tej porze.

— A ja jeszcze dodam, rzekł administrator, — że przy obliczeniach pamiętać będziemy o tem, żeby pan hrabia utwierdził się w opinii o nas, którą wyniósł z rozmowy z „ojcami białymi“.

— O tem nie wątpię. Ale czekać do jutra, i jutro znów wracać myślą do muru, cementu, cegły i kosztów wykonania... To dla mnie dzień już cały stracony. Darmo, gdy inaczej nie można: do celu iść trzeba stopień za stopniem i noga za nogą. Czy nie przeszkadzałbym panu, gdybym zgłosił się tu po te konkluzye jutro osobiście?

— Owszem, proszę. A czy wolno hrabiego zapytać, co myśli wybudować nad tem urwiskiem? Pytam dlatego, że mając już cały warsztat w pełnym ruchu w najbliższem sąsiedztwie, może mógłbym i tę budowę wykonać taniej od innych architektów.

— Co zamyślam budować? Tego jeszcze dokładnie nie wiem. Muszę dopiero myśl nad tem skupić. Bo to, co budować będę, nie jest samo w sobie celem, ale jednym ze szczebli, wiodących do celu. By ten szczebel wiódł do myśli, która

jest mym celem, muszę się dopiero od tej myśli oderwać i skupić około szczegółów przyziemnych. Stopień za stopniem i szczebel po szczeblu.

— Sądziłem, skoro hrabia wspomniał o balkonie...

— Tak, balkon będzie, zawieszony nad przepaścią. To już wiem, wiem również kilka innych rzeczy ubocznych, ale nie miałem jeszcze czasu zastanowić się nad samą budowlą, z której zwisać będzie ten balkon. Ja to wszystko obmyślę w najmniejszych szczegółach. Oczywiście nie konkretnie: wyłożę odnoszące się do tego okruczki myśli architekcie, a on musi wynaleźć dla nich materyalizację w formach realnych.

— Niech mi wolno będzie mieć nadzieję, że tym architektem będę ja.

— Celem zaś wyręczenia pana hrabiego w zajmowaniu się drobnymi szczegółami, ja znów polecam mu swe usługi. Skoro schodzi mi na nich życie, niech mam choć pociechę, że ma praca jest na usługach myśli podniosłej. (Gdzie ja widziałem tę gębę?)

— Bardzo-by mi to dogadzało. W tej chwili nic jeszcze postanowić nie mogę. Nie wiem zresztą, czy panom odpowiadałoby zajmowanie się moimi sprawami. Musielibyśmy się rozumieć, w myśli swe wzajem nie wnikając. Ja miewam nieraz rozmaite wymagania, które wydawają się dziwactwami ludziom, niewtajemniczonym w pobudki, nakazujące mi tak właśnie postępować, a nie inaczej. A z pobudek swych nikomu się nie spowiadam, ani staram się odgadnąć cudze. Przed każdym stoi otwore modrębny świat ducha, dla oczu obcych zamknięty.

— Panie hrabio! Wszak starczy wymienić panem hrabią słów kilka, by bodaj z tego zdać sobie sprawę,

że ma się do czynienia z umysłem wyższym, którego pobudki, acz nam nieznanne, są niezawodnie podniosłe.

— Muszę tę uprzejmą wyrozumiałość panów odrazu wystawić na próbę. Nim odpowiem im cośkolwiek, poproszę panów obudwu, by zechcieli mi dać swe karty wizytowe, napisawsze uprzednio na nich dokładną datę swych urodzin.

— Ależ, panie hrabio, jeśli pan hrabia życzy sobie zasięgnąć o nas bliższych wiadomości, to możemy mu wskazać...

— Nie, dziękuję. To niepotrzebne. Proszę jedynie o datę urodzenia, ale dokładną: rok, miesiąc, dzień, a jeśli to możliwe i godzina. To mi wystarczy. Sądzę, że omówiliśmy już wszystko. Do widzenia zatem jutro. Kłaniam się panom.

Idąc wolno do drzwi, hr. Axel Oxenstierna wpadł znów w zadumę i byłby może zablądził, gdyby architekt i pan Spinelli nie byli poskoczyli żywo, by go odprowadzić. Gdy wyszedł, spojrzeli po sobie, badając się wzajem oczyma. Pierwszy przemówił pan Spinelli.

— Wie pan co? Mnie ten człowiek tak się podoba, że z całego serca mu życzę, by był rzeczywiście grubym milionerem, jak to z jego wzięcia zdaje się wynikać. Niech pan myśli nad planem jakimś, któryby go pociągnął!

— Za dużo pan wymagasz. Mam myśleć nad tem, jaki budynek dobudować do balkonu, wiszącego nad przepaścią?

— Niech pan nie żartuje. Balkon, wiszący nad przepaścią... To już jest coś. Przyznaję, że jeszcze nie wystarcza, by narysować plan cały, ale to już

dostateczne, by pan wiedział, jak mam mówić o tym planie, gdy pana jutro odwiedzi. A jak tylko dogadacie się panowie ze sobą, co pomiędzy hrabiami nie powinno być trudno, ja wtedy, ufam, zawrę z panem umowę imieniem hr. Oxenstierny, któremu rzeczywiście oszczędzić należy trudu zajmowania się drobiazgami poziomymi. Ja panu szczerze mówię, że mam przekonanie, iż to jest umysł z polotem wysokim.

— Który teraz bada zapewne daty naszych urodzin, by się z nich dowiedzieć, czy ma wejść z nami w stosunki!

— Niech bada! Ale, czy pan napisał datę prawdziwą?

— Oczywiście.

— To szkoda. Ja nie wiem, czego on w tych datach będzie szukał, ale dla wszelkiej ostrożności, — a nużby też, kto jego wie, — napisałem inny rok, inny miesiąc, inny dzień i inną godzinę! Uczyniłem to przede wszystkim, dla wystawienia bystrości jego umysłu na próbę... zresztą nie miałem powodów żadnych, tembardziej, że mam dla niego i głęboki szacunek i sympatyę szczerą.

— Ja zaś uczucia te z panem dzielę, jak dzielić zwykliśmy ze sobą wszystko, po przyjacielsku.

— A niechaj pan hrabia będzie spokojny: moja w tem głowa, by dzielić się było czem.

XII.

*August Robin do pana Jean-Jacques'a, artysty malarza
w Paryżu.*

„Drogi złotodzióbie i kochana małpo zielona! Nie dziw się, że odzywam się do ciebie tak poufale, ale nabrałem takiego nawyknienia przez rok ten, który nas dzieli od twego wyjazdu. Bo chociaż cię tu niema, rzadko dzień mija, żebym cię nie wygderał i nie wyłajał, wymyślając ci srodze. Nie pisałem ci o tem, bo przy ciągłej robocie (a mam roboty dużo, a nikogo, kim by się w zaufaniu wyręczyć!) dzień za dniem schodzi i zawsze mam zamiar napisać długo i szeroko, ale — jutro. Aż dzisiaj, przy święcie, powiedziałem sobie, że nie ruszę się z domu, póki listu nie ukończę.

„Czemu właśnie dzisiaj? Bo, widzisz, wczoraj nasz poczciwy Zwang stanął mi przed oczyma tak żywo, że noc całą oka nie zmrużyłem i rychło świt siadam do pisania. A nie zaszło nic nowego. Urzędownie bawi wciąż „na południu w głębi Afryki“ i, niestety, bawić już tam będzie, dopokąd ktoś nie odkopie studni, nad którą Spinelli z Vieillevillem wybudowali *garage* dla samochodów. Nie to mi jednak Zwanga przypomniało: nie byłem w Kartaginie od roku; nie mogłem się jakoś przemódz, by powrócić do miejsc, które pozostawiły nam takie.

wspomnienia. Czasem myśl ludzka chadza drogami dziwnemi; rzecz bowiem tak się miała.

„Onegdaj wyjechałem z Tunisu, wezwany przez pewnego właściciela hotelu, który chce przerobić i ozdobić swą gospodę. Parę godzin w pociągu i byłem na miejscu. Okolica wesola, bo jest sporo zieleni, zwłaszcza ogródków z pomarańczami i cytrynami. Nowe miasteczko francuskie miłe i schludne, a nawet stare miasto arabskie nie bardzo brudne, bo wszędzie jest kanalizacja i woda. Opodal znajdują się zwaliska miasta dawnego, (sam gruz drobny), które zwało się Neapolis, co Arabowie przechrzcili na Napel, a Francuzi na Nabeul. Wyrabiają tu garnki i naczynia rozmaite z gliny, jak je tu ongi wyrabiali Fenicyanie, a po tem Rzymianie. Miasto takie, jak inne miasta arabskie: uliczki wąskie z murami rażąco białymi bez okien, bo całe życie skupia się na podwórzach wewnętrznych i dachach płaskich. Na jednym takim dachu wielbłąd wciąż kręci się w kieracie, poruszając żarna: jak oni go tam wyciągnęli na pobyt chyba dożywotni!

„W hotelu było gwarно, gdyż zjechało się kilku osadników naszych, osiadłych w okolicy na pustkowiu, które użyźniają zapamiętałe, — Francuzów, jakich nie spotykamy we Francyi: ochoczych, narowistych, awanturniczych, serdecznych, wykolejonych czasem, zawsze kipiących życia nadmiarem, a odurzonych nadmiarem pracy, która tak się doprasza rąk chętnych i tak opłaca sowicie, że wgryzają się w nią ci panicze-pionierzy-parobcy z zacięciem żwawem i hulaszczem. Równocześnie bawiła międzynarodowa wycieczka uczonych, zwiedzających zabytki tutejsze. Nie zbliżałem się do nich, bo mó-

wili ze soba rozmaitymi językami, których wyrozumieć nie sposób. Zwłaszcza paru Niemców szwargotało mową tak twardą, że gdy mi na myśl przyszedł biedny Zwang, żał mi się go zrobiło, ile że czasami dźwiękami podobnymi zarywał. W gronie ich był pewien profesor w średnim wieku, Niemiec wysoki, barczysty, wyprostowany, a tak butny, że samemu gospodarzowi, gdy go grzecznie zagadnął, odparł jeno szorstko: „nie żądałem od pana niczego“ i odwrócił się tyłem.

„Otóż dla onych uczonych urządzono wieczorem obchód zwany „Aisaua“. Czy wiesz, co to jest „Aisaua“? Jest to obrzęd religijny, ale bardzo dziwnego nabożeństwa. Aisaiuści tworzą osobną sektę fanatyków muzułmańskich, nie tylko wierzących, że, ufając w Allaha, „na lwa srogię bez obrazy wsiedziesz“, ale gotowi demonstrować to każdej chwili, czy w gronie wiernych, czy nawet wobec niewiernych, o ile ci złożą po parę franków „na światło“! I, podnieceni modłami i śpiewami, popadają w szał religijny, w którym dokazują rzeczy nadzwyczajnych: jedzą szkło, gwoździe, liście kaktusów, których jeden wielbłąd tylko się chwyta, skorpiony żywe; przebijają sobie policzki, miecz opierają o piersi, a kapłan bije pałąk w głównię, ile siły i t. p. A co najciekawsze, że szał religijny jest szczerzy, a cudy — oszukańcze! (szkło jest naśladowane i jeść je można bezkarnie, z kaktusów poobcinano z góry kolce, miecz wchodzi ostrym końcem w szyjkę metalową, by nie zranić). Taka zaś jest dziwna umysłowość tych ludzi, że o oszukaństwie wiedzą, a i w cud wierzą szczerze! Odbywa się to w taki sposób: Wierni (i goście) zbierają się we wnętrzu grobowca

jakiegoś świętego „marabuta“. W środku, w zagłębieniu, pod kopułą półkulistą, duchowni i muzykanci przykucają na rogózkach; naprzeciw w izbie prostokątnej, stoją wierni. Ściany wybielone, obwieszane chorągwiemi, u powały wiszą latarnie różnobarwne. Duchowni, ludzie rośli, wyniośli, w burnusach faldzistych, górujący nad tłumem postawą i powagą, rozpoczynają pieśń monotonna przy wtórze grajków, bijących w bębny pięściami, lub dobywających z nich rozbieganemi palcami warkot mrukliwy i przeciągły. Pieśń jest tak monotonna, jak gdyby ktoś ustawicznie, bez końca, powtarzał raz za razem: „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“ Wierni ustawiają się naprzeciw duchowieństwa rzędem, biorą się za ręce i zaczynają zrazu zcicha wtórować, w takt bębnów, pieśni „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“ kołysać się ruchem jednakowym w obie strony, to znów wprzód kiwać, potem, wciąż w takt nieustającego „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“ przebierać nogami, tańczyć w miejscu i wytupywać „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“; trwa to długo, wciąż jednostajnie huczy „*au-ua-ha!*“ i bęben jednostajnie warczy „*au-ua-ha!*“, tempo przyśpiesza się coraz bardziej; „*au-ua-ha!*“ staje się coraz gwałtowniejsze i krzykliwsze; głowy kiwają się rozhuśtane, nogi wydzwaniają miarowo po posadzce konwulsyjnymi drgawkami „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* *au-ua-ha!*“, oczy błędne świecą ogniem, lub kryją się pod powieki zapadłe; pot spływa obficie po twarzach zmęczonych, kurczowo wykrzywionych, a ciężkie, szybkie oddechy charczą *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*; bębny jednostajnie warczy, wciąż miarowem dudnieniem, podniecając to ustawiczne „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“,

które część roztańczonej i rozhuśtanej zgrai skomli już tylko dogasającym szeptem „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“, część ryczy wrzaskiem ochryplym „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“, aż duchowny-olbrzym zerwie się z rogówek, sam bęben pochwyci, ręką silną, rozkazującą, nowy żar wleje w to ciągłe „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“, co zdawało się dogorywać w wyczerpaniu, a znów huczy głośno i potężnie „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“ — duchowny okiem wkrąg zatacza, ręce z bębniem podnosi nad głowę i dobywa z niego grzmot jakiś groźny, drgający długotrwanie, dudniący nad głowami przejmująco i wraz pięścią z całej mocy uderza weń trzykrotnie i trzykrotnie z ust rozhuśtanego łańcucha ludzkiego dobywa się gdzieś ze dna piersi wyrwany, ryk-pieśni-modlitwa: „*Rrach!* — *rrach!* *rrach!*“, a równocześnie stopy, wprzód wyrzucone, wałą, co sił, w posadzkę — „*rrach!* — *rrach!* — *rrach!*“ — i znów „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“ brzmi dalej i dalej uparcie i zawrotnie, z zadyszanego łańcucha wyrrywają się ludzie z nieludzkimi już twarzami, zdzierają ze siebie odzież, rozkręcając zawoje, obnażają głowy podgolone, u których szczytu rosną kępami grubemi czuby włosów długich, rozpuszczonych i poczynają tak rzucać się i miotać, że czarnemi wiechami włosów własnych smagają się i biczą po całym ciele, podczas gdy łańcuch rozedrgany, rozhasany bez przerwy i opamiętania krzyczy, śpiewa, szepce, huczy, wyje, jęczy: „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“, aż nastanie chwila cudu, — cud nastął: z siedzenia swego pośród grona widzów uczonych, zerwał się jeden, ten właśnie Niemiec wyniosły, opryskliwy i butny, i porwany tą niemiłknącą pieśnią „*au-ua-ha!*“, którą

grobowiec cały bez przerwy rozbrzmiewa, przyskoczył do łańcucha tańczących, pochwycił sąsiadów za dłonie i wraz z nimi, jak oni tańczy, głową macha i, ile tchu w płucach, wrzeszczy: „*au-ua-ha!* — *au-ua-ha!* — *au-ua-ha!*“ Aż siłą trzeba go było odebrać i zaprowadzić do domu.

„I wtedy stanął mi jak żywy przed oczyma nasz Zwang poczciwy, tak pozornie rogaty i sztywny, a tak miękki i wrażliwy. I żal mi się zrobiło i jego i nas, żeśmy się tak długo na nim nie poznali, aż tak późno, za późno! Bo to widzisz, mój drogi złotodzióbie, świat nie jest znów tak zły bardzo, ale też i dobroć i poczciwość nie chadzają po nim piechotą tak gęsto, żeby się o nie potykać na każdym kroku; a tego biedaka, bodaj czyśmy zrazu nie kopali. Więc myślę sobie: nie ma już na to rady; Stało się, co się stało. Ale chociaż my dwaj, cośmy też krzywo na siebie patrzyli, — pamiętasz, jakżeś mi nieraz do oczu skakał? — a pokazało się, że krzywić się na siebie nie mamy powodu, przeciwnie, — żebyśmy chociaż my dwaj nie rozeszli się jak ludzie sobie obcy, by potem żalować, gdy jednego braknie. Juściż wiem, że każdy z nas iść musi swoją drogą i sam każdy sposobić sobie: ty swoją przyszłość, a ja wypoczynek. Skoro jednak tak ja, jak ty, dźierzymy cały swój dobytek w garści: w swych dziesięciu palcach, i nic nas do jednego miejsca nie wiąże, moglibyśmy chyba przy dobrej woli tak życiem pokierować, by nasze drogi zbliżały się, zamiast rozchodzić. Pomyśl nad tem, a donieś, co się z tobą dzieje, to i ja się zastanowię.

„Na mój rozum, ty raczej winienesz tu przyjechać. Ale to może sobkostwo tak każe mi myśleć,

gdyż mój zakład idzie tak dobrze, tak nad spodziewanie dobrze, że nie dziw się, iż nie chce mi się odejść warsztatu, co może na me kości spracowane czasem wydaje się za ciężki, ale żywi mnie dostatnio i pozwala patrzeć na nadchodzącą starość ze spokojem. A gdybyś ty chciał mi pomódz, byłoby mi tak dobrze! A może i tobie. Zastanów się. Bo piękne rzeczy tworzyć można nietylko na płótnie; a chciałbyś na płótnie, i na to czas-by się znalazł.

„O znajomych nie doniosę ci wiele. Spinelli wciąż jednakowo chytry, a Vieilleville wytworny; i wciąż coś razem knują, ale nie ma z tego jeszcze nic widocznego. Spotykam ich w ostatnich czasach dość często w towarzystwie tego jegomości z bladą brodą i oczyma blademi, o którym ci opowiadałem, że mnie nagabywał raz pytaniem, gdzie była świątynia Tanity; tego, którego raz w mej obecności nazwano „prorokiem“. Nigdy nie byłbym przewidywał, że ten człowiek znajdować może zadowolenie w takim towarzystwie. Na to nie wygląda.

„Pan Mac Gregor siedzi wciąż na swej puszczy i podobno dokazuje tam cudów, ale nic bliższego nie wiem o *nich*, to jest o ludziach, nie o cudach. Życzę *im* wszystkiego najlepszego. Jego nie znam bliżej, ale czuję w nim człowieka, którego cenić muszą ludzie, w miarę im lepiej dał im się poznać takim, jakim jest naprawdę. Bo i on należy do tych, co chętnie kryją się w twardą skorupę, jak ślimak, który pewnoby tego nie robił, gdyby sam był z kamienia. A ty, mój żółtodzióbku, czy wciąż jeszcze nosisz na sobie swą skorupę? Nie masz pojęcia, jak mnie złościłeś swemi pierścieniami, bire-

tami i grzywą kudłatą, moja ty małpo zielona i dziwolągu długowłosa!

„I na tem dziś zakończę. Nie, iżbym nie miał spraw, o których pragnąłbym rozgadać się z tobą szeroko. Ale z przyjacielem prawdziwym nikt się jeszcze nie dogadał listem. Bo i najlepszemu przyjacielowi patrzeć trzeba wprost w oczy, rozmawiając z nim szczerze z dna duszy, inaczej urazić go można, a czasem i samemu nie wyjść też bez szwanku.

„Ale ty pisz do mnie jaknajszerzej i najszczerczej, a chcesz patrzeć mi w oczy, to przypomnij sobie, jak przed wyjazdem z Kartaginy siedzieliśmy tam razem na pagórku nad urwiskiem i patrzyli na zmrok, zapadający na morze, na stoki szare i wzgórza tyse i posępne: moje oczy wciąż odtąd jednakowe.

„Twój Kabil mały jest wciąż u mnie „na służbie“, o ile nie uważa za właściwe pędzić gdzieś światami; wzdycha za tobą i żali się i sarka, że każesz mu czekać na siebie tak długo. Ale czeka i czekać będzie.

Jean-Jacques do pana Augusta Robina, właściciela zakładu dekoratorsko-malarskiego w Tunisie.

„Mój drogi ojczulku, gderliwy! Masz słuszość, twierdząc, że z przyjacielem dogadać się listownie nie sposób. Dlatego zwłóczyłem z odpowiedzią tak długo. Zaczynałem list parokrotnie i darłem — zły, że to nie to! A miałem też nadzieję, że będę ci mógł donieść coś o sobie pocieszającego: tak ciężko człowiekowi wyzbyć się złudzeń, gdy chodzi o osobę własną! Pytasz mię, ojczulku, czy wciąż jeszcze noszę swą „skorupę“ dziwaczną? Nie, nie noszę.

Wyglądam teraz, — anibyś mię poznał — raczej na urzędnika i jestem od malarstwa urzędnikiem pilnym, rozważnym, starannym, pracowitym, skromnym, zawziętym i — bezdusznym! Gdzie się podziało zawadyactwo buńczuczne i zuchwalstwo wyzywające? Nie poznałbyś mię, powiadam ci, ojczulku: ja, co wszystko robiłem, by się wyróżnić i oczom ludzkim narzucić, teraz lękliwie upodabnam się do życia szarego, by mię w nim nikt nie dostrzegł! I jeszcze boję się, że mnie ktoś zauważy i palcem na mnie wskaże.

„Pozornie nie mam powodu, by wstydzić się i ukrywać. Mam piękną pracownię, a w niej rozwieszona płótna, bardzo porządnie namalowane i cieszące się uznaniem. Pracowałem zażarcie i uczyniłem też postępy wielkie. Już to mieliście słuszną zupełną, nazywając mię małpą: mam iście małpią zręczność w pokonywaniu trudności technicznych i przyswajaniu sobie wszelkich, choćby najtrudniejszych, sztuczek malarskich. Potrafię malować, jak sławny X, i jeszcze sławniejszy Y, tylko, jak Jean-Jacques, — ani rusz! A ponieważ X i Y istnieją i malują sami, niema najmniejszej potrzeby, by istniał jeszcze pan taki, co ich małpować potrafi do złudzenia! Powiedziałem sobie to po tysiąc razy i tysiąc razy nie uwierzyłem sobie samemu: tak ciężko wyżyć się złudzenia!

„Ciężej jeszcze wyznać to przed przyjacielem, a że wyznaćby należało i inne rzeczy, więc zamiast listu otrzymałeś ode mnie, drogi ojczulku, co jakiś czas na kartkach zapowiedzi listu, który nie przychodził nigdy.

„Wzywasz mię do siebie, do Afryki, i by mię do przyjazdu skłonić, przypominasz dni, wspólne

w Kartaginie spędzone? Wierzaj mi, że i mnie śpieszno uściskać twą rękę tak przyjacielską i szczerą. Ale nie mogę tam jechać. Mnie nie zbliżyć się do Kartaginy, ale całą wolę i siły wszystkie wyteńczyć, by wspomnienie Kartaginy i tego wszystkiego z pamięci, i z duszy, i z serca wymazać i doszczętnie wytrzebić, bo nie coś innego, jeno one poraziły mię tą niemocą okropną! To dziwna, jak pewnych rzeczy zapomnieć nie można, choć człowieka i złością i brzydzą i upokorzenia mu noszą, nie radość i ulgę. A jednak, jak się uczepiły, tak wciąż w kleszczach trzymają, nie folgując. I aż dyabli człowieka biorą. Opowiem ci na przykład rzecz taką.

„Pracowałem tu nad sobą z wyteżeniem i zapalem. Pamiętasz, ojczulku, jakieś mi mówił, że praca codzienna od rana do zmierzchu jest lekarstwem najlepszem: nie pomogło! Dostyc, że pracowałem i sam, i starałem się z całą zaciekłością od innych wykorzystać wszystko, co się tylko dało. A jest tu pewien malarz, do którego mam nabożeństwo szczególne: technikę opanował tak, że gardzi jej sztuczkami i dochodzi do prostoty mistrzowskiej; nie on poluje na efekt kolorystyczny, ale barwy i plamy są na usługach jego wyobraźni natchnionej. Długo zabiegałem, żeby zbliżyć się do niego, gdyż samotnikiem jest dzikim i niedostępnym. Udało mi się w końcu doprowadzić do tego, że przyszedł do mnie do pracowni. Pokazałem mu wszystko. Oglądał z życzliwością niezmordowaną. A ilekroć dostrzegł coś lepszego, twarz rozjaśniała mu się radośnie. Ale rozjaśniała się rzadko, a nigdy zupełnie. I widziałem, że przykrość mu to sprawia, iż próżno szuka czegoś, czego się widocznie spodziewał. Nagle skoczył roz-

promieniony: „A to co? pokaż!“ Objaśniłem, że to szkic niezdamy, dorywczo namalowany w dzień jeden, kiedy jeszcze malować nie umiałem i bawiłem, jako malarz pokojowy w Kartaginie. „Spal wszystko zresztą, a to jedno zachowaj! Nie umiałeś malować? Byle kto się nauczy! Ale w tem jest to, czego nauką nie zdobędzie: to jest rzecz, co sama trysnęła z duszy, natchniona. Kto to namalował, ten jest artystą-twórcą. Niech cię uściskam!“ Wiesz, ojczulku, co wtedy zrobiłem? Rozbeczałem się jak bóbr! A on mię przygarnął i pocieszał: „Myślisz, że i ja nie rozpaczałem i nie beczałem, jak ty teraz? A i dziś jeszcze, gdyby mię wstyd nie było... Czy ty myślisz, że ja bodaj raz wymalowałem to, co pragnę? Co to gadać, to już takie nasze rzemiosło nieszczęsne. A ja ci mówię: nie płacz, ale ciesz się, skoro takie rzeczy masz w duszy!“ I odtąd zajął się mną, dawał mi rady, wskazówki, nie szczędził zachęty. I wszystko na nic. Jeśli prawda, że mam coś w duszy, to widać, że siadła na niej zmora i dusi, i nic już z niej nie wypuści. I ty chcesz, ojczulku, żebym tam jechał, gdzie ta zmora dopadła mię i do cna zgnębiła?

„Bo powiadam ci, że z tem, co to wiesz, nic nie jest lepiej, niż wtedy, gdyśmy razem z Kartaginy uciekli. Zwanga mi żal, ale go przebolełem. Zresztą nie przebolełem niczego. Mówiłeś mi, że przyszłość się do mnie uśmiecha, że lada dzień młodość upomni się o swe prawa i żywiołowo odezwie; moja młodość snąć praw nie ma żadnych, skoro milczy ponuro. Żeby bodaj milczała, ale ona zgryźliwie i zrzędnie strzeże, żeby przypadkiem nie uśmiechnęło się coś do mnie! Cóż powiesz, ojczulku, na to? Unikając

restauracyi, obiady jadałem u pewnej pani, która przyjmowała stołowników. Do stołu usługiwała jej córka: młodziutkie stworzonko, ładne i miłe, jasnowłose, szczerbottliwe, wesole i niemal jeszcze dziecięce. Lubilem z nią rozmawiać i nieraz pozostałem po obiedzie na gawędę. Kiedy tak raz siedzimy przy lampie: matka z jakąś robótką, a ja o czemś rozprawiam, spostrzegłem nagle, że dziewczynka utkwiała we mnie oczy z takim wyrazem... Urwałem w pół zdania, przypomniawszy sobie rzekomo, iż mam jakieś pilne zajęcie i uciekłem. Tegoby jeszcze brakowało! żebym niepokój, a może nieszczęście wniósł do domu, w którym okazywano mi życzliwość! A to takie jeszcze dziecko, miłe i serdeczne! Nie pokazywałem się przez cały tydzień, a potem, powróciwszy, zjadałem w milczeniu obiad i nie zatrzymywałem się na pogawędę. Aż kiedyś to biedacwo zastępuje mi drogę i ze łzami w bławatnych oczach pyta mię, czy mię czemś obraziła, że jej tak unikam. Uspokoilem ją, że nie zaszła w naszym stosunku zmiana żadna, i znów nie pokazywałem się dni kilka. I nie wiem, czy postąpiłem, mądrze czy głupio, ale tak mi dogryzała myśl sama, że to niewinne stworzenie mogło by się mną zająć, że postanowiłem ostrzedz ją jakoś, rzeczy nie nazywając po imieniu, i napisałem dla niej wierszyk — pierwszy mój wiersz w życiu, — który ci tu powtarzam. Dałem temu nagłówek: „Także bajka“.

Nie było to po swawoli,
Jeno czując, że zbyt boli,
Doskwiera, wali, jak młotem,
Wyrwał *je* sobie. A potem

Wziął w swe dłonie, całe drżące:
Nie zdzierzył — nazbyt gorące!
Na gorąc woda ochłoda:
Cisnął więc je w kubek z wodą.
Patrzy, woda się gotuje,
Wre, kłębi, kipi, paruje,
Ukropem nad kubek bucha:
Wyparowała do sucha!
W próżnym zaś kubku, gdzieś na dnie,
Jest znowu i drga szkaradnie!
Z lodem rzecz była ta sama:
I stają i wyschła plama
Przy pierwszym zaraz zetknięciu.
Ta chyba, śnać, w przedsięwzięciu,
Że w środku gorąc w niem siedzi,
Z wnętrza drgawkami je biedzi;
Z wierzchu to nie da się zetrzeć,
Na wskroś je trzeba przewietrzyć:
Nóż niechaj ulgę mu daje!
Więc nożem na krzyż je kraje,
Że się na oścież rozwarło:
Lecz jeszcze, śnać, nie zamarło,
Bo wciąż krwawemi bliznami
Zipie, jak ryba skrzelami!
Więc szewska wzięła go pasya,
Jął krzyczeń; „Skończę już raz ja
Z tem ścierwem. Nadto mi broi!
Chyba je to uspokoi!”
I z furją wściekłą, zażartą,
Bił gwoździe w ranę otwartą,
Na blizny krwawe, jątrzące,
Żelazo włożył żarzące,
Że doń posoką przywrzało.
...A ono wciąż dalej drgało!
Więc wsypał w nie dla wyćwiki
Pieprzu, piołunu, papryki,
I octem wraz na nie lunął,
Potem do środka w nie plunął.
W końcu rozdeptał obcasem!
...A ono drgało tymczasem!
.....

Zziajany usiadł, chciał sapać,
Lecz w płuca tchu nie mógł złapać,
Poczuł zaś w piersiach i głowie
Głuche, bezbrzeżne pustkowie:
Szum niemy drga, trwa, dźwięk tłumi:
Nad próżnią pustka tak szumi
Trwałym, bezgłosnym chichotem!

.....
Skalane wziął w pierś swą z powrotem.
A ono tak samo wciąż drgało,
Jeno, że bardziej bolało..

.....
Więc daruj, piękna ma pani,
Takiego nie chcę nieść w dani:
W serce pluj! gdy życie je splami,
Lub noś je nad obłokami!

„Jak wiersz ten przyjęła i zrozumiała ta miła i poczciwa dziewczyna, nie wiem. Nie pokazałem się tam odtąd i myślę nawet nad tem, czyby nie lepiej było nie iść tam już więcej. Sam jeszcze nie wiem, bo będzie mi przykro, omijać dom, w którym doznałem tyle życzliwości i rodzinnego niemal ciepła. Ale ty, ojczulku, ty zrozumiesz to dobrze: gdy w obłoki nie można wnieść serca na skrzydłach sztuki, nie pozostaje więc nic innego, jak w nie pluć! a zajęciu temu najlepiej chyba oddawać się w samotności. Więc drogi przyjacielu, nie licz obecnie na moje towarzystwo, choć za twojem tak szczerze mi tęskno.

*August Robin do pana Jean-Jacques'a, artysty-malarza
w Paryżu.*

Źłe, mój kochany! Mijają tygodnie, mijają miesiące za miesiącami, i z miesięcy składają się

już lata, a mnie żal lat, co upływają nie po myśli mojej, bo nie mam ich już tak wiele przed sobą. List też twój zmartwił mię i przygnębił tem więcej, że zniechęcenie było z niego tak beznadziejnie, że otrząsnąć się z niego niełatwo.

„A otrząsnąć się, bądź co bądź, trzeba. Dusię, mówisz, zmore? To ty zduś zmore, innej rady niema, chyba ta rezygnacya-trzęsawisko, o której pawiłeś mi z takim obrzydzeniem — pamiętasz? — posądzając o nią poetę Deloncla.

„Ale, jak widzę, i ty bawisz się teraz w poetę. Wierszyki napisałeś udatne, ale mylisz się, jeśli sądzisz, żeś ugasił nimi uczucie, rodzące się w tej dziewczynie młodziutkiej. Na mój rozum, uczyniłeś raczej bezwiednie wszystko, by z takiej iskiej tlejącej rozdmuchać ogień, co pali. Czy mniemasz, że dziewczę to, wyrzeknie się teraz rozkoszy leczenia tego biednego serca, które jej odmalowałeś w barwach tak ponurych? Ale przeciwnie, w to jej graj! I ty chciałeś ją odstraszyć? Takiego podlotka naiwnego i łaknącego uczuć, nie odstraszysz niczem, gdy chodzi o ukojenie serca, które wydaje mu się drogiem.

„Bo to widzisz, dla kobiety pocieszenie jest potrzebą, a poświęcenie się żywiołem, w którym im tak swojsko i błogo, jak w wodzie rybie. I dlatego tyle ich pada ofiarą samolubów, umiających grać na tej nucie, pozwalających dobrotliwie kochać się z zapamiętaniem i pocieszać nawet wtedy, gdy serca kobiety ranią, a sami, pyszni, jak pawie, swoje obnoszą wkrąg bez szwanku i — jeno sobie świszczą! I, żeby była sprawiedliwość, kobiety mają znów swój odwet, spotkawszy istoty, od siebie wrażliwsze: poetów

i artystów, nad którymi czują władzę, i wtedy każdym uśmiechem kupczą, żądając zań zapłaty krwią serdeczną, a te dzieciaki, te durnie natchnione, płacą i uśmiech przetapiają na poemat, obraz, posąg, symfonię, katedrę, i jeszcze do nóg ścielą się wdzięcznie, jakby dopraszając się poniewierki dalszej! I wtedy kobiety znów, piękne, pyszne, uśmiechnięte, wkrąg ochoczo krążą i — jeno sobie świszczą! A skoro przyroda tak to urządziła, więc widocznie to mądre, choć ciężary wałą się centnarami na tych, co łut czują, jak centnar, a oszczędzają sobków gruboskórnych. Ale przyroda snąc wiedziała, że ta wrażliwość, słabości źródło, jest zarazem źródłem sił, nieznanym gruboskórny, sił, co sprostają naporowi wszelkiemu; inaczej nie jest to wrażliwość artysty, ale zniewieściałość gagatka.

„Ocknij się, mój złotodzióbie, i otrząśnij, a zobaczysz, na jakie skarby przetopiło się twoje szamotanie i rozpacz. I nie trap się, że natchnienie cię odbiega. Ono cię odbiega, bo ty za niem gonisz. Nie tworzy arcydzieła, kto chce arcydzieło stworzyć! Zawieje duch, gdy zechce, jeśli w poddaniu słuchać go będziesz, wyczekując i powinność spełniając codzienną. Nie pręż natchnienia przemocą, jeno, nie myśląc o niem, pracuj, a ono przyjdzie przemożne i poddasz mu się wtedy kornie, bo musisz. I wtedy nie będziesz zależnym od obcych iskier, co błysną i zgasną, nie z ciebie, nie z twego serca rodem.

„I, jak mistrz twój, zostań raczej samotnikiem, a wyrwij się z środowiska pompatycznie artystycznego, w którym rozprawia się jeno o sztuce, kapłaństwie, natchnieniu, artyźmie, talencie, i ten talent mierzy się ciągle i waży, czy prawdziwy i szczery,

jak gdyby talent prawdziwy był kiedykolwiek siebie świadomym od młodości. Znam to, bo jak wiesz, i ja przed laty w tym świecie żyłem i wszystko przeżyłem, nim marzeń o sztuce wyrzekłem się dla chleba. Bo, jak bywa patryotyzm niedzielny: krzykliwy a jałowy, jeno od obchodów, pogróżek, zapowiedzi, wyzwisk i obietnic, czczy wewnątrz a nadęty, tak bywa i takiż artyzm niedzielny, szumny a niepłodny. Rzuć to, na nikogo się nie oglądaj, rób swoje, na iskry nie dmuchaj! Cała bieda, że mądrość taka nawiedza nas dopiero, gdy wszelkie iskry, i z zewnątrz i z wewnątrz, pogasną, i żadnej już nikt z nas nie wykrzesze!

„Więc dość już tego marudzenia, z którego pożytku nie będziesz miał żadnego. Ciekawys raczej, co się tutaj dzieje? Nie wiele. „Prorok“ z brodą bladą i oczyma blademi, osiadł tu na stałe. Zwie się hr. Oxenstierna, jest człowiekiem bardzo wykształconym i zamkniętym w sobie marzycielem — dziwakiem. Spinelli z Vieillevillem opętali go zupełnie i wnoszą dla niego w Kartaginie budowle dziwaczne, których celu nikt odgadnąć nie może; ale oczywiście dobrze się z tem dzieje administratorowi i architektce. Wogóle los zdaje się do nich uśmiechać. „Tyran“ po długiej nieobecności wpadł nagle do Kartaginy, obejrzał roboty, które coś od półtora roku szły bardzo ospale, i wszedł podobno w układy z jakimś milionerem (zwie się Bernard Izrael), który chce z *Grand Hôtel Hazdroubaâl* zrobić przedsiębiorstwo akcyjne. Pan Mac Gregor poruczył Spinellemu przeprowadzenie tego planu. Nie może mi pomieścić się w głowie, jak taki mądry człowiek może do tyła zaufać Maltańczykowi chytremu.

„W drodze powrotnej „tyran“ zatrzymał się przed moim zakładem, wpadł na chwilę i zażądał, bym się podjął dekoracji wewnętrznej domu, który stoi już w środku jego posiadłości, a byłej puszczy. Wymówiłem się, że sam osobiście robotami kierować nie mogę, gdyż nie pozwalają mi na to zajęcia rozliczne. (Jakoż rzeczywiście zakład tak się wciąż rozwija, że trudno mi podolać wszystkiemu; gdybym nie był sam jeden! pomyśl o tem żółtodziobie!). Przesłał mi tedy rozkład domu, — raczej pałacu — pracuję nad planami, a gdy je przyjmą, pošlę tam swych ludzi.

„Jest *im* tam podobno bardzo dobrze, a w Tunisie opowiadają o nadzwyczajnych dziwach, których „tyran“ w tej puszczy dokazał. I ja sam rzuciłem na to okiem, ale zdala. Miałem w tamtych stronach robotę, więc przejeżdżałem w pobliżu. Znasz krajobraz tunetański. Jechałem piaszczystą drogą arabską wśród falistego pustkowia, obrosłego krzewiną i zielskiem. Czasem jechało się łożyskiem rzeki (rzeki dziwnej: bez źródła i bez ujścia, w którym woda pojawia się tylko po deszczu ulewnym!), czasem droga zanurzała się między wysokie nasypy ziemi gliniastej, uwieńczone ścianami kaktusów kolczastych, za którymi kryły się ogrody arabskie z gęstwiną drzew pomarańczowych i cytrynowych, kupiących się wkoło studni. I znów pola, leżące odłogiem, i znów rzeka bez wody, i znów piasek i gdzie-niegdzie krzewy karłowate. Czasem przewinał się jakiś Arab na ośle, czasem parę wielbłądów, huśtających garbami. I tak jechałem godzin parę, brnąc w tym piasku przepalonym słońcem. Nagle z pagórka zobaczyłem bite gościńce, ujęte w żywe płoty

wśród rzędów palm, zielone winnice, srebrzyste laski oliwkowe, ogrody bujne, pola rodzajne: całe obszary ogromne, użyźnione, tętniące życiem, okolone wzgórzami, porośnięte zagajnikami cienistymi, skropione wodą, śmiejące się nad zatoką uroczą. Tak chyba wyglądał ten kraj, gdy był ogrodem i śpichlerzem Rzymu! Gdybym to był zobaczył tuż pod Tunisem, lub bodaj gdzieś przy linii kolejowej byłbym się dziwował, lecz nie byłbym tak zdumiał się, choć wiedziałem zgóry, że są to rzeczy zdumiewające. Moja droga wiodła mię w inną stronę; odwróciłem się od tego widoku i zanurzyłem w pustkowie martwe. Ale, oddalając się, powtarzałem sobie w duchu: niech będzie błogosławiony człowiek, co to zdziałał, błogosławiony, bądź co bądź!

„A teraz żegnam cię już, kochany eks-długowłosy żółtodzióbku buńczuczny, a teraz urzędniku od malarstwa bezduszny, co jest nieprawdą wierutną i prawdą nie będzie nigdy! Nie będę cię więcej nudził swojemi marzeniami natrętnemi; ale pamiętaj, iż, choć milczę, marzeń swych się nie wyrzekam. Tylu się już wyrzekłem.

VIII.

Po posadzkach lśniących, jak zwierciadła, wśród przepychu jaskrawego, oszołomiającego, krzyczącego na całe gardło: „patrzcie, jakim zbytkowny i bogaty!“, pan Spinelli uwijał się kroczkami drobnymi po salonach hotelowych, kapiących od złota, błyskających bronzami i marmurami, iskrzących się kryształami. Administrator biegał ustawicznie po schodach, przełatywał kurytarzami, przemykał się po sypialniach jadalniach, łazienkach, był równocześnie niemal i na strychu, i w piwnicach, doglądał wszystkiego, do każdego kąta zazierał i niestrudzenie wydawał rozkazy, wskazówki, napomnienia, i zlecenia ostatnie. Nie zapominał o niczem. Stwierdziwszy, że wszystko jest gotowe i wszystko na swoim miejscu (prócz pościeli i naczyń stołowych i kuchennych, które nadejść miały nazajutrz), że na wielkiej terasie, z widokiem na morze, poustawiano już nawet pulpity dla grajków, pan Spinelli zawołał pana Melcera, owego malarza z Monachium, który objął obowiązki dr. Zwanga, wciąż jeszcze „podróżującego po Afryce“ i zawołał:

— Panie Melcer, czy już gotowe wszystkie chorągwie i proporce? czy nie braknie barw żadnego państwa? Już tylko dwa dni dzieli nas od otwarcia hotelu, a ja żądam stanowczo, żeby w tym dniu uroczystym ze szczytów *Grand Hôtel Hazdroubaal*

powiewały sztandary wszystkich krajów i ludów i gościnnie witały przyjezdnych.

— Panie administratorze, wszystko już gotowe.

— Czy wszystko? Wy tak zawsze zapewniacie, a jak ja czegoś nie dojrzę osobiście... Wszystko? A czy pomyślał pan o barwach narodowych kartagińskich i rzymskich? Wszak to jest *Grand Hôtel Hazdroubaâl!*

— Pomyślałem, panie administratorze, ale bez skutku. Przejrzałem wszystkie dzieła, których dr. Zwang zapomniał zabrać ze sobą, ale w żadnym nie znalazłem wskazówki najmniejszej.

— I dlatego nic pan nie zrobiłeś! Oczywiście jak czegoś nie ma w książce, to już można ręce założyć wygodnie! Niech pan każe zrobić chorągwie rzymskie i kartagińskie natychmiast.

— Ależ panie administratorze, kiedy doprawdy...

— A szukałeś pan po książkach dobrze?

— Byłem nawet w tym celu umyślnie w bibliotece; nigdzie ani śladu wskazówki!

— Więc każ pan je zrobić natychmiast. Skoro pan nic nie znalazłeś, myślisz pan, że goście nasi będą po bibliotekach sprawdzali, czy nie zaszła w kolorach omyłka? Wybierz pan takie, żeby wpadały w oczy i dodaj godła, po których każdy poznać winien, że to są starożytne sztandary autentyczne. Czy pan architekt już powrócił?

— Jest już w biurze pana dyrektora Bernarda Izraela.

Pan Spinelli z miejsca zawrócił na pięcie i w oka mgnieniu zniknął za drzwiami, na których widniał napis: „Biuro dyrektora Towarzystwa akcyjnego *Grand Hôtel Hazdroubaâl*“. I tu jeszcze nie spoczął, nie

usiadł nawet, ale krążąc ręczo po pokoju, jak gdyby w pięty go świerzbiało, wymachując rękoma, zacierając dłonie, lub przebierając palcami, gdy wymieniał cyfry, zdawać począł spółnikom sprawozdanie gospodarcze i finansowe. Nikt mu nie przerywał. Obok stołu, nakrytego suknem zielonem, w jednym karle siedział pan de Vieilleville, wyciągnięty wygodnie i czyszczący sobie paznogie, z miną bardzo wytwornego arystokraty, znudzonego życiem; w karle drugim leżał człowiek ogromny, otyły, zwalisty, z małą główką, a wielkim nosem kłębkwatym i grubym, z grubemi, odwiniętymi wargami i z oczyma przymkniętymi. Sprawiał wrażenie nie już człowieka ospałego, lecz wręcz śpiącego twardo, który budzi się od czasu do czasu, by pociągnąć jeden dym z cygara grubego, by splunąć potem do spluwaczki stojącej na podorędziu. Na zapytanie odpowiadał, nie otwierając oczu, skinieniem głowy, lub kiwnięciem poprzecznem i to męczyło go chyba bardzo, bo sapał ciężko po każdym takim wysiłku. Pan Spinelli omawiał właśnie sprawę kupna trzech czwartych wszystkich akcji, które, jak stwierdzał z zadowoleniem niekłamanem, udało im się nabyć wprost za bezcen, gdy gruby kapitalista z Saloniki kiwnął poprzecznie głową. Pan Spinelli przyskoczył do niego i zakrzyknął:

— Co? Może za drogo?

Głowa Bernarda Izraela kiwała się znów poprzecznie.

— Jakto? przecie nie za tanio?

Głowa skinęła pinonowo.

— Za tanio! Czy kto słyszał? Za tanio panu dzisiaj, a przed tygodniem tak się pan targował,

jakby pana ze skóry kto obdzierał! Jak można kupić za tanio?

Dyrektor Izrael otworzył z wolna usta i wypuścił z nich słowa takie:

— Bom wczoraj zobaczył dopiero tego Mac Gregora. To człowiek mądry. A jak mądry sprzedaje za tanio, to kupuje głupi. Stało się.

I odsapnąwszy głęboko po takim zmęczeniu, pan Izrael popadł znów w odrętwienie senne.

— A co pan powie o tych, którzy od nas te akcje odkupią, płacąc w czwórnasób.

Pan Izrael nie powiedział nic. Pan de Vieilleville oglądał przez monokl paznogie, czy dobrze wypolerowane. Jeden pan Spinelli ciągnął dalej:

— No? kiedy my chcemy kupić i tę resztę akcji, co je sobie pan Mac Gregor zachował? Poco to jemu?

Głowa z przymkniętymi powiekami kiwała się przecząco.

— Jakto? pan nie chce? Jak ja, Spinelli, panu radzę, pan nie chce? Nie? To niech nam pan pożyczycy pieniędzy, a my kupimy we dwójkę. Porachujemy się przy budowie nowej dzielnicy. Zaczynamy ją na przyszły miesiąc.

Głowa kiwnęła przyzwalająco. Jak gdyby tylko na to czekał, pan de Vieilleville spojrział teraz na zegarek, wstał szybko i przemówił:

— Niestety, nie mogę już pozostać dłużej. Interes, interesem, ale ja nie mogę zaniedbywać swych obowiązków towarzyskich. Umówiliśmy się wczoraj z hr. Oxensterną i z baronową Rufos co do wspólnej wycieczki... Oczywiście, oni poczekają, póki ja nie przyjdę, ale obowiązek grzeczności, nawet wobec przyjaciół tak blizkich, nie pozwala mi zwlekać.

Po wyjściu architektki dyrektor Izrael otworzył najpierw oczy, potem usta i rzekł:

— Co to z baronową?

— Oni jego tam ciągną.

— Dużo ma?

— Gdzie tam. Ledwie trzy miliony.

— Moja córka jest jedynaczka, ma więcej.

Pan Spinelli milczał. Wreszcie wycedził.

— On jest bardzo solidny, ma wielkie stosunki, żyje z samymi hrabiami i sam jest hrabia.

— Mogę coś dodać. Ale czy on nie wyparł się wiary ojców, jak się wyparł nazwiska? I to jakiego nazwiska: Levi! Panu wszystko jedno, bo pan nie nasz.

— On się nie wyparł niczego: ani wiary, ani nazwiska. Że go tam trochę pokropili wodą? Co jemu to szkodzi? Tu nie zapisują tego nawet w żaden rejestr. Jemu potrzeba było, to się dał pokropić, a jak zechce, to w pięć minut może być z powrotem taki Berek Levi, jak przy urodzeniu. A co do nazwiska...

— Przecież on już nie Levi, tylko hrabia de Vieilleville? Ja nie mówię. Miał być „hrabia Levi“?

— A widzi pan, jaki on mądry! Bo on i hrabia i Levi. Ja to panu zaraz pokażę.

I, wzięwszy kawałek papieru, pan Spinelli nakreślił coś na niem i podał dyrektorowi ze słowami:

— A co pan powie teraz?

Dyrektor Izrael przeczytał: „Hrabia Armand de Vieilleville“, zastanowił się, kiwnął głową, uśmiechnął i spojrzał na Spinellogo żywo, jak gdyby badając, czy kpi, czy o drogę pyta — zdawało się nawet, że

rozbudzi się zupełnie, ale wnet przymknął oczy i po chwili z wielkim wysiłkiem rzekł:

— Co ja powiem? Że moja córka ma... osiem milionów.

— To ładny pieniądz. Nie mówię. Ale jego tam tak ciągną; a ona i ładna i baronowa. I panna Salomea Izrael jest ładna... dla amatora. Jabym się starał...

Pan Izrael wziął papier, napisał na nim jakąś cyfrę i mruknął:

— To będzie dla pana, a teraz się pan staraj.

— Ja mogę się starać. Czemu nie? Wiesz pan co? A gdyby pan tak od wszelkiego wypadku zaczął się podpisywać „d'Izrael“? Takie małe „d“ z przodu nic nie kosztuje, a wygląda dobrze i trąci lordem Beaconsfieldem! Jakby zaś przyszło co do czego, to hrabia de Vieilleville mógłby wystarać się panu w Rzymie o tytuł barona; i ożeniłby się z baronówną. On za swój tytuł dobrze zapłacił, to przy drugim dostałby pewnie opust znaczny. Może trzebaby było dać się trochę pokropić; od tego nikt nie umarł.

Dyrektor Izrael nic nie rzekł i popadł znów w letarg, z którego nie budził go już pan Spinelli, lecz pobiegł jeszcze raz obejrzeć hotel cały. Uporawszy się z tem, z ruchliwością gorączkową przebrał się i wyszedł w stronę gospody „ojców białych“.

Drobiąc kroczkami różnymi, pan Spinelli znalazł się niebawem w połowie wzgórza, u którego szczytu wznosił się *Grand Hôtel Saint Louis*. Tutaj przystanął i spojrzął wdół za siebie. Powiódł wzrokiem po pagórkach pustych, przekreślonych paroma liniami przyszłych ulic, i z lubością zatrzymał go na równince

płaskiej, karbem wcinającej się w górę, umajony zielenią, z pośród której wybijał się wysoko *Grand Hôtel Hazdroubaël*, ogromny, bielutki, nowiućki, jakby co dopiero z pudełka wyjęty, oparty o urwisko, nad którym wznosił się budynek jakiś ścianą ślepą, z jednym tylko otworem: drzwiami prowadzącymi na balkon, daleko wprzód wysunięty i zawieszony nad przepaścią. „To już w kieszeni — pomyślał — hotel nasz, bo ja i te 25% akcji od „tyrana“ dostanę. Bernard Izrael gada, że jak mądry za tanio sprzedaje, to kupuje głupi. On mnie będzie uczył! On wciąż z oczyma zamkniętymi swą chytryść przezuwa, a tego nie wymyślił, że mądry, co zamiast rozumu ma baronowę w głowie, nie taki znów straszny“. I w zadumie i skupieniu pan Spinelli począł błąkać się spojrzeniem po stokach szarych, opuszczonych i nagich, po zatoce gładkiej i spokojnej, a połyskującej wesoło tysiącem barw przytłumionych i z sobą zlanych w dziwo blade i lśniące, po górach zębatych, sterczących z wody poza zatoką, i wspierających o jasne tło nieba swe zręby zwaliste. I dumał dalej: „Osiem milionów niby więcej niż trzy. Ale czy więcej napewno? On tak te osiem milionów da, że ich nie wypuści. Jabym, co prawda poradził. Ale z tej jego Salomei będzie taka hrabina, co ona będzie musiała nosić dziewięć palek i z przodu, i z tyłu, inaczej nikt nie pozna. Co innego baronowa... Z niej byłaby hrabina de Vieilleville, że lepszej nie trzeba! Z początku będą trochę opowiadać, ale jak ona dom urządzi, zacznie przyjmować, uśmiechnie się, a konceptem ruszy, to to będzie pierwszy dom w całym Tunisie. W takim domu trzy miliony rósć będą, rósć będą... A ten Mac Gregor to niby nic? Co

takiemu Mac Gregorowi osiem milionów. Jak on się zgodzi, żeby ona została hrabiną, a czemu nie miałyby się zgodzić po dwóch latach gruchania? — to on jej też tak nie odejdzie bez wdzięczności i zastanowienia. A i potem; on przecież będzie dla nas szwagier; nawet więcej, bo spowinowacony nie przez jakąś tam siostrę, ale przez baronową samą. Ona też pewno ma już tego dosyć i nie będzie od tego, by się ustatkować. A jak nie? jak nie zechcą, to niech będzie od biedy i „hrabina Salomea“. Tak wyświecilszy zagadnienie zawile, czy osiem jest na prawdę więcej niż trzy, pan Spinelli podążył już wprost do hotelu „ojców białych“.

W *Grand Hôtel Saint Louis* ludno było, jak rzadko. Bawiło w nim na świeżem powietrzu i jakieś towarzystwo z Tunisu i turyści angielscy i francuscy, panowie i panie; stale mieszkał tam, czekając na wykończenie swych budowli, hr. Axel Oxenstierna, a właśnie nadjechał i pan Mac Gregor z panią Elissą. Ale snać hr. Oxenstierna i pani Elissa nie z wielką niecierpliwością czekali na pana de Vieilleville, gdyż administrator zastał go samotnego i pogrążonego w czytaniu dzienników. Pan Spinelli przysiadł się do architektki i zaraz szeptać jęli ze sobą tak żywo, że aż dziw, iż ludzie, widujący się ze sobą ustawicznie, mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Wśród tej rozmowy architekt zauważył, że jeden z gości hotelowych, jakiś młody anglik wygolony, ukazał się w smokingu,

— Dobrze, zem spostrzegł się na czas — zawołał, zrywając się z krzesła — muszę się szybko przebrać do obiadu. Skoro bawią tu Anglicy, to panie wystąpią w sukniach wieczorowych.

— To i pan hrabia powinienby wystąpić strojnie. Ale, jak to teraz zrobić?

— Bądź pan spokojny. Ja mam zawsze w samochodzie walizkę ze wszystkim, co potrzebne. W naszym świecie nie można nigdzie ruszyć się bez fraka i smokingu. Ale, co pan z sobą zrobi?

— Ja tu każę sobie podać obiad osobno. Byle pan hrabia tam był, to wystarczy.

Architekt wybiegł, a pan Spinelli usadowił się naprzeciw drzwi z dziennikiem, ponad który patrzył bystro na wszystko, co się działo wokoło. Goście zwolna zbierali się w czytelnicy, by tu czekać na dzwonek, wzywający do obiadu. Wszyscy mężczyźni byli w smokingach, a panie w sukniach wyciętych. Administrator kłaniał się przychodzącym bardzo uniżenie, ale pozostał nadal w odosobnieniu. Nawet hr. Oxenstierna, skinąwszy mu głową zdala, nie zbliżył się do niego, lecz przyłączył się do towarzystwa pań, z którymi zaczął rozmowę ożywioną. Pan Spinelli przypomniał sobie koszulę wełnianą, kurtkę szarą i spodnie spracowane, w których widział go poraz pierwszy i dziwował się tej postaci wytwornej w smokingu, poruszającej się z taką swobodą w gronie pań strojnych. W tym dziwaku wizjonerze zbudził się śnać światowiec, bo, skoro tylko się ukazał, stał się osią całego towarzystwa, które zabawiał widocznie rozmową, tryskającą dowcipem, jak o tem świadczyły twarze pań śmiejące się i rozbawione. I jego „gęba zagapiona“, jak się wyrażał pan Spinelli, zmieniła się do niepoznania: zachowała swą bladość i swój spokój, świeciła zdala czołem wyniosłym i białym i długą, jak len, brodą jasną, ale nie miała tego zapatrzenia się sztywnego i obawy

o wątek myśli, które nasuwały się jej dzisiaj — widać to było — obficie i niespodziewanie. Nie jeden pan Spinelli przyglądał mu się z takim zajęciem. Patrzyła nań równie uważnie pani Elissa, zatrzymawszy się chwilę u wejścia. Twarz jej blada, wązko otoczona włosami czarnymi, wynurzała się z tej przyłbicy bujnej i ogromnej, a ramiona białe wynurzały się znów z sukni czarnej, ciasno opiętej około jej kibici szczupłej. Z powiek przymrużonych zwisały rzęsy długie, zasłaniając źrenice, czerniące się w szczelinie wąskiej. Gdy postąpiła naprzód, by przywitać się ze znajomymi, hr. Oxenstierna cofnął się parę kroków, dopiero, gdy go jej przedstawiono, uklonił się głęboko i rzekł półgłosem:

— Nareszcie! Tutaj w Kartaginie czekam na panią dwa lata, nie licząc...

Dźwięk dzwonu, wzywającego na obiad, przyciszył dalsze słowa; całe towarzystwo ruszyło ku drzwiom parami, a podczas gdy hr. Oxenstierna prowadził panią Elisę, Spinelli, przypatrując się im, rozważał: Niema co mówić, to byłaby hrabina de Vieilleville, jakiej nam potrzeba; nawet tego dziwaka bladego w mig okiełznała, że jeno ku niej oczyma zawraca; a Oxenstierna, też nie byle kto! I w takich rozmyśleniach zatopiony administrator zabrał się do swej uczyty samotnej, żalując, że jego przyjaciel dał się uprzedzić w podania ręki pani Elissie i siedzi teraz na szarym końcu, a „chudy albinos“ panoszy się u boku pięknej niewiasty i błyszczy dowcipem, taki dziś ożywiony i pogodny. Zaglądając zaś do jadalni przez drzwi otwarte, pan Spinelli dziwował się blahej rozmowie biesiadników, dolatującej go szmerem nieustannym „języków, młócących słomę

z takim ferworem, jak gdyby oczekiwali po niej omlotu ze złota“; a jeszcze więcej dziwował się, że człowiek tak poważny, jak pan Mac Gregor, słucha tego „pustego brząkania“ z wielką uwagą. To utwierdziło go w przekonaniu, że i taka słoma dać może omlot złoty, byle ktoś umiał ją wyzyskać. „Taka kobieta to nie osiem milionów z chytrym Izraelem na ich straży, ale milionów w bród, cisnących się do nas zewsząd“!

Gdy obiad się skończył i towarzystwo opuściło jadalnię, hr. Oxenstierna, ciągnąc dalej rozmowę, zaczęta przy stole, mówił do pani Elissy:

— Nie, pani. O wykopaliskach ani myślę. Wykopaliska dać nam mogą prawdy okruchy, drobne do niej przyczynki. Po co szukać żmudnie pod ziemią tego, co unosi się w przestworzu i tętni tak żywo, że jeno słuch nadstawiać i czucie prężyć. Chcąc wnikać w myśli pokoleń wymarłych, trzeba iść na miejsce, gdzie pokolenia te myślały i marzyły, bo coś z tych myśli i uczuć wsiąkło w ziemię, kryjącą ich szczątki, i drga w przestworzu, z ziemi tej promieniując. Czy pani myśli, że trzebaby aż burzyć ten hotel Hazdroubaal i wkopywać się pod jego podwaliny, by odgadnąć, co tu ściągnęło tego biednego uczonego, który śmierć tam znalazł tragiczną? A ja pani powiadam, że ja, siedząc nocą na balkonie, zawisłym nad onem urwiskiem, czuję, jak rwą się ku mnie jego myśli wskroś przez ziemię i gruz, którym biednego Zwanga przysypali Berbowie.

— Przepraszam, co pan mówi o Zwangu? — przerwał pan Mac Gregor, który podszedł do rozmawiających i posłyszał ostatnie słowa.

— Co każdy wie, kto mieszka tu na miejscu. Nie pozwolono uczonemu na poszukiwanie dalsze, więc w noc księżycową podkopał się pod urwisko, odkrył grobowiec i spuścił się na dno. Niestety, strażę berberyjskie czuwały. Nazwijcie to, państwo, jak chcecie: zabobonem, tradycją, czy odczuciem myśli, co wciąż unoszą się nad tem cmentarzyskiem odwiecznym. Dość, że Berberowie zatkać musieli co tchu ten grób, by nie buchnęło z niego zrozumienie, zakopane tam przed trzydziestoma wiekami. Trud próżny: zrozumienie dobywa się skroś ziemi, tylko słuchać, a czuć!

Pani Elissie oczy otwarły się szeroko z wyrazem cierpienia i lęku.

— Chodźmy na terasę — rzekła — niech mi pan opowie to wszystko szczegółowo.

— Ja niebawem za państwem zdążę; muszę wpieryw rozmówić się ze Spinellim.

I pan Mac Gregor, rozejrzawszy się dokoła, spostrzegł w rogu czytelnicy administratora, skulonego za dziennikiem i podszedł do niego zaraz.

— Pan masz zapewne do mnie jakąś sprawę — zagadnął — skoro czekasz tu w kącie tak cierpliwie?

— Rzeczywiście, miałbym pewną propozycję, jeno nie śmiałem mu przeszkadzać.

— O co chodzi?

— Udało mi się znaleźć kapitalistów, którzy byliby skłonni nabyć tę resztę akcji hotelu, które pan dla siebie zachował i to na tych samych warunkach.

— Nie sprzedam.

— Ja rozumiałem, że pan o nie nie dba. Może nawet kapitałiści postąpiliby cośkolwiek w cenie.

— Nie sprzedam ludziom obcym. Inna rzecz, gdybyście panowie, pan z panem de Vieilleville, nabyć je chcieli dla siebie. Wam opuszczę nawet z ceny dziesięć od sta.

— Czyż nas stać na to?

— Toś pan przecie dokładnie obliczył, nim tu przyszedłeś. Porozumiej się zatem z panem de Vieilleville. Czekam na panów dziesięć minut u siebie: interes zrobicie albo natychmiast, albo nie zrobicie go zgoła.

W kwadrans potem, po załatwieniu formalności i wypełnieniu czeków, pan Mac Gregor rzekł do spółników:

— Więc obecnie wszystkie rachunki między nami wyrównane i skończone. Jesteście właścicielami hotelu. Sprzedałem go wam i chętnie, i tanio z dwu powodów. Najpierw, że tego pragniecie tak gorąco od lat dwu; a że pragnienie to stale się wzmagало, poznawałem to po waszych raportach i rachunkach. Pragnienie tak gorące i stale winno być zaspokojone. Powód drugi, że panowie sami jesteście twórcami hotelu: jeden robił plany i dozorował, drugi wykonywał robotę. Będziecie więc mieć hotel taki, jakiście sobie postawili. Ja, zajęty czemś innym, w to nie wglądałem. Nie jestem nawet pewien, czy fundamenty lewego skrzydła wsparliście na gruncie twardym. Ale to panowie wiecie lepiej odemnie, którego to już nic nie obchodzi. Zapytaliście zapewne o to dr. Zwanga, który zbadał je podobno do dna. Nie mówiliście potem z nim? Szkoda. Żegnam panów.

Po wyjściu administratora i architektki pan Mac Gregor uporządkował i zamknął papiery i zeszedł

do czytelnicy z zamiarem odszukania pani Elissy i hr. Oxenstierny. Tutaj jednak wpadł w wir rozbawionego towarzystwa, które go zatrzymało.

Tymczasem na górnej terasie, oświetlonej tylko blaskiem jasnym księżycy, pani Elissa kończyła opowiadać, na podstawie wynurzeń Jean-Jacques'a, w pół prawdziwe, w pół snąc na marzydlach urojonych wsparte dzieje zagadkowej królowny z Tyru, zblakłego tu uczonego niemieckiego i Berberów przyczajonych, święcących zaduszki tajemnicze w pełnię księżycową na szczycie łysym pagórka. Mówiła, jak ślepa wieszczka berberyjska otoczona kręgiem milczącym postaci przykucniętych, rzucała słowa tajemnicze o pełni, co „cuci i nęci“, miotała groźby i przekleństwa i nienawiść nieciła do „Umarłej“, wciąż groźnej, póki jej „dziesiątego miasta nie przywali gruz“; i jak potem wieszczka, jakby opętana natchnieniem, wybuchła hymnem ku czci bożyszczka jakiegoś zapomnianego, wreszcie „Umarłej Pieśnią“ zakończoną słowami:

„Nów się rodzi, miesiąc pełnią wzbiera; gdy wstecz spojrzysz, śmierci idzie czas. Nowiem wschodzi, co pełnią zamiera: miesiąc żyje jeden tylko raz“!

Hr. Oxenstierna słuchał opowieści, przytakując, aż zawołał:

— To nie wieszczka ślepa tę pieśń śpiewała! Ona jeno umiała wsłuchać się w niemy głos ciszy, która tutaj nocami śpiewa i zawodzi. Wieszczka poddała jeno ciszy swą duszę szczerze i wiernie, i użyczyła ciszy głosu swego, słów nawet nie rozumiejąc tej pieśni, a raczej tych pieśni, któremi cisza dyszała, — wciąż tutaj dyszy. Ja je znam, ja je też słyszałem, choć ich nie zdołałem ująć w wyrazy

mowy ludzkiej. Czyż pani nie spostrzega, że w słowach tej wieszczki zmagają się z sobą dwie wiary przeciwnie, a przebrzmiałe. W duszy wieszczki, w jej krwi, grają dziedzicznie od pokoleń i pokoleń wierzenia pierwotne, stłumione i w ziemię wdeptane przez tyle najazdów: wciąż w niej żyją. I tym tylko wierzeniom wieszczka dać ciała wyraz. Nie zdołała. Bo przybysze z Tyru zaszczepili tu wierzenia inne, wyższe, którym oprzeć się nie mogą nawet ci, co od wieków przeklinają te bogi obce i, czy chcą czy nie chcą, stojąc na tej ziemi, drzeć muszą przed pełnią, co „cuci i nęci“ i korzyć się przed bóstwem, co „nowiem wschodzi, a pełnią zamiera“.

— Jak widzę — przerwała pani Elissa — nie omyliłam się w sądzie, który sobie o panu wyrobiłam, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Pan nic o tem nie wie; pan mię nie dostrzegł, choć przeszedł mimo tuż obok. Było to dwa lata temu. Błąkałam się polami tam, po drugiej stronie góry, chroniąc się przed turystami, co w niedzielę nachodzą Kartaginę smętną i cichą, tę, którą tak kocham. Zbliżając się miedzą do drogi, zobaczyłam człowieka, idącego z gołą głową, z czołem podniesionem i oczyma blademi, zgubionemi przed sobą; szedł, jak lunatyk, co nie patrzy, a nie zmyli drogi. To był pan. I wie pan, com sobie powiedziała? „To jakiś wizjoner i prorok“. Wszak nie omyliłam się bardzo?

— A ja sądzę, że się pani omyliła zupełnie. Wizjoner? prorok? — ani jedno, ani drugie. Ja jestem człowiek zwykły, najzwyklejszy, co, chodząc po tej ziemi, stara się zdać sobie sprawę z tego, co go otacza, nietylko z tego, co namacalne a uboczne, ale i z tego, — i z tego przedewszystkiem —

co nieuchwytnie, a stanowi wszechrzeczy istotną treść i ośnowę. Lunatyk? lunatyk na jawie? — to już bliższe prawdy. Ale nie jako określenie rzeczywistości, jeno pragnienia, dotąd nieziszczalnego. Bo lunatyk, to człowiek, który przejdzie nad przepaścią najzawrotniejszą, ani potknie się, ani zboczy, i dojdzie do szczytów, innym niedostępnych. Czy pani myśli, że stan taki to przypadek? wyjątek chorobliwy i anormalny? Nie mówmy zresztą o tem. To są rzeczy, wiodące myśl takimi szlakami, jakimi kroczą stopy lunatyka. A teraz ja pani powiem, kiedy i jak, zobaczyłem panią po raz pierwszy.

— Prawda, pan zaraz przy poznaniu się powiedział mi, że pan czekał na mnie w Kartaginie dwa lata, nawet dawniej.

— Nawet dawniej. Wiele dawniej. Ale dawniej czekałem, nie wiedząc czego czekam. Dopiero od dwu lat. Było to nazajutrz po owym dniu, kiedy pani mię zauważyła. Obchodziłem cały obszar Kartaginy dawnej, by zdać sobie sprawę, gdzie stać mogła ongi świątynia Tanity. Kroki zawiodły mnie do tego urwiska, pod którym budowano hotel. Czuję, że dochodzę do kresu. W jednej myśli skupiłem umysł cały, czucie całe, i wolę całą, i poza swą myślą nie widziałem niczego. Aż przed oczyma i ciała i duszy stanęło mi objawienie żywe. Ona! Objawienie ukazało się i znikło. Rozpostarty za tą twarzą, jedyną twarzą, szal jasny zakręcił się, zakłębił, twarz zakrył, jak przygnane burzą chmury, kłębiąc się, osłonią księżycą tarczę świetlną; grzmot, jęk, warkot i mgła wchłonęła znikające w dali widzenie. Za sobą postyszałem tętent rozpedzonych kroków: odwróciłem się: postać jakaś dziwna, mło-

dociana, z twarzą naprężoną i wylęklą, otoczoną rozwianymi włosami, pędziła naoslep. Zatrzymałem ją pytaniem: „Kto ona?“ „Ona“ — postyszałem odpowiedź — „Elissa! Elissa, boska i przeklęta!“ Zwiastun zniknął. A ja poszedłem do klasztoru i na- byłem to miejsce: Tanity w proch rozkruszoną świą- tynię! I tam wybudować kazałem przybytek. Odtąd czekam. Czekałem nieświadomie i dawniej...

— A! tutaj państwo jesteście? — odezwał się głos pana Mac Gregora — szukam was właśnie. Tam na dole oczekują was i gwałtem się dopraszają waszego towarzystwa. Cóż? wyjaśnilicie państwo dolę tego biednego Zwanga?

— Pani opowiedziała mi, co wiedziała o jego poszukiwaniach i nadziejach; ja dopowiedziałem epilog. Nie ulega wątpliwości, że jego zwłoki leżą pod podwalinami hotelu pańskiego.

— Ten hotel już nie mój. Odstąpiłem właśnie resztę udziałów tym, co go stawiali na grobach. Miałem podejrzenie już dawniej. Zauważyłem, że od tamtej strony mury rysowały się parokrotnie i pytałem tych, co budowali, czy przypadkiem gro- bowców punickich nie wzięli za skałę samorodną. Zapewniali, że nie, że fundamenty osadzone są na skale. Teraz wiem. Wyzbyłem się wszystkiego: na grobach nie wspierać podwalin tego, co ma żyć i trwać.

XIV.

Dwa dni minęło i nadszedł dzień oczekiwany niecierpliwie. Ze szczytów *Grand Hôtel Hazdroubaal* powiewały chorągwie różnobarwne, podnoszone nie wiatrem, lecz oddechem krzepkim morza, które wciąż leżało nieruchome, gnuśnie wyciągnięte, syte słońca, czarownie żywe w spokoju zastygłym. A słońce, nie mając się czego chwycić na tych stokach nagich, przepalonych i szarych, czepiło się promieniami pstrokacizny jaskrawej chorągwi, migających, jak płomyki, nad budynkiem strojnym i igrało z niemi rozbawione. W hotelu było wszystko gotowe na przyjęcie gości: lokaje we frakach, stoły zastawione, grajkowie, strojący na terasie trąby, skrzypce i basy. Gości oczekiwano wielu. Panowie Spinelli i de Vieilleville (hrabia) postanowili nadać otwarciu wielkiego hotelu znamię uroczystości niepowседневnej, nieomal święta krajowego, i poruszyli wszystkie wpływy i sprężyny, by podejmować w swych murach wszystko, co coś znaczyło i ważyło w Tunetanii: i władze, i dyplomacye, i armię, i duchowieństwo, i handel, i przemysł, i plutokrację. Na kolei elektrycznej ruch zdwojono, a samochody spinały się ku hotelowi szeregiem długim, jak robaki wielkie, oblażące gromadnie puste wzgórza, by się na nich zagnieździć.

Pomimo zajęć mnogich pan Spinelli znalazł chwilę, by jeszcze raz osobiście poprosić pana Mac

Gregora i panią Elisę o uświetnienie uroczystości swą obecnością. Pani Elissa wręcz odmówiła, a „tyran“ odpowiedział, że może uda mu się wpaść wieczorem, gdyż dzień cały ma zajęty sprawami, których odłożyć nie może, albowiem wyjeżdża nazajutrz. Jakoż samochód warczał już pod bramą, a pan Mac Gregor w odzieży podróżnej, odprawivszy administratora, gnącego się w ukłonach do ziemi, wrócił pożegnać się z panią Elisą. Był spokojny i pogodny, jak zawsze, a jednak pani Elissa, spojrzawszy tylko na niego, zapytała troskliwie:

— Co ci jest dzisiaj? Czyś otrzymał jakie wiadomości niedobre?

— Nie, nie otrzymałem żadnych. Podziwiam bystrość twego oka. Bo jeśli „jest mi coś“, jak mówisz, to poza mą świadomością. I tego „coś“ nie dopuszczam do głosu, skoro nie ma mi nic do powiedzenia.

— Czyżbyś miał jakieś przecucia?

— Przeczuć nie miewam nigdy. To „coś“ nie ma też źródeł nadprzyrodzonych. Wszystko da się wytłómaczyć logicznie. A że przed tobą nie kryję się z niczem, nie dbając, czy to mnie wywyższa, czy poniża, więc ci powiem: podejrzewam, że twój „tyran“, „tyran nieugięty“, zaczyna mazgaić. Widzisz, po dwu latach, jutro po raz pierwszy rozstaniemy się z sobą i to na dłużej. Juściż wiem, że to rzecz naturalna i nieodzowna i że powtórzy się jeszcze nieraz. I dlatego temu „coś“ mówię z całą brutalnością: „stul pysk“! A jednak... Elisso, czybyś ty przecież nie zdecydowała się pojechać ze mną?

— Nie, nie. To nie. Ja tu zostanę. Pędzić tak po świecie z pociągu do pociągu i z hotelu do hotelu... Nie, nie. Ja tu zostanę.

— Dobrze, jak chcesz. Ale możebyś wolała wrócić do naszej siedziby, do tego raję, któryśmy społem wyczarowali z pustki jałowej i zmarłej?

— Tam, bez ciebie? Samotnieby mi tam było i duszno. Nie, nie. To twój twór, co bez swego stworzyciela wydałby mi się tak czczym, jak świątynia próżna boga. Nie, nie, tutaj pozostanę.

— Będzie, jak zechcesz. Zatem — do widzenia, jeszcze dziś wieczorem.

— Do widzenia.

— Odchodząc, pan Mac Gregor zatrzymał się przy drzwiach, zawahał i jeszcze zawrócił.

— Elisso — rzekł — skoro to „coś“ odkryłaś i przywołałaś do mej świadomości, to poznaj je całe. To „coś“ przywodzi mi natrętnie na myśl ten wieczór, kiedyśmy się tutaj pierwszy raz spotkali. Pamiętasz? Ja każde słowo pomnę. Pamiętasz, jak ci mówiłem: „Te więzy, których pozornie niema, najtrwalsze; te wiążą na zawsze“?

Pani Elissie snąć również „coś“ dziś było nieświadomie, bo te słowa „tyrana“, wypowiedziane spokojnie i ciepło, podziałały na nią drażniąco.

— Ja nie znam więzów — rzekła — ani słowa „zawsze“. Wczoraj pomnę tylko, jako źródło jutra i jego rękojmię. Cóż chcesz, bym ci powiedziała więcej?

— Że nie zapomnisz, zem człowiek, co jutrem tylko żyje i dla jutra pracuje bez przerwy. Przyrzeknij.

— Co? Że jutro będzie takie, jak wczoraj? Kto zna jutro swoje! Że jutro serce moje będzie takim, jakim było wczoraj? Kto zna serce me jutrzejsze? Tyś człowiekiem, co przyszłość swą

tworzy; ja w przyszłość się zanurzam naoślep, z oczami zawartemi.

— Ja jutro swe tworzę? Tak jest, tworzę. Tworzę je silne i trwałe, byle nie prysnęły podwaliny, na których je wspieram. Ja na twem sercu swe jutro buduję.

— I znasz serce moje. Wszak zajrzałeś do niego do głębi. I jak wczoraj słuchałam serca i słucham dzisiaj, tak słuchać go będę jutro. I sercu świętokradczo nie skłamię. Tego przecież nie żądasz, bym przyrzekła, że kłamać będę sercu? Więc co mam przyrzec?

Pani Elissa urwała i spojrzała na Mac Gregora pytająco. Spoczęła wzrokiem na twarzy jego, jak zawsze, suchej, wyniosłej i pogodnej, na którą „coś“ rzucało dzisiaj ledwie dostrzegalny cień smutku. I jej spojrzenie straciło zaczepność i sposepniało i, przystępując doń bliżej, głosem przyciszonym i niskim dodała:

— Prawda, mogę: Przyrzekam ci, że jutra bez ciebie nie chcę, że jutra bez ciebie nie zaznam. Za siebie przyrzec mogę, nie za serce. Znasz serce.

— Dzięki ci i za to. Masz słusność. Więcej żądać nie można, jak szczerzej i dobrej woli. Masz słusność: jeśli teraz jeszcze to „coś“ nie zamilknie, to głupie! Do widzenia wieczorem.

— Podaj mi rękę.

Wyciągniętą dłoń pani Elissa pochwyciła, ujęła ją uściskiem gorącym, patrząc w twarz Mac Gregora rozwartemi oczyma, w których czerniły się źrenice ogromne, głębokie, pytające. I sama pewno nie wiedziała, czy temi źrenicami jego pytała, czy siebie.

Stali tak chwilę w milczeniu, a gdy zaciśnięte dłonie rozczepiły się i rozpadły, rozstali się bez słowa.

I w chwilę potem pani Elissa zadumana patrzyła na samochód, malejący w oddali, bezwiednie szepecząc sama sobie: *miesiąc wschodzi i miesiąc zamiera: miesiąc żyje jeden tylko raz*“.

Już aż do wieczora pani Elissa pozostała u siebie zamknięta i ukazała się dopiero przy obiedzie. Towarzystwo obiadujące było nieliczne i raczej posępne. Kto tylko czuł w sobie chęć zabawy i ochotę, pośpieszył na otwarcie *Grand Hôtel Hazdroubaâl*, którego gospodarze gościnnie i szczerze objęli zaprosinami nie tylko mieszkańców tutejszych stałych, ale i gości i turystów. Wzniesiona u szczytu najwyższego pagórka gospoda „ojców białych“ patrzyła z góry na hotel nowy, wkrojony w górę znacznie niżej, tam gdzie jej stoki nachylały się już ku morzu. Do gospody przyklasztornej, wyrosłej z pustki i pustką otoczonej, dolatywały czasem od katedry odgłosy dzwonów; czasem nawet przez ciszę przemknęło się odległe zawrozczenie organów, lub wątły, przyciszony pomruk głosów męskich, chóralnych, zamkniętych i stłumionych w murach kościoła. Do tych szmerów codziennych, do których już przywykło ucho, mieszał się dzisiaj chwilami jeszcze bardziej odległy, ale natrętny dźwięk trąb, wykrzykujących w nowym hotelu na dole melodye wesole, lub warkot bębnow, wydzwaniających takt skoczny. Odgłosy te dolatywały tylko zrzadka, gdy, tam daleko, trąby dęły i hębny warczały *fortissimo*; i tem bardziej drażniły znienacka ciszę wieczorną.

Pani Elissa była świadkiem obiadu biernym i niemym. Błada, niespokojna i rozstrojona, z twarzą

nieruchomą w naprężeniu, z przymrużonemi oczyma i szczelnie zaciśniętymi ustami, których kąty w dół się wygięły, miała wyraz tak zazdrosnego zamknięcia w sobie, że odgradzał ją od reszty biesiadników. Obiad zakończył się szybko i wtedy dopiero hr. Oxenstierna po raz pierwszy zbliżył się do niej.

— Pani wybaczy — rzekł, — że, jak wczoraj i onegdaj, tak i dzisiaj ośmielę się ją prosić o chwilę przechadzki wspólnej.

— Nie, dziękuję panu. Jestem dzisiaj nieswoja i nie czuję do rozmowy ochoty najmniejszej.

— Dlatego proszę panią jeno o przechadzkę wspólną. Prośba moja jest samolubną. Dzisiaj, dzisiaj właśnie, proszę panią o to usilnie. Bo dzisiaj ukojenie zstąpi na panią samo, nie ze słów moich, a nawet mimo słowa moje, jeśli poważę się wmieszać w rozmowę, którą pani toczy dzisiaj sama ze sobą.

— Chodźmy — odparła po chwili wahania.

Szli w milczeniu. Hr. Oxenstierna wiódł ją szczytami pagórków w ten sposób, że niebawem zniknęły im z oczów budynki klasztorne i grzbiet góry zwalistej zasłonił widok nowego hotelu, rzucającego smugi jarzące światła na stoki, osłonięte mrokiem, i odciął ich od jego gwaru i dźwięków skocznych, wdzierających się natrętnie w spokój i ciszę. Wieczór był pogodny, niebo czyste i tak blade, że w tej bladeści wszystkie gwiazdy potonęły i tarcza księżycy jasna, krągła, pełna, wisiała sama jedna nad zatoką, gładko rozścieloną pośród niemego wieńca wzgórz, obejmujących ją nagiemi ramionami dwu półwyspów sztywnych, ciemnych i zamarłych.

Ze szczytów zesli teraz niżej i tutaj ona usiadła na ułomie muru, wystającym z gruzu, on u jej stóp

na ziemi. Za sobą mieli wał łysego wzgórza, które zaginało się w podkowę i ku morzu wyciągało dwa łańcuchy nagie, otaczające wkłęsłość, wygiętą łękowato i zniżającą się połogo ku morzu. Tak z trzech stron ogrodzeni grzbietami wyniosłymi, stromymi, pustymi, obleczonymi w szary pokrowiec gruzów, ogołoconymi i odartymi z wszystkiego, na czemby zatrzymać się mogło oko, mieli przed sobą wycięte wśród gór okno, mroczne dołem, otwarte na zatokę cichą, błyskotliwie szklistą, nad którą zawisł księżyc tarczą wielką, nie świecącą, lecz jaśniejącą blado, obojętnie, przejmująco, jakby nie rzucała, ale zgarbiała za sobą promienie srebrne. Siedzieli tak w milczeniu długo, błędząc dokoła spojrzeniami, które zahaczyły się w końcu o tarczę księżyca i w niej utkwily.

— Pani wybaczy, że przerwę ciszę — rzekł hr. Oxenstierna półgłosem — i niech pani nie zwraca uwagi na me słowa. W słowach myśl się kurczy, ale krystalizuje się też tylko w słowach. A ja swych myśli ujmować w słowa nie mogę przed nikim, prócz przed panią jedną.

Pani Elissa nic nie odrzekła, a hr. Oxenstierna ciągnął dalej:

— Czemu przed panią jedną? Sam nie wiem. Ale tak jest i pani czuje to sama. Nie darmo ten Zwang zwracał się do pani, gdy chciał wnikać w to, co kryją tutejsze grobowce; nie darmo ten malarz u pani czerpał natchnienie, gdy uwięzić chciał na płótnie to, co się tu unosi nad grobami. Oni pochwycić chcieli prawdy okruchy; ja ogarniam ją całą, a pani ją też całą bezwiednie przeczuwa. Nas

tylko dwoje. A dawniej ta prawda miała tutaj przybytek i świątynie i kapłanów, wiernie oddanych.

Urwał i podniósł głowę rozmarzoną i szlachetną. Czas jakiś słuchał ciszy i oczyma błędnie wodził po stokach pustych, poczem zwrócił je na panią Elisę i patrzył na twarz jej, wyzierającą z pod włosów czarnych, bladą, smutną i zadumaną; wreszcie przemówił:

— Kto pani jesteś? skąd przychodzisz? dokąd dążysz? — ani pytam, ani chcę wiedzieć, skoro pani jedyna: nas tylko dwoje.

Hr. Oxenstierna znów zamilkł i zapatrzył się w zamyśleniu. Z twarzą swą chudą, wyrazistą i bladą, z czołem wyniosłym, wstecz odchyłonym, z brodą długą i jasną i oczyma utkwionymi wprzód ślepo, nie był to już światowiec wytworny i gładki, ale „prorok“, swą myślą opętany. Ale w „proroku“ tkwił jednak światowiec, bo, pamiętny usposobienia towarzyski, mówił półgłosem przyciszonym, jak gdyby w obawie, by jej nie przerywać rozmyślań. Mówił dalej:

— Tyr prawdy zarodki odziedziczył po tych ludach, co w przeszłości zamierzchłej najdalej sięgnęły myślą i najgłębiej wniknęły uczuciem. Tyr prawdę przygarnął, a Kartagina żyła nią i rozwijała ją wiekami. I dlatego tutaj na tych zwaliskach, prawda ta unosi się i drga w przestworzu i śpiewa pieśń niemą, przejmującą i z pod gruzów rwie się i preży w górę, tam ku temu bóstwu, z którym dzisiaj, w noc pełni, wiążą nas promienie srebrne, jak struny, pieśnią rozedrgane.

I dla objaśnienia głosem potocznym dodał:

— Bo, widzi pani, ten księżyc — to pierwsze, najdawniejsze bóstwo, jakie mieli ludzie. I ku niemu, w jego twarz bladą, ze stygnącej i zamierającej ziemi patrzeć będzie człowiek ostatni, błagając pomocy i zmiłowania; błagając napróżno. To bóstwo pierwsze i bóstwo ostatnie. Ono swem odradzaniem się w nowiu natchnęło ongi ludzi najszczytniejszą myślą, na jaką zdobyli się kiedykolwiek: myślą przemożenia śmierci — nieśmiertelności. I on, ten księżyc srebrnooki i nocowładny, do dziś dnia życie duchowe krzesi w ludach, których umysł nie odstał jeszcze od ziemi: Kafrowie i Hottentoci, ledwo ze zwierzęcości budzący się do człowieczeństwa, ślepi jeszcze i głusi na wszystko, co nie ziemskie, słyszą jednak głos jego, jak do nich woła: „Jak ja umieram i, umierając, żyję, macie i wy umierać i żyć, umierając“. Uwielbił go pierwszy człowiek, co stanąwszy wyprostowany, w niebo spojrział; uwielbił raz na zawsze. Ile pokoleń go czciło, nim Babilon oddał mu pokłon, jako najwyższemu ojcu bogów, co sam się rodzi, z siebie rośnie, prawo daje, przed którym chyli czoła sam Szamasza, sędzia najwyższy? Nie było ludu, który nie czciłby księżycy, choć niektóre cześć tę kryją w symbolu zawilym i nikłym Wielbił go Chińczyk i Japończyk; Dahomejczyk wita na nowiu „wielkiego naczelnika“ okrzykiem, jak i Indyanin brazylijski; Azyata z nad Bramputry tańcem; Hindus widzi w nim najgłębszą tajemnicę; Hebrajczyk, choć za jego cześć ukamienowaniem zagrożony, osobne miejsce w świątyni mu wyznacza: „Zrąbcie na nowiu w Zrąbę, w dzień zacny uroczystego święta naszego“ — wołał w zapamiętaniu psalmista; Grek zmienia dlań miana i postaci, raz

go widzi, jako Selene boską, to znów Artemis, Angelos-Hekate groźną, lub Aspalis, przez Tartarosa zhańbioną dziewicę — na niebie samobójczego wisielca. A gdy zaćmienie zuchwale targnie się na księżyc-boga, ziemię całą ogarnia strach i przerażenie: nie tylko ludy pierwotne i naiwne, ale Rzymianie rozumni i pełni hartu, wylękli o boską Dyane, z okrzykiem „*vince luna*“! uderzali w trąby i kotły, jak Indyanie w Ameryce, Anglicy aż po wiek XVII., a po dziś dzień Chińczycy, Hindusi i czarne ludy afrykańskiego wnętrza. A gdy lud jakiś wprost go nie czci, to cześć dlań czuje bezwiedną i teraz jeszcze dzieciom zabrania na tarcz jego zagadkową palcem wskazać i uczy je witać nów uchyleniem czapki. Pozornie niemy świadek spraw naszych ziemskich, księżyc tajemniczo wkracza w życie nasze codzienne; szepce rolnikowi, kiedy ziarno w ziemię rzucać, drzewa ścinać, wino spuszczać, wypędzać trzody; kiedy dzieci odłączać i strzydz im włosy. Kto umie patrzeć w twarz jego smętną, wyczyta w niej dolę dni, co nadchodzą, wyczyta zwiastowanie burzy, którą zawierucha przyniesie, co się jeszcze nie wyrwała z ciszy. Tak w twarzy jego czytał Virgili i utajone w niej przepowiednie ujął w rymy nieśmiertelne, których nie znały chyba mnichy średniowiecza, skoro tę samą przepowiednię powtórzyli lichą łaciną klasztorną. Tak w twarz jego, w swe ukochanie, patrzyły tessalijskie czarownice rozmiłowane. On, księżyc cichy, zagadkowy, obojętny, bolesny, wszystkiem rządzi, we wszystko wзира i wszystko przenika: on włada łonem oceanu, nas wszystkich pra-macierzy, i łonem kobiety-matki. Moc jego przeczuwały wszystkie ludy. Ale wywieziona

z Tyru tajemnicę zgłębili dopiero i w kult dotąd niezbadany ujęli ci, co na tych wzgórzach czcili go przed wiekami, patrząc w twarz jego, natchnioną zagadką nieprzeniknioną, jak my patrzymy w nią dzisiaj: nas dwoje.

Hr. Oxenstirna urwał i w zadumie cichej i głębokiej patrzył na bóstwo jasne, pełnią rozgorzałe, wlokące za sobą ciężką a wiotką szatę płowo-mroczną, promienną, przejrzystą, połyskującą srebrem zimnem, a rozplywającą się w sinym blasku tajemniczym, i nurzającą się w cienistych przegubach, nasiąkłych błękitem i czernią — na bóstwo jasne, snujące się po niebie bladem, zawieszone nad morzem ciemnym, na którym wykreśliło gościniec srebrny, lśniący. Po tym gościńcu ślizgał się wzrok pani Elissy aż, zwabiony w górę, spoczął znów na tarczy. I głosem przyciszonym, smutnym, lecz spokojnym szepnęła:

— „...*Pełnia krzepi, pełnia promieniami cuci.. nęci i wabi*“... — i dodała szeptem; — nas dwoje.

— Babilońskie bóstwo twórcze i rządne, księżyc krzewiciel, bóg rodzajności i wilgoci; syryjskie bożyszczce rozpustne, czczone rozpasaniem zmysłów wyuzdanem — w Tyrze znalazło kapłanów, co cześć oddali jego istocie tajemnej, a tutaj dopiero wyznawców, co w tę tajemną istotę wniknęli i moc z niej w swe piersi brali. Jaka praca myśli, tęsknota ducha przez wieki i wieki! Jak olbrzymia droga przebyta, nim rozumiano dziewicze miłości, rozkoszy i rodzajności bóstwo: Tanit-Didonę -- *virgo caelestis!*. Jeszcze u brzegów syryjskich zbliżano się do jej świątyni w parach, namiętym uściskiem splecionych, płasem bachicznym spieszących aleją znamion dumnie, lubieżnie bezwstydnym, czcząc Isztar wszelkiem wy-

uzdaniem, jakie nasunąć mogła wyobraźnia, zmysłami rozszalała. Aleja wiodła do bram wyższego kręgu, które przekroczyć mogli ci tylko, co pojąć zdołali Kombabosa czy frygijskiego z Hierapolis Atesa: w Isztar-Astarte-Kybele rozmiłowanego boga nie-szczęśnika, boga dobrowolnego rzezańca, gdy inaczej zbliżyć się nie mógł do bóstwa, ku któremu rwała go odwiecznie i na wieki wieków, istota jego cała i uwielbienie przemożne. Ci, co wstąpili do wyższego kręgu, w największym zapamiętaniu miłosnem, w największym rozkoszy szale, śladem boga męskość swą składali u stóp bogini wszetecznej. Bogini wszetecznej, ale był w niej już przedblask późniejszej Tanity dziewiczej. Był w tym strasznym czynie samoofiarnym, w tem wyzuciu się przyszłości rozpaczliwem, hołd dla bogini bezgraniczny, uznanie, że po za nią miłość wszelka jest marna i licha: hołd szalony, heroizm głupi i tchórzliwy! Oni nie znali tego najwzniośleszego bólu — poświęcenia — szalu, gdy do Tanity, czy jej ziemskiego wcielenia, rwie się nasza dusza, nasze serce, nasza istota, nasza męskość w miłości bezbrzeżnej, beznadziejnej.

— Beznadziejnej — powtórzyła Elissa, jak echo.

— Tu Tanitę rozumiano i pojęto: tu wzgórza jej władne. Ja myślą obejmowałem ją dawno, pchany do niej tęsknotą głodną. Śladów jej szukałem wszędy: i na piaskach, które pokryły Babilon, tajemnic świadomy, i na piaskach, co zawiąły Tyr wspaniały. Tu ją dopiero odnalazłem. Tu dopiero przemówiła do mnie przez tę noc, te gruzy roztarte i tę pustkę tak zamarłą, jak tarcza księżycy bolesna. I tu zrozumiałem księżycę tajemnicę wieczystą, jego wieczysty smutek i wieczystą moc. Całą głębię i tragizm

jego kultu tu pojąłem, gdzie wykwitł, gdzie wciąż ze zwalisk ku pełni dyszy, pojąłem sam jeden: nas dwoje.

— Nas dwoje.

— Bo wszystko: całą tajemnicę podniosła, całą poezję, zaklętą w tej tarczy niemej i całą jej grozę łagodną, wieczystą, beznadziejną, — wszystko pojąłem dopiero, gdy na tych gruzach było nas dwoje. Nas dwoje. Tam, gdzie stała świątynia Tanity, tam skąd do niej wznosiły się modły tem gorętsze, że nieziszczalne nigdy, tam Tanicie, tam swej myśli, swej nadziei bez wczoraj, bez dziś i bez jutra, zbudowałem przybytek nowy: niech ku niej znów idą modły beznadziejne! Ludzie się dziwią, czemu nad urwiskiem, nad przepaść wysunąłem balkon, by wisiał nad grobowcem tej Elissy dawnej, która była wcieleniem bogini przed wiekami. Ludzie się dziwią, nie pani. Ludzie się dziwią, czemu nad drugim urwiskiem, nad morze wysunąć kazałem pomost, zawieszony nad głębią. Ludzie się dziwią, bo nie wiedzą. Nie wiedzą, że na tych wzgórzach nie tylko życie tętniło, ale stał na nich przybytek tajemnicy życia; że ta tutejsza pustka, na której spotkaliśmy się — nas dwoje — zachowała wspomnienie życia-tajemnicy, a wskroś przesiąkła tajemnicą-śmiercią; że tu te dwie tajemnice się spotykają, przenikają wzajem, w jedność łączą i nad pustką szumią wspólną pieśnią niemą, że jeno ducha prężyć, słuchać. Na tych wzgórzach, pustka zasiadła na gruzach i w ciszy nad tą tajemnicą duma. Ludzie nie wiedzą, my tylko jedni: nas dwoje.

— Nas dwoje.

— Noc musi być ciemna, czarna, zwarta, by na nią wąty nów wniósł zarodek pełni świetlistej. Wszystko, co życiem, co uczuciem dyszy w nocy beznadziejnej, wzejdzie nowiem, pełnią przekwitnie; a nowiem wzejdzie, co przekwitło pełnią.

— Wszak wzejdzie? „*Nowiem wschodzi, co pełnią zamiera!*”

— Wzejdzie tym, co umieją czytać tajemnicę wieczystą w księżycu twarzy bladej. Ludzie nie wiedzą tego, co na tych wzgórzach wiedzieli wtajemniczeni kapłani Tanity i co wiemy my: nas dwoje. Ten księżyc, swą zmiennością niezmienny; ten księżyc, bóstwo pierwsze i bóstwo ostatnie; ten księżyc, który swym wyznawcom światłem nikłem gra w duszy i sercu pieśń życia-śmierci, pieśń nieśmiertelną, którą i te gruzy szemrzą i powtarzają niemym wtórem ciszy; ten księżyc, co wzmógłszy się w pełnię, miesięcznikom sennym daje moc taką, że nad przepaścią chodzą pewnie i bezpiecznie; — ten księżyc swym wybrańcom da skrzydła, da je na jawie: da moc, iż w twarz jego bolesną wpatrzeni pójda jego szlakiem świetlanym, pójda na przelaj, pójda po morzu, pójda przez przestwór, pójda, jakby drogą bitą, ku niemu, ku tajemnicy, ku światłu: tam, gdzie zapomnienie i pamięć wieczyście powrotna, — wieczyste ukojenia źródło. Mój pomost wisi nad głębią i na głębię ma ujście otwarte tam, gdzie zaczyna się pełnego księżycy szlak świetlany: dziś pełnia.

— Chodźmy, nas dwoje. „*Nowiem wschodzi, co pełnią zamiera; miesiąc żyje jeden tylko raz*“...

.

W *Grand Hotel Hazdroubaal* gwarно było i huczno. Z wszystkich okien światło biło luną jasną.

Z estrady płynęła nad morze melodia upajająca i śpiewna walca Léhara. Korki szampana strzelały dyskretnie, wedle rozkazów samego pana Spinello, który po konferencji z hr. de Vieilleville doszedł do przekonania, że butelki, otwierane cicho, mijają niepostrzeżenie, a otwierane zbyt głośno, trącą dorobkiewiczostwem. Po mowach i toastach muzyka grała „Marsylianę“. A mowy były liczne. Pito na pomyślność Francyi, na pomyślność kolonii afrykańskich, władz francuskich, kultury francuskiej i francuskiego oręża; pito (w ręce Spinello, Maltańczyka) na pomyślność demokracji francuskiej, „pracowitej, skrzętnej i oszczędnej“; na toast ku czci wielkich tradycyi francuskich odpowiedział hr. de Vieilleville (z czerwoną wstążeczką Legii w butonierce, przypiętą mu dzisiaj przez samego rezydenta), a odpowiedział z taką godnością, a z wymową tak wytworną, potoczystą i gorącą, że zerwała się istna burza oklasków i okrzyków, których przygłuszyć nie mogła „Marsylianka“, grana raz po raz z takim przejęciem, iż grajki dęły w trąby i biły w kotły, ile mocy. Okrzykom tym, jak wzmożone echo, odpowiedział z zewnątrz wrzask głosów pomieszanych, krzykliwych, przerażonych: — to ciżba arabska, stojąca przed hotelem od godzin w zagapieniu niemem, zawrzała teraz nagle, zakotłowała się i, wymachując rękami, wybuchła krzykami i wyciem. Pan Spinelli wybiegł, by rzecz wyjaśnić i ciżbę uspokoić. Krzyki jednak nie ustawały, a Arabowie z rosnącym zacieźrzeniem darli się przeraźliwie dalej, rękami wskazując to na urwisko, to na powietrze i morze. Krzyki były tak bałamutne, że nawet pan Spinelli, biegły w mowie Arabów, wymiarkować zrazu nie mógł po-

wodu zamieszania. Dopiero powtarzające się ustawicznie wyrazy „hrabia planetnik“ i „błada pani wędrowna“, naprowadziły go na myśl, że chodzi tu o hr. Oxenstiernę i panią Eliszę.

— Tam, tam, w morzu!

— Nie, dalej: sunęli powietrzem, widziałem.

— Nie, na tym szlaku jasnym!

-- Coś tam majaczy się jeszcze!

— To sprawka Berberów. Widziałem, jak się skradali!

— Nie, nie było nikogo; tylko ich dwoje!

— W morzu! W morzu!

W ciżbę krzyczącą wpadł nagle samochód pełnym pędem i w miejscu osadził. Wyskoczył z niego pan Mac Gregor i huknął na administratora:

— Telefonować po łodzie! W którym miejscu?

— Tam, tam, pod samym pomostem!

— Kto widział?

— Ja, ja!

— Prowadź!

By zbliżyć się do wskazanego miejsca, trzeba było okrążyć pagórek. Pan Mac Gregor biegł tam, co tchu w płucach, na czele hordy Arabczuków, rozdzierającej się na całe gardło:

— Tutaj!

— Nie, tam!

— Ja widziałem!

— Ja widziałem lepiej, stałem nad brzegiem!

Dobiegłszy pod pomost, pan Mac Gregor zrzucił kurtkę, zsuł buty, wskoczył w morze, popłynął i dał nurka. Na stokach wzgórza usadowiła się gromada arabska, krzycząc dalej i machając ramionami. Na terasie hotelowej goście cisnęli się, wymieniając ury-

wane zdania i podając sobie lornetki. Inni poczęli się rozjeżdżać. Tymczasem Mac Gregor wynurzał się co chwilę, chwycił powietrze i znów znikał pod wodą. Pierwsza nadpłynęła szalupa wojskowa, pędząc całą parą; za nią zdążyły łodzie rybackie. Na nagich stokach ciżba arabska roiła się coraz gęściej białymi burnusami, brunatnymi gandurami i wielobarwnymi zawojami. Z wysrebrzonego księżycem, gładkiego zwierciadła zatoki wynurzała się raz wraz głowa pływaka, i znikła. Nagle jednogłośnie krzyk wyrwał się z wszystkich piersi: Mac Gregor płynął ku szalupie, pracując lewym ramieniem, a prawem ciągnąc coś za sobą. Gdy dopłynął, wypluł wodę, topielca podciągnął do łodzi i wrzasnął:

— Brać go i wyrzucić precz!

I znów, zachłysnąwszy powietrza, dał nurka pod wodę. Hr. Oxenstierne, czy jego trupa, wyciągnięto z wody na łódź, przywieziono do brzegu i zaniesiono do hotelu, gdzie dwu lekarzy zakrzętało się koło niego. Pływak się nie pokazywał. Po cichej zatoce łodzie krążyły bezustannie, wypatrując, gdzie się wynurzy głowa Mac Gregora. Ale zatoka była ciągle jednakowo cicha, spokojna, ciemna, srebrem lśniąca, równa, gładka i urocza. Górą snuł się księżyc, błyszcząc pełnią.

Łodzie rybackie odpłynęły. Jedna szalupa wojskowa krążyła dalej. Ciżba usadowiona na stokach, przeredzała się coraz bardziej. Niebawem rozbiegła się i reszta czeredy arabskiej, która dotąd czekała cierpliwie! morze poczęło się marszczyć, od północy zadał wiatr, pędząc chmury czarne, które wnet zakryły księżyc, że ciemność zupełna ogarnęła wzgórze,

i morze. Górą burza zerwała się nawalna, a dołem odpowiadało burzy morze rozpętane.

Pan Spinelli tymczasem telefonował do Tunisu do hr. de Vieilleville:

— Pan Mac Gregor utonął; pani baronowej nie odnaleziono. Hr. Oxenstierny docucono się wreszcie. Jutro przewieziemy go do Tunisu. Gdy otworzył oczy, pierwsze jego słowa były: „Jej nie znajdziecie poszła w dal; spotkamy się w Tyrze“. I znów stracił przytomność. Ale to mniejsza. Pomimo późnej godziny, idź pan hrabia zaraz do Bernarda Izraela i zaręcz się z Salomeją jeszcze dzisiaj. A weź ze sobą świadków. Nie dość, że z panią baronową przepadło już na zawsze, ale — nieszczęście nie chadza samo. Czy pan hrabia jesteś w biurze sam jeden? i nikt nie może słyszeć? Tak? To powiem, że na lewym skrzydle hotelu otwierają się takie rysy, że się boję, czy się nie zawali. Kto wie? Może to jednak nie była skała, jeno groby!

XV.

Jean-Jacques skoczył, jak oparzony.

— I to pan, pan mi to radzisz! Mój przyjaciel, mój „ojczulek“, który patrzył na moje przejścia, któremu wywnętrzałem się ze swych uczuć, — pan chcesz, bym myślał o ożenku, unieszczęśliwiał jakąś dziewczynę, los swój wiązał z jedną, podczas gdy serce oderwać się nie da od innej i, na domiar wracał tam, wracał z próżnemi rękoma, tam wracał, nic nie stworzywszy, niczego nie dokonawszy, prócz tych miernot wstrętne poprawnych, a bezdusznych, które widzisz tu w mojej pracowni! Raczej kamienie tłuc będę po gościńcach! I zapewne będę tłukł kamienie, bo pieniądze na wyczerpaniu, a tych paskudztw sprzedawać nie myślę, choć są durnie, coby kupowali!

Ojciec Robin, przygarbiony i posiwiały, siedział w pracowni paryskiej przyjaciela skromny i pokorny, jak gdyby przyszedł tu po prośbie i, po tym wybuchu „żółtodzioba“, zgnębiony i wylękły, złożył dłonie błagalnie i jał się prosić:

— Nie zżymaj się na mnie i nie oburzaj. Ty będziesz gniewał się na mnie! Wybacz, nie chciałem cię urazić. Wiem wszystko, wszystko pamiętam; jeśli powróciłem do swych marzeń dawnych, jeśli ci i o tej dziewczynie napomknąłem — a to

takie serce złote! — to jedynie, że łudziłem się nadzieją, iż może po tych wypadkach smutnych...

— Jakich wypadkach?

— Z Elissą, z Mac Gregorem...

— Cóż się z nimi dzieje? nic nie wiem.

— Jakto? Nie czytałeś w dziennikach?

— Cóż mię dzienniki obchodzą? Przelewanie z pustego w próżne: wczoraj biało, dzisiaj czarno; dziś pstro, a jutro srokato!

— Więc nie wiesz? nic nie wiesz? I ja ci to mam opowiedzieć! Nie, nie zapalaj światła. Szara godzina. ...Zresztą mnie tak trudno po tem, com ci radził samolubnie, myśląc, żeś to już przemógł, że już zabliznione... Proszę cię, nic mi nie mów, nie przerywaj i nie gniewaj się na mnie. Wysłuchaj i nie odpowiadaj mi ani słowa. We Francyi zabawię parę tygodni. Przyjechałem, by odwiedzić strony rodzinne, nim tam powrócę, zapewne już na zawsze. Dopiero przed samym odjazdem przyjdę do ciebie po odpowiedź i z pożegnaniem. A teraz słuchaj.

I ojciec Robin jął opowiadać głosem cichym, niemal szeptem. Mówił bezładnie, płacząc się w opowiadaniu i myśląc, choć stopniowo otuchy dodawał mu mrok, coraz ciemniejszy, zapadający na pracownię, że już widać nie było i wyrazu twarzy opowiadającego i twarzy słuchającego, ku której stary malarz zwracał co chwilę spojrzenie wylękłe. Niebawem, już po ciemku, mówił jakby sam do siebie, gdyż przyjaciel zdradzał swą obecność zrzadka tylko oddechem głębszym. Opowiadał wszystko, co wiedział: o przyjeździe Mac Gregora i Elissy, zapoznaniu się i zażyłości z hr. Oxenstierną, o ich wspólnych przechadzkach wieczornych, zamierzonym wy-

jeździe „tyrana“, otwarciu *Grand Hôtel Hazdroubaàl* z uroczystością niezwykłą i jego epilogu tragicznym: o smutnym a zagadkowym końcu Elissy i wyratowaniu Oxenstierny przez Mac Gregora — „brać go i wyrzucić precz“! — i jak nazajutrz wyłowiono zwłoki milionera, które rodzina zabrała i przewiozła potem z wielką pompą do Szkocyi, by je w gnieździe rodzinnem pogrzebać w grobowcach Mac Gregorów. Elissy nie znaleziono. Zapewne burza poniosła ją na morze pełne...

Tu ojciec Robin przerwał opowiadanie i długo siedzieli, milcząc obadwaj, w pracowni ciemnej. Gdy potem Robin podjąć chciał znów opowieść, nie mógł jakoś nawiązać jej wątku i po paru słowach urwał i jeno nos siąkał i wycierał. Jean-Jacques nie mówił ani słowa. Stary malarz połapał w końcu myśli i mówić zaczął bardzo szybko, widocznie, by pozbyć się całej historii co prędzej.

— To, że zwłok jej nie znaleziono, utwierdziło hr. Oxenstiernę w jego obłądnie. Bo inaczej nazwać nie można uporu, z jakim obstawał przy tem, że widział, tonąc, jak Elissa kroczyła spokojnie po szlaku srebrnym, wykreślonym przez księżyc na morzu, jak odwróciła się raz jeszcze ku niemu i rzekła: „Czekaj na mnie w Tyrze“ i w chwili, gdy on szedł na dno, ona wznosić się poczęła nad wodę, idąc po smudze świetlnej. Sam mi to opowiadał, gdym go odwiedził, by od niego posłyszeć, jak się to stało. Przyjął mię serdecznie. Leżał w łóżku, chudy i blady, z uśmiechem na twarzy tak łagodnym i ufnym, jak u dziecka. Chwilami milknął, jakby zapominając o mej obecności, i wtedy oczy jego jasne stawały słupem, zamglone zadumą. Wyrażał się jasno i ro-

zumnie, prócz gdy mówił o Elissie, a zwłaszcza o księżycu. I wtedy jeszcze słowa miały pozór rozsądny, choć ich treść była od rzeczy. Twierdził, że w księżycu jest taka moc, że równoważyć może siłę przyciągania ziemi; że w części doświadczają tego lunatycy we śnie, a na jawie wybrańcy, co przeniknęli tajemnice, których kapłani Tanity byli ongi w Kartaginie stróżami. Nie chcąc go drażnić sprzeciwianiem, udałem, że wszystkiemu wierzę, i zapytałem go tylko, jak się więc stać mogło, że on sam poszedł na dno, niby kamień. Uśmiechnął się pobłażliwie i objaśnił mnie, że i on zrazu pojąć tego nie mógł. Przypadek dopiero otworzył mu oczy. Sprawami jego zajmował się pan Spinelli; on budował tę świątynię, czy obserwatorium nad urwiskiem, „przybytek“, jak mówił Oxenstierna, — i wszystkie interesy za niego załatwiał z takim oddaniem się i gorliwością, że Oxenstierna nie mógł się go dość nachwalić. To też, gdy w dwa dni po wypadku, Spinelli przyszedł do niego przygnębiony i płakać zaczął, opowiadając, że zawałiło się całe lewe skrzydło hotelu, który nabyli z Vieillevillem od Mac Gregora, i że jest zrujnowany, — hr. Oxenstierna poczuł dla niego litość i oświadczył mu, że w miarę swych środków chętnie przyjdzie mu z pomocą, by nie poniósł straty. Wtedy Spinelli rzucił mu się do rąk i zaczął całować je „wargami śliskimi, jak skóra węża“, ze łzami wdzięczności w oczach, ale z poza łez wyglądała chytrość tak przebiegła, „jakiej nigdy nie byłby przypuścił w człowieku tak poczciwym“. To obudziło w nim powątpiewanie i podejrzliwość. Dodał więc, że stanowczą odpowiedź da mu za trzy dni dopiero. Tymczasem zwrócił się do konsula

angielskiego z prośbą, by telegraficznie zasięgnął z Malty informacyi co do dokładnej daty urodzin Spinello. „I przekonałem się — mówił mi — że ten człowiek kłamał mi, okłamywał mnie od początku! Obdarzyłem go zaufaniem zupełnem, o nic nie pytając prócz rzeczy jednej: daty urodzin. A on skłamał wszystko: i rok, i miesiąc i dzień, i godzinę! Podał mi, że przyszedł na świat z nowiem rosnącym, a urodził się, gdy księżyc chylił się ku zanikowi! Wiedząc to, mógłbym mu być powierzyć wszystko, oddać zarząd całego mienia, ale nie budowę Przybytku! Teraz rozumiesz pan, czemu zawiodła mię Siła“. Nic nie rozumiałem. Hr. Oxenstierna dodał już tylko, że cofnął swe obietnice i pełnomocnictwa i Spinello nie chce więcej widzieć na oczy. Potem nie spotkałem go już nigdy. W parę dni, skoro tylko jako tako wydobrzeł, wyjechał, zdążając do brzegów syryjskich, do Sur.

Robin opowiadał to szybko, nie tyle z myślą obznajomienia przyjaciela z wszystkimi tymi, drugorzędnymi szczegółami, ile w pragnieniu niedopuszczenia go do głosu. Sam znękany i pognębiony, bał się poprostu wybuchu jego żalu, czy gniewu, młodego i krewkiego. Przerwawszy opowiadanie, chwilę nadśluchiwał z obawą. Ale Jean-Jacques, tak skulony w karle głębokiem, że w ciemności nie było go widać, nie dawał znaku życia i niewiadomo było, czy zgoła słucha. Więc stary malarz znów zaczął mówić szybko:

— Vieilleville się ożenił. Pojął córkę jakiegoś kapitalisty z Saloniki, który przesiedlił się niedawno do Tunisu. Zwał się w pierwszych czasach Izrael, ale zaraz po zaręczynach swej córki z Vieillevillem

(który teraz jest hrabią) odmienił zlekka nazwisko, wystarał się o tytuł, i obecnie nazywa się *Cavaliere di Zraelli*. Zastrzega się tylko przeciw pokrewieństwu z angielską rodziną, której nazwisko ma brzmienie podobne, gdyż, jak twierdzi, Dizraelowie pochodzą z przechrztów. Z jakiej rodziny pochodzi sam teść Vieilleville'a, dochodzić zbyteczna; dość, że pobłogosławienie związku małżeńskiego odbyło się w katedrze z wystawnością wielką i udziałem wszystkich dygnitarzów i śmietanki towarzystwa. Nie ulega wątpliwości, że *Cavaliere* Bernardo ma majątek znaczny. Za córką przyrzekł dać posagu osiem milionów, i teraz mówi wciąż, że je da, nawet więcej, ale nieco później. Tymczasem wszystko trzyma w garści i wszystkiem sam rządzi, choć niby śpi dzień cały, a zięcia i Spinellego uważa za swych urzędników i trzyma za łeb ostro. On też kieruje budową nowej dzielnicy w Tunisie, którą rozpoczął Spinelli z Vieillevillem, a ilekroć ci starają się wyłamać z pod jego ręki twardej i bezwzględnej, mówi im, że oni długo jeszcze uczyć się muszą u niego, skoro tak są naiwni, że dali się złapać i jego ubrali w kupno walącego się hotelu.

Ojciec Robin znów zamilkł i nadśluchiwał; nie doczekawszy się jednak żadnej odpowiedzi ani uwagi, począł dalej mówić tonem żalonym, jakby chcąc rozbroić przyjaciela, lub wzbudzić jego litość:

— Co do mnie, na interesy skarżyć się niby nie mogę, gdyż idą dobrze nad wszelkie spodziewanie; pracownia rozwija się stale i pokazuje się, że myśl założenia jej w Tunisie była szczęśliwa, choć ja coś innego miałem wtedy w głowie. Gdybym tylko miał się kimś wyręczyć! Bo zdrowie nie do-

pisuje coraz bardziej. Siły opadają, dychawka jakaś się przyplątała. Roboty zaś przybywa i przybywa. Pomyśl o tem, żółtodzióbie, i nie gniewaj się na mnie. To wszystko tak naraz się zważyło i te nieszczęścia i moje niedomaganie: pamiętasz, jaki przed dwoma laty byłem silny i sprawny? Przed dwoma laty... Stało się, darmo! Rozważ wszystko, proszę cię bardzo, i nie gniewaj się na starego. Ja tu do ciebie przyjdę... po raz ostatni. A teraz, bądź zdrow, żółtodzióbie!

I stary malarz wymknął się chyłkiem, poomacku, nie wiedząc nawet, czy przyjaciel słyszał jego prośby. Wprost z pracowni, wstąpiwszy tylko po swe manatki podróżne, pośpieszył na dworzec, by pierwszym pociągiem pojechać w strony swe rodzinne, i pożegnać je raz ostatni. A że będzie to raz ostatni, szeptał mu nie wiek, jeszcze nie tak podeszły, lecz znąkanie, odbierające otuchę i ufność w lata, co nadchodzą.

Po jego odejściu w pracowni ciemnej panowała cisza, jak gdyby w niej nie było nikogo.

I dni następnych Jean-Jacques nie pokazywał się nikomu i nikogo u siebie nie przyjmował, zamknięty w czterech murach, które opuszczał dopiero późnym wieczorem; i wtedy błąkał się po uliczkach odludnych, by nie spotkać nikogo ze znajomych. Nic nie malował, jeno dni całe krążył po pracowni, jak tygrys w klatce, i wypalał jedną fajkę po drugiej. Trzeciego dnia poodwracał nawet do ściany wszystkie swoje płótna, które drażniły go i gniewały. Zżymał się na siebie, że wypuścił starego malarza, nie wypytawszy go o wszystko, nie wyjaśniwszy tylu szczegółów dziwnych, nad których rozplątaniem

próżno łamał sobie głowę. Wogóle zły był na siebie, że pozwolił oddać się przyjacielowi, którego towarzysztwa tak teraz łaknął. Gdzie go szukać? Pojechał pożegnać swe strony rodzinne; ale gdzie są jego strony rodzinne?

Pożegnać strony rodzinne... Młody malarz poczuł, że mu w tej pracowni duszno i nieznośnie. Ta pracownia, którą kiedyś urządzał sobie i przyozdabiał z takim umiłowaniem; ta pracownia, w której potem, dzień za dniem i miesiąc za miesiącem, dwa lata wgryzał się w pracę, zmagął z sobą i z zawziętością parął z trudnościami; ta pracownia, świadek jego wysiłków upartych i zawodów ustawicznych, świadek zwątpień, złudzeń, i niczem niezrażonych nadziei, — pracownia tem mu droższa, że tyle w niej przemarzył i przeboleł, ta pracownia była mu teraz nie tylko obcą, lecz wręcz wrogą. Co go z nią łączyło? Sztuka? to bóstwo najwyższe, któremu oddał się w służbę wierną, bezwzględną, wieczystą? Sztuka? — bóstwo zazdrosne, mściwe, zawodne, — on widzi wciąż to bóstwo przemożne, urokiem niewolące, a wiodące go wprzód kołem błędnem, ścieżką bez kresu, bez celu i bez ujścia! On widzi wciąż to bóstwo o dwu obliczach i dwu uśmiechach: bóstwo z czołem bladym, okolonem mrokiem czarnym, z pod którego wyglądają źrenice ogromne, ciekawe, łaknące, zawrotne, — źrenice-źródło, źrenice-pobudka i źrenice-siła. I te źrenice czarne, te same źrenice bezdenne, śmieją się, widzi, uśmiechem wdzięcznie radosnym, rozkosznie poddanym, boskim a niewolniczym, uśmiechem, którego nie byłby ani zgadł, ani wymarzył, uśmiechem, którego istnienia na tej ziemi nie byłby zgoła wyśnił: taka w nim głębia niezmie-

rzona i taka moc natchniona w hołdzie wylanym ścielący się pokornie do stóp — innego! I on temu bóstwu służył, w jego niewoli się szarpał, w dwa jego oblicza zapatrzony, dwoma jego uśmiechami opętany: tym, co moc daje i tym, co ubezwładnia, tym, co wskrzesza, i tym, co pogrąża; dwa uśmiechy wiodły z sobą walkę, a on do tego bóstwa się modlił, przed tem bóstwem się kajał, jemu, nie Sztuce, bezwiednie służył, dwa wrogie oblicza i wrogie uśmiechy ze sobą łączył, oddany mu w służbę wierną, a jałową. I teraz dopiero przejrzał, gdy bóstwa już niema. Cóż go łączy z tą służbą całą, z tą pracą, z tymi wysiłkami, w które włożył wszystką moc ducha, skoro bóstwa tego niema? Cóż go łączy z tą pracownią, co była przybytkiem i świątynią bóstwa, którego niema.

Bóstwa niema... Nie było go nigdy. I on właściwie wiedział, że go niema, że to bóstwo, to nie Sztuka, lecz ona. A jednak mu służył, służyć musiał. Czemu? Wszak nie miał nadziei żadnej; wszak nigdy nie zaświtała mu myśl, że ona przeczeka tego, do którego stóp słał się ten uśmiech, co jemu starczył byłby za życie, i że on ubiegać się będzie o dziedzictwo po tryumfatorze! Więc czemu? Bo musiał. Bo bóstwo było bóstwem i nie w jego mocy było odmówić mu służby i uwielbienia. A teraz bóstwa niema. Spozrzegł się, że siła jego wyobraźni nie starczy na to, by pomyśleć ją sobie nieżywą. Wydawało mu się, że myśl taka miałaby w sobie sprzeczność wewnątrz, jak ruch martwy, lub światło ciemne. Juściż wierzył wszystkim szczegółom przejścia tragicznego, opowiedzianym przez przyjaciela, ale wszystkie te szczegóły zmienić nie zdołały prze-

świadczenia, że istota o dwu obliczach i dwu uśmiechach choć niewątpliwie nie żyła, dla niego była wszakże i pozostanie żywa. Jenó, że nie była już bóstwem, jego bóstwem; wie nawet dokładnie, kiedy bóstwem być przestała. Kiedy przyjaciel opowiadał mu o przywidzeniu Oxenstierny, przekonanego, iż, tonąc, postyszał jej rozkaz: „Czekaj na mnie w Tyrze“, poczuł, że jego niewola skończona, że jemu nawet to już obojętne, czy Oxenstierna widział, zwrócony ku sobie, taki uśmiech, jak ów, co — widziany z boku — jego poraził i pognębił. Nawet to było mu obojętnem, gdyż czuł, że to już bóstwo Oxenstierny, nie jego, że u jego boku nie jego miejsce.

A jego miejsce gdzie? To pewna, że nie w tej pracowni, skoro świątynia straciła swe bóstwo, a bóstwo wyznawcę. Poodwracane do ściany obrazy przestały go drażnić i stały mu się obojętne. Odślonił je wszystkie, ustawił je rzędem i wodził po nich oczyma z uśmiechem politowania. Jak mógł takie rzeczy malować? gdzie miał oczy, gdzie smak i zmysły zdrowe? Nic go już z niemi nie łączyło, nic z tą pracą i z jej owocami, osiągniętymi z takim mozolem: nic go, słowem, nie łączyło z tem, co mu było dotychczas wszystkiem w życiu, poza czem nie było dla niego niczego. Zdawał sobie z tego sprawę, widział przed sobą życie dalsze bez celu, życie, w którem nie czekało go nic, nic nie ciekawiło. Myślą czepiał się zazdrośnie przeżyć dawnych, najboleśniejszych, ale z tych wspomnień zwietrzała moc ożywcza: wydały mu się czcze wewnątrz. Chwycił się za głowę i jął biegać po pracowni, a w mózgu

dudniały mu natrętnie słowa z owego wierszyka, który kiedyś napisał do podłotka rozkochanego:

Szum niemy drga, trwa, dźwięk tłumi,
Nad próżnią pustka tak szumi
Trwałym bezgłosym chichotem!

I zdjął go lęk. Pierwszy raz w życiu poczuł samotność; samotność go dławiała, a nie wiedział, jak się z niej otrząsnąć. Robin? Samotność ciężyc zaczęła nieznośnie. Miał wrażenie, że otrząść z niej się musi, inaczej omota go szczelnie i zdusi. A oprócz tego starego przyjaciela niemał na świecie żywej duszy bliskiej. Pożegnać strony rodzinne... I jemu również tęskno za temi polami, po których biegął chłopięciem, za tem powietrzem, którego zapach świeży począł nozdrzami w zaduchu pracowni obcej i wrogiej. A ta tęsknota ciągnęła go nie do Prowancyi słonecznej, w której ujrzał światło dzienne, i gdzie spędził pierwsze lata życia, ale do Bretanii szarej i smętnej, do której wywiozła go potem matka, gdzie pod niebem chmurnem, obok kościółka na wzgórzu, jest grób tej matki, raz tylko odwiedzony; gdzie z wieży tego kościółka odzywa się nikły głos dzwonka, spływa po stokach zielonych, zślizguje się po rosie wieczornej i ponad polami popielatemi i czar-niawemi leci aż hen nad morze z wypustkami bia-łemi na szczytach bałwanów, co przelewają się usta-wicznie, biją czołem o skały poszarpane i huczą wciąż i wyją. Czy i te wspomnienia straciły treść swą wewnętrzną? Czy tam nie poczuje obecności duszy kochającej i żywej? nie zazna ukojenia?

.
Dziesięć dni minęło. Gdy Jean-Jacques po-wrócił z Bretanii do Paryża, dowiedział się od odzwier-

nego, że parokrotnie zapytywał o niego jakiś pan w pelerynie i że na dzisiaj również zapowiedział swe odwiedziny. Jakoż przybył niebawem. Był to kolega jego, młody rzeźbiarz; człowiek ogromny, barczysty, włochaty, pełen życia i ochoty. Niestety, rozpędowi rzeźbiarza stanął na zawadzie wypadek głupi. Kiedy przebył już biedę najcięższą, kiedy zaczął się wybijać i zwracać na siebie uwagę, przejechał go omnibus samochodowy. Po paru miesiącach Emil Vial (tak zwał się rzeźbiarz) wyszedł ze szpitala „połatany aż miło“ i nawet połamaną, prawą rękę złożono mu dobrze, jeno, że stracił w niej władzę. Jean-Jacques cenił go i lubił bardzo, więc powitał serdecznie i uściśnął tę biedną rękę z współczuciem szczerem.

— Cóż znowu! — zawołał Vial — nie rób takiej miny, jakbyś chciał nademną *requiem* zanucić! Nie tak jeszcze rychło. Że prawa ręka wyprzęgła? a od czego lewa, nie licząc odnóży tylnych! Czy mi dali odszkodowanie? A wiesz, żem się dawno tak nie ubawił! Wyobraź sobie, mnie zastępował (po przyjaźni) adwokat młody, zdolny ale początkujący. Imieniem Towarzystwa omnibusowego stanął słynny *maitre* Henri, senator z takim pękatym guzikiem czerwonym w klapie od surduta. Nawet się nie zmęczył, żeby mię pograżyć. Mój adwokat prawi z ferworem, a senator jeno się uśmiecha, czasem ręką kiwnie, a czasem ramionami wzruszy. Mój adwokat nie daje się zbić z pantałyku i wali swą sztukę ostro i cięto, a senator wciąż uśmiecha się i ramionami rusza. Niebawem cały trybunał zaczął uśmiechać się przyjemnie do senatora, ruszając w takt ramionami i patrząc na mego obrońcę z politowaniem. Ale ludzie

dobrzy, niema co gadać: nie skazali mnie za uszkodzenie omnibusu; tylko odprawili z kwitkiem. Co będę robił? Juściż nie rzeźby, z którymi nie szło znów tak świetnie, jak miałem wszystkie członki zdrowe. To mnie nawet cieszy. Bo to, widzisz, pókim rzeźbił, czułem się cały czas, jak winowajca. Jak szewc robi buty złe, to ludzie ich nie kupują, ale nie robią mu wyrzutów, że wziął się do szycia butów bez świętego ognia i talentu prawdziwego. A w naszym rzemiośle podłem wciąż jeno kiwają nad nami głową, rozważając, czy mamy srogi talent, czy talent, czy pół talent, czy tylko talencik! Cóż ich to, do licha, obchodzi, skoro nic nie kupują! Ileż razy pytano, czy ja miałem prawo „przekroczyć próg świątyni sztuki“? Ja go przeskoczyłem, ot tak, z lewej nogi, ale kto ich tam wie, może i nie miałem prawa. I nie dość, że i bez tego człowiekiem trzęsły drgawki, a gryzła gorączka, jeszcze, gdy poczuł w sobie rozmach, chwytano go zaraz za rękę: „zastanów się, czy masz talent prawdziwy, byś nie uraził majestatu Sztuki“. Aż brała człowieka ochota urazić go i to porządnie a świętokradzko — kolaniem! A teraz, kiedy ręka niezdatna, nikt mi już nie będzie roztrząsał sumienia i zaglądał, co ja mam w brzuchu, a co pod żebrem lewem. Teraz ja pan! Innych będę sądził. Wiesz, co będę robił? Nająłem już sklepik i urządzam w nim „salon rzeźb i obrazów“. Nie mogę pracować sam, to będę sprzedawał prace innych. I ciebie też mianuję swym dostawcą nadwornym. Powiadam ci, że będziemy jadali obiad bodaj czy nie codziennie, a w każdym razie chodzić w butach z podeszwami, nie tak, jak ja dzisiaj. Co prawda, te trwalsze.

Co rzekłszy, Vial zdemontrował swe słowa podnosząc obie nogi, z pod których wyzierały podszwy gołe, jego własne.

— Ależ, mój kochany — odparł Jean-Jaques — bierz wszystko, co ci się podoba. Nie miałem zamiaru tych paskudztw sprzedawać, ale co mi tam! Byle nie mierzyły mnie tutaj w pracowni! A jak, czego Boże broń, coś sprzedasz, nie śpiesz się z odsłaniem pieniędzy; mnie teraz nie potrzeba. Niech ci się poszczęści! A co do rzeźby, nie zarzekaj się. Ja myślę, że ty jeszcze dzisiaj, a najdalej jutro zaczniesz modelować lewą ręką, a może odnóżem tylnem. Boś ty naprawdę żył sztuką prawdziwą, a nie mamidłem marnem.

Gdy w tydzień potem ojciec Robin przyszedł do pracowni przyjaciela, zastał wszystkie ściany puste. Vial zabrał wszystko bez wyjątku, zapewniając, że zamknie to pod kluczem i w sklepie wystawiać będzie tylko po jednym obrazie „sławnego Jean-Jacques na przynętę“. Robin zdziwił się tej zmianie w wyglądzie pracowni i wypytywał o jej przyczynę, a gdy dowiedział się szczegółów o młodym rzeźbiarzu, tak się nim zajął i tak o niego wywiadywał, że wkrótce nie tylko znał jego przejścia, ale i adres „salonu“. Dodajmy odrazu, że była to u „ojczulka“ chytrość zgoła nieoczekiwana i nic dziwnego, że Jean-Jacques nie odgadł nigdy, kto tego samego jeszcze dnia nabył jego obraz, a raczej szkic, rzucony na płótno niegdyś w Kartaginie w przystępie radosnego twórczego szału w ciągu dnia jednego.

Gdy wyczerpali wszystko, co o Vialu, jego talentie, jego nieszczęściu i energii powiedzieć się dało, rozmowa się urwała. Ojciec Robin pałał żądzą

posłyszenia od przyjaciela odpowiedzi, po którą przyszedł, ale obawiał się jej zarazem i, ile mógł, odwlekał chwilę, kiedy będzie musiał o tę odpowiedź zapytać; wiedział bowiem, że odpowiedź odmowną, a taką przypuszczał, poczuje, jak wyrok skazujący. Jean-Jacques omijał także w rozmowie i wypadki tragiczne w Kartaginie, o których dowiedział się od Robina, i wszystko, co rzuciłoby mogło światło na jego zamysły. Zupełnie też niespodziewanie odezwał się nagle:

— Wiesz, ojczulku, co ci powiem? Od czasu, jak poczciwy Vial oczyścił moją pracownię, kamień spadł mi z serca. Po jakiego dyabła, pytam się, po jakiego dyabła szamotałem się tyle czasu nad rzeczami, które nie dawały mi ani chleba, ani chwili zadowolenia? Przeciwnie — wiecznie to szarpanie się i zgryzota! Ja nawet teraz, kiedy pozbyłem się tego wszystkiego, kiedy wyrzuciłem nie tylko wszystkie swe prace, ale i pędzle i farby, ja teraz pojąć nie mogę, co mnie opętało, że mogłem w tem jarzmie wytrzymać tak długo. Przecież nie jestem skazany na roboty ciężkie wyrokiem jakimś nieodmiennym. A mój talent? Więc powiedzmy, że nie mam talentu — i cóż mi kto zrobi? Czy to zbrodnia? Ale też zbrodnią pewnie nie było włożyć w poszukiwanie w sobie tego talentu tyle pracy, tyle zaciekłości i tyle... no rozmaitych innych rzeczy, o których mówić nie warto. A sens moralny — z pocałowaniem ręki przyjmuję zajęcie, które łaskawie daje mi pan majster i, kiedy chcesz, jadę z tobą do Tunisu!

Robin rzucił mu się w ramiona i ścisnął go serdecznie, nie starając się nawet szukać słów dla wyrażenia mu swej wdzięczności i radości. Uspoko-

iwszy się nieco, stanął znów przed nim, nieśmiały, jak wprzód, i patrzył mu w oczy wzrokiem pytającym. Jean-Jacques śnać go zrozumiał, bo rzekł:

— To już wszystko. Więcej panu obiecać nie mogę; muszę raczej powiedzieć otwarcie, że nawet wówczas, jeśli kiedykolwiek przeboleję i zapomnę, myśleć nie będę o złączeniu się z kobietą, o której mi wspominałeś, kimkolwiekby ona była...

— To moja siostrzenica... — odrzekł Robin nieśmiało.

— Kimkolwiekby ona była... Wspominałem panu o tem dziewczęciu jasnowłosem, takim dobrem i takim serdecznem, dla której napisałem tę bajeczkę wierszowaną. Dobrym pan byłeś prorokiem. Wiersz nic nie pomógł. Przywiązało się biedactwo do mnie, że mi aż żal. A i ja... Dość, że gdyby kiedykolwiek, to chyba z nią jedną.

Ojciec Robin patrzył „zółtodzióbowi“ w oczy z niepewnością i obawą i wybąknął:

— A kiedy to właśnie ona.

XVI.

Upłynęło lat cztery. W słonecznym Tunisie, przy szerokiej *avenue de France*, wysadzonej drzewami rozłożystemi, na jednej z nowych kamienic widniał zdala napis: „Pracownia dekoratorsko-malarska A. Robina i J.—J. Duvala“. Przedsiębiorstwo rozwinęło się i rozrosło znakomicie i zatrudniało współpracowników licznych. Założyciel jego i spółnik starszy pokazywał się w niem bardzo rzadko, gdyż od lat już paru kierownikiem jego wyłącznym stał się dawny czeladnik, znany w gronie kolegów pod przezwiskiem „długowłosego żółtodzioba“ i „zielonej małpy“, a obecnie współwłaściciel zakładu, którego koledzy dawni z przed lat kilku poznawali z trudnością. Nie tylko bowiem szumnego i romantycznego „Jean-Jacques'a“ obciął do skromnych rozmiarów „J.—J.“, a *zapucił* natomiast dawnego zapomnianego, prozaicznego Duvala, ale i na głowie grzywę srogą obciął do cna, a zapucił ją natomiast u dołu twarzy w postaci brody długiej i złocistej, którą rozpościerał na piersiach.

A nie były to zmiany jedyne, ani największe. Dawny uczeń Akademii wiecznie „obietujący“, późniejszy dziwoląg pyszałek, malujący w Kartaginie ściany hotelu i przekomarzający się zuchwale ze zwierzchnikami, malarz wreszcie paryski ceniony i chwalony, a gardzący własnymi dziełami i zapra-

cowywujący się w wysiłku gorączkowym, a jałowym, bo odbierającym jeno ufność w swe siły, Jean-Jacques, porzuciwszy Paryż i wyrzekłszy się marzeń i ambicyi, stał się w Tunisie w pracowni swego przyjaciela rzemieślnikiem skromnym, lecz niepospolitym. Ojciec Robin odniemógł się jakoś szczęśliwie dychawce i osłabieniu i trzymał dość rzeźko, ale podstarzał się, podtatusiał i nieco zdziwaczał. Cały ciężar pracy spoczął zatem na barkach młodego czeladnika, a niebawem spółnika, który w robotę wkładał rozpęd i zapał młodzieńczy, co, mimo zniechęcenie i zwątpienie w siebie, znalazł się jakoś nieszukany i nieproszony z chwilą, kiedy przestała go ubezwładniać troska o tworzenie arcydzieła i gasić obawa, że zadaniu nie sprosta. Skoro jednak chodziło teraz nie o sztukę szczytną, lecz o rzemiosło pospolite, młody zapał upomniał się o swoje prawa, a znalazł sojusznika nielada w wyrobieniu artystycznym byłego malarza i jego niezwyklej sprawności malarskiej, z którą ten nie wiedział teraz co począć. i oddał ją na usługi rzemiosła. Nie dziw, że czynniki takie, wniesione w przedsiębiorstwo, któremu ojciec Robin dał rzetelne podstawy rozwoju, rozstrzygnęły o powodzeniu.

I powodzenie przyszło wielkie i stanowcze, tak stanowcze, że młody rzemieślnik przestał czuć się artystą zwichniętym i nie mógł oprzeć się uczuciu zadowolenia z swej pracy. A zadowolenie to miało źródła wielorakie: cieszyło go to, że siły jego młode i krewkie miały pole działania tak obszerne, że zmagać się mogły z pracą aż do fizycznego wyczerpania; cieszyło go, że w pracy tej, pochłaniającej energię, znajdowało też ujście i poczucie piękna do

tyła przynajmniej, iż nie niepokoiło go, jak głód nienasycony; radowało go, że praca jego pozostawiała ślady trwale i sprawiała przyjemność bliźnim; a na zadowolenie wewnętrzne nie pozostawiała też bez wpływu okoliczność, że praca dawała jemu niezależność i dobrobyt, a staremu przyjacielowi możliwość wywczasu i spokój na lata ostatnie. Bądź co bądź, pochlebiało mu i to także, że stał się *kims*: osobistością znaną, z którą ludzie liczyli się i którą cenili za słuzenie.

Ale do tych źródeł zadowolenia przyłączyły się z czasem i inne. Poczęły się one ujawniać, gdy po dwuletnim pobycie w Tunisie spostrzegł się, iż wrażenie, jakie na nim wywarł ów błękitnooki, zakochany w nim podlotek, nie było przejściowem, ale wzmagало się z biegiem czasu i napierało zaspokojenia z coraz to wzmagającą się natarczywością. Ojciec Robin, którego związek ten był marzeniem ustawicznem, nie śmiał młodemu przyjacielowi naprzykrzać się swemi pragnieniami; ten zaś również nie wspomniał nigdy o siostrzenicy starego malarza, nie chcąc budzić w nim nadziei, póki nie był pewien, że nadzieja przyjaciela stała się również jego nadzieją najgorętszą. Prośba o rękę siostrzenicy spadła też pewnego dnia na ojca Robina zupełnie niespodziewanie i wstrząsnęła radośnie starym malarzem, który już przestał wierzyć, by coś radosnego spotkać go mogło w zyciu. Radość jego była tem większą, że małżeństwo to uszczęśliwiło siostrzenicę ulubioną i przyjacielowi dało szczęście domowe trwałe, spokojne i pogodne.

Do tego szczęścia przyłączyło się niebawem zadowolenie wewnętrzne tak dlań nowe, że zgoła

o jego istnieniu wprzód nie wiedział. Dotychczas był wolnym ptakiem, szukającym dla siebie miejsca na świecie, dążącym do zaspokojenia pragnień wewnętrznych, niezwiązanym niczem, nie myślącym o jutrze: wolnym ptakiem, którego losy przygnały na ziemię afrykańską, jak zagnać mogły gdzieś-indziej, jak zapędzą zapewne w kraje inne. Teraz ten ptak wolny poczuł pod sobą gniazdo, a w sobie odpowiedzialność za tego gniazda przyszłość. I ta odpowiedzialność, przykuwająca go do gniazda, nie wydała mu się pętami ani niewolą, ale celem życia i to celem tak pojętym, że poczuł w sobie nowy rozpęd i siły nowe, tak krzepkie, iż nagle wszystkie wątpliwości zniknęły, a trudności i przeciwności zmalały. Gniazdo zaś nie okazało się ani ciasne, ani duszne. Odkąd zwłaszcza zanosić się poczęło na zwiększenie rodziny, przestał uważać się za ptaka samotnego i zbląkanego w przestworzu, poczuł się natomiast obywatelem ziemi, na której było jego gniazdo, obywatelem tej „Nowej Francyi“, zaszczipionej na szerokich afrykańskich puszczech, współnikiem tego bujnego, życiodajnego wysiłku, który z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę, plecił życie na pustkowiu wyjałowionem i obumarłem; współnikiem tego wysiłku europejskiego, który w Egipcie podjął dzieło faraonów, a w Libii objął spuściznę Rzymu, — wysiłku, w którym jego ojczyzna tak chlubny bierze udział: począł się częścią tej siły ożywczej, której rozmach i napięcie jest przyszłości wielkiej podwaliną i rękojmą. I, jako część tej siły, rzemiosło jego nie wydawało mu się czemś pospolitem i artysty niegodnem, lecz wręcz czemś dostojnem.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, rad tylko, że rzemiosło nie ciąży mu, lecz go ku sobie pociąga. Chciał być rzemieślnikiem, nie artystą, i myśl ta nie uwłaczała mu i nie sprawiała przykrości. Wszak tyle lat strawił na to, by zostać artystą, nim się opamiętał, iż jest tylko sztuki rzemieślnikiem. I bodaj czy teraz nie przydarzyła mu się przygoda odwrotna. Poczucie, że jest uczestnikiem pracy nad dziełem wielkim, i że rzemiosło jego jest tej pracy częścią, napawało go dumą. A ta duma napraszała się o wyraz zewnętrzny. Przypadek podsunął jej kształty widome.

Razu pewnego wybrał się z żoną za miasto, celem zwiedzenia muzeum Bardo, do którego zaglądał często. Jest to budynek ogromny, dawny pałac *beya*, przerobiony na galerię publiczną, w której Francuzi gromadzą zabytki dobywane z ziemi, artystyczne i historyczne skarby, świadki wielkiej przeszłości Afryki kartagińskiej i rzymskiej. Najcenniejsze, odgrzebane posągi greckiego i rzymskiego dłuta znajdują się w środku gmachu, w sali ogromnej, w dawnym *patio* pałacu. Pałac w stylu maurytańskim stał ongi wśród pustki nagiej i zasypanej piaskami, a w tem *patio* samowładca Tunisu spędzał czas na wywczasie gnuśnym w otoczeniu niewiast, przywiedzonych z sąsiedniego haremu. Dziś wkrąg pałacu zielenią się ogrody, dawny harem mieści pracownie muzealne, a *patio* stało się przybytkiem, w którym dobyte z pod piasku i gruzów dzieła myśli i natchnienia mistrzów dawnych cieszą oczy i użyźniają wyobraźnię pokoleń nowych, jak rzucony ponad wiekami upadku i zastoju most, łączący wspaniałość Afryki dawnej z dzisiejszą Afryką

z martwych wstającą. I, stojąc u progu tego *patio* arabskiego, i patrząc na te dzieła artystów dawnych, wydobyte z tyłowiekowego zapomnienia i pustki, a tętniące życiem nieśmiertelnem, Jean-Jaques zapragnął na tych właśnie arabskich murach dać świadectwo uczuciu dumy, do której prawo pełne ma pokolenie, co jęło się tutaj wskrzeszenia życia z pod śmiertelnego całunu. Wszak jego, Jean-Jacques'a, rzemiosłem jest zdobić mury: nie własne myśli przyklejać do murów starych, ale mury wspomagać, by myśl swą wyraziły same, myśl tkwiącą w nich samych w ich otoczeniu, w ich zawartości.

Odtąd we wszystkich chwilach wolnych brał się do roboty z zaciekłością i zapałem. I w ten sposób powstał projekt dekoracji ściennej muzeum Bardo, projekt, obejmujący i krużganki pod kolumnadą, okalającą *patio*, i fryz, obiegający pod galerją górną, i górne ściany, dla których ozdoby Jean-Jacques skomponował cykl *Rediviva*: cztery obrazy przedstawiające Afrykę kartagińską, Afrykę rzymską, strupieszalą Afrykę arabską i Afrykę dzisiejszą, z upadku i upodlenia odradzającą się z bujnością i mocą. A wszystkie cztery obrazy, jak żelazna obręcz, opasywał fryz, po którym szeregiem nieprzerwanym snuły się, wciąż jednakowo niezmiennie drapieżne i wyniosłe postaci Berberów, tych Jean-Jacques'a „paskudników kochanych“.

Gdy projekt był gotów, dawny Jean-Jaques, a dzisiejszy pan J.—J. Duval miał wrażenie, że dokonał cząstki dzieła najłatwiejszej. Teraz dopiero rozpoczynały się trudności prawdziwe. Wykonanie jego projektu pociągało za sobą i koszta wielkie i ze względu na oryginalność pomysłu, usunąć musiało

władzom wątpliwości poważne. By władze i opinię dla swej myśli pozyskać, Jean-Jaques postanowił tedy projekt swój wystawić najpierw w Paryżu i w tym celu zwrócił się do dawnego przyjaciela, Emila Viala, który, dzięki swemu „salonowi rzeźb i obrazów“, zdobył sobie tam stanowisko poważne i stosunki wpływowe. Nie zawiódł się na przyjacielu. Vial otrzymawszy przesyłkę, odpowiedział zaraz listem pełnym zapału dla dzieła „zółtodzioba“ oraz pochwał najgorętszych i zapewnień, że urządzi mu wystawę taką, iż cały Paryż będzie o nim mówił, a wszelkie wątpliwości „biurokratów od sztuk pięknych“ nie ostoją się wobec naporu opinii; przyznawał natomiast, że sprawa znalezienia funduszków na wykonanie projektu nie pójdzie gładko. Odpowiedź ta rozczarowała żonę Jean-Jacques'a. Pochwały uważała za rozumiejące się same przez się i była zdania, że nie było ich dosyć; przewidywanie zaś trudności w znalezieniu funduszków wzięła do serca niemal jak obrazę osobistą małżonka i próżno ojciec Robin starał się ją uspokoić zapewnieniem, że fundusze znajdują się na to wcześniej, czy później: jego już w tem głowa.

Mieszkanie państwa Jean-Jacques'ów znajdowało się przy *avenue de France* na pierwszym piętrze ponad pracownią. Tam też „zółtodziób“ siedział właśnie przy herbacie porannej. Rozrósł się, zmężniał i ze swą długą brodą złotą wyglądał okazale. Obok niego, wyciągnięta na karle bujającym, siedziała żona, młodzianka i dorodna, rumiana i jasnowłosa, z dobrocią i weselem w obliczu. Jean-Jacques przeglądał dzienniki paryskie, gdyż właśnie przybił statek z Marsylii i poziewywał nad artykułami poli-

tycznemi, gdy nagle twarz mu się ożywiła i wesoło zawołał!

— No, teraz już chyba będziesz zadowolona! Słuchaj, Helenko. i rozdział swój pyszczek uroczy ze zdumienia nad sławą twojego małżonka i sługi! *Temps*, poważny *Temps* pisze, a podpisuje jeszcze poważniejszy krytyk takie bzdury:

„Jean-Jacques, którego obrazów nie widywaliśmy na wystawach od czterech lat z górą, wystąpił obecnie z dziełem niepospolitem, które nietylko tłómaczy nam długą nieobecność utworów jego na wystawach, ale wynagradza nam ją sowicie. Niezwykły talent artysty pogłębił się i rozwinął nad wszelkie przewidywania. W pełnym posiadaniu techniki, którą podziwialiśmy u niego już dawniej, ale z pogodą talentu dojrzałego i świadomego swej siły, artysta dał nam teraz dzieło potężne, skończone, wskroś oryginalne, które stawia go odrazu w rzędzie twórców najprzedniejszych...“.

— Cicho! — zawołała Helena głosem niespokojnym; nie słyszysz? Ty mię tu zajmujesz fraszkami, a tam *ono* płacze!

— Co? płacze! — powtórzył mąż, zrywając się i rzucając dziennik zmięty.

Oboje wybiegli rażno. Alarm okazał się fałszywym:

Niemowlę spało uśmiechnięte rozkosznie, oświetlone krzepkimi promieniami wzbijającego się słońca.

* * *

Ojciec Robin nie mieszkał z młodem stadłem. Bywał tutaj codziennym niemal gościem i tutaj tylko ożywiał się i rozpogadzał, ale nie chciał z młodymi zamieszkać na stałe. Twierdził, że jest szczęśliwym zupełnie i że już niczego więcej nie pragnie w życiu, a szczęście to ujawniało się czynnością wielką

i wobec wszystkich dobrocią serdeczną, ale przysłonięte było jakimś smutkiem cichym i spokojnym. Nie skarżył się nigdy i nie utyskiwał, ale głowy nie nosił już hardo i, zwłaszcza, gdy był samotny, w dół ją zwieszał i chodził przygarbiony, osowiały i zamyślony, ze zmiętą „napoleonką“, przynieconą do piersi. A samotnym bywał często, gdyż zamieszkał w Kartaginie w domku ustronnym, by (jak mawiał) ukrywać przed ludźmi swoje dziwactwa starcze.

Dziwactwa te nie były szkodliwe. Lubił przede wszystkim odosabniać się i zamykać w sobie. Domek stał zdala od siedlisk ludzkich, samotny wśród pustki i gruzów, otoczony gruzami, i ponad zwaliska, na miał rozkruszone i szare, patrzył na czarowne zwierciadło zatoki, płaskie, lśniące i blade, mieniące się tysiącem barw, słońcem roznieconych, lecz przenikających się, z sobą zlanych, i tłumiących wzajem swe blaski. I w tym domku mieszkał sam jeden ze służącym Arabem, a czasami dotrzymywał mu też towarzystwa mały Kabil, który wyrósł na tęgiego dryblasza, i wedle upodobania „służył“ naprzemian to u państwa młodszych w Tunisie, to w Kartaginie u starego malarza, noszącego w jego mowie tytuł „pan mego pana“; co prawda, Kabil coraz częściej teraz znikał na swe wyprawy tajemnicze, o których celu milczał uporczywie.

Pozbywszy się trosk codziennych, spokojny o dolę siostrzenicy i przyjaciela, ojciec Robin wypoczywał teraz na kartagińskim odludziu, przechadzając się zadumany po zboczach nagich, we wnętrzu wydrążonego pagórka, na stopniach podruzgotanych teatru rzymskiego rozmyślał godzinami wśród ciszy

i grozy starego zwaliska, to znów podpatrywał Berberów, snujących się po stokach milczkiem, i przycupniętych wśród ułomków murów, lub na terasie przed domkiem przesiadywał zapatrzony na zatokę cichą. Gdy odwiedzali go młodzi, przyjmował ich we dwu izdebkach na dole. Do dwu górnych bowiem pokojów nikt nie miał wstępu, gdyż w nich stary malarz ukrywał zazdrośnie swe dziwactwa najśmieszniejsze. W jednym z tych pokojów znajdowała się pracownia malarska, w drugim obserwatorium astronomiczne. W jednym „bawił się w smarkacza“, starając się nawiązać wątek mrzonek i rojeń młodocianych, od których dzieliło go całe życie pracowite; w drugim „bawił się w astronoma“, usiłując bez nauki i przygotowania zgłębić przez wielki teleskop tajemnice przestworów niebieskich. Od tych zajęć odrywał się na parę tylko godzin, by w Tunisie odwiedzić młodych i nacieszyć się widokiem swego paromiesięcznego imiennika, w którym codziennie odkrywał nowe przymioty, świadczące niechybnie o niezwykłym uzdolnieniu tego młodzieńca, „bodaj czy nawet nie większem niż talent Jean-Jacques'a“. Tylko, gdy nastawała pełnia, wyrzekał się tej uciechy, nie ruszał z domu i nie przyjmował nikogo.

Ojciec Robin lubi prócz tego przestawać z niesfornym Kabilem, gdy ten raczy zawitać do niego „na służbę“. Służba ta polega przeważnie na długich gawędach, których przedmiotem bywają zawsze jedyni sąsiedzi starego malarza: zagadkowe Berbery, odporne wszelkiemu badaniu i tajemnicze, jak ten księżyc, ku któremu ojciec Robin próżno zwraca nocami swój teleskop wielki. A Robin z uporem starczym chciałby właśnie obie te tajemnice przeniknąć.

Z cierpliwością więc niewyczerpaną wypytuje wciąż Kabila, który nibyto chętnie odpowiada na wszelkie pytania i rozwodzi się o „obrzydliwościach berberyjskich“, ale czy sam dobrze nie wie, czy mówić nie chce, dość, że z jego opowiadań niewiele wyrozumieć można.

Starego malarza korci to i gniewa. Chociaż bowiem Berbery wciąż jednakowo dzikie, niedostępne i milczące, Robin, sąsiadując z nimi od lat paru, na tyle się z nimi oswoił, iż czuje, że w hardych, upartych, cierpliwych i zaciekłych duszach tych dzikusów obdartych coś dzieje się teraz, czego nie było dawniej, i do czego nikt chyba nie znajdzie klucza. Pozornie nic się nie zmieniło i nikt nie zauważył zmiany żadnej. Chyba, że stali się może ruchliwsi, łatwiej porzucają siedziby i zbyt skwapliwie odrzekają się pastwisk, na których długo jeszcze żywiłby mogli swe kozy; chyba, że zbyt szybko znikają z wybrzeży, nocą chyłkiem zwijając koczowiska, i ciągną w góry ścieżkami mylnymi, by przepaść gdzieś na południu w pustkowiu; chyba, że karawany ich chybkie, a żebraczo nędzne, rzadziej zatrzymują się w miejscach zamieszkałych, a raźniej przemykają się, popędzając wychudłe wielbłądy i osły. Co majaczy się w ich głowach? jaka troska niepokoi tych najcierpliwszych z cierpliwych? jaka wola puszcza w ruch rytmiczny tych włóczęgów, na luźne gromady rozbitych na przestrzeniach niezmiernych? jaka myśl wspólna ogarnęła tych rozbitków bezwodnych, którzy jedną myślą żyli, odkąd o ich życiu doszły nas słuchy?

Nad tą ziemią, na której stary Robin osiadł na pustce, by dodumać resztek dni swego żywota, dzieje snuły się dziesiątkami wieków, dzieje prze-

dziwne, w których blaski chwały układały się warstwami przekładańca, z pogromami tak strasznymi, że nie ostała się nieraz do nich ani żywa dusza, ani kamień na kamieniu; w których ziemia ta, żyznością nasiąkła, mała się zielenią ogrodów, lub wyjałowiona i zdławiona piaskiem, próżno kropli dżdżu łaknęła; w których wszystkim bogom wznoszono tu świątynie kolejno, wszystkim sztukom i umiejętnościom przybytki, by wnet ich gruzy obsiadła pustka dzika i martwota głucha. Ale czy z tej ziemi bujał rozkwit, czy gniół ją upadek; czy na tej ziemi wznosiły się świątynie, teatry i wszechnice, czy w ich miejscu kozy chude skubały zielsko nikłe; czy po tej ziemi krzątali się kupcy przebiegli i zręczni żeglarze, czy szcęk miecza wprowadzał na niej twardy ład rzymski; czy rozbrzmiewały tu popisy krasomówcze retorów, hymny piewców greckich, dysputy teologów bizantyńskich, czy świsty bata piratów mużulmańskich, pędzących gjaurów w niewolę, i smętne hejnały, wyśpiewywane co dnia z szczytów minaretów w cztery strony świata — jedno pozostawało wciąż niezmiennie: pradziejce tej ziemi, ciągłemi najezdami szarpanej i wzajem sobie wydzieranej, ci Berberzy dzicy, nędzarze uparci, w których palkach zakutych tkwiła zawsze i nieodmiennie myśl jedna: że oni są tej ziemi panami. Na wybrzeżu zmieniały się państwa, narody i kultury; ale za plecami tych państw i kultur, tam w głębi łądu, na tych pustych przestrzeniach, które na kartach dawnych oznaczono napisem: *hic habitant leones*, — poza Trypolisem, Tunetanią, Algierią i Marokiem — tkwiła i trwała uparcie wyzutego z ziemi berberyjskiego plemienia ojczyzna utajona, kryła się u stóp niedostępnych

Atlasu, w grodach nieznanym, jak owa Kenifra, do której nikt dotąd nie dotarł, ani Kartagińczyk, ani Rzymianin, ani Arab, lecz do której murów dziś dolatuje już czasem zdala huk armat francuskich: — tam kryła się od wieków nędza berberyjska, nieuskromiona, uparta, czyhająca.¹⁾

I upadały, jedno za drugim, państwa potężne, a odwieczne kultury, szczepione troskliwie jedna na drugiej, przepadały bez wieści; oni jedni, ci Berberzy uparci, pozostali, jak byli tu przed wiekami, nim okręty Elissy tyryjskiej przybiły do ich brzegów. I jak ongi rzucili się na pierwszą osadę punicką; jak wiekami borykali się z Kartagińczykami, aż doczekali się pustoszenia i łupieży; jak krok za krokiem bronili Rzymianom przystępu, niszcząc, co im popadło pod rękę; jak, pokonani i rozbici, przeczekali wspaniałość Kartaginy rzymskiej, by z Wandalami wnieść w nią pożogę; z Arabami w niszczycielskiem zapamiętaniu na miał kruszyli potężne mury rzymskie i ogniem zwapniali marmury; ząb za ząb porali się z Arabami, by im wreszcie tak uledez pozornie, jak wprzód Rzymianom; w ukryciu czołgali się za rycerstwem św. Ludwika; na hiszpańskich pobojuwiskach koczowali; paszom tureckim tak hardo się stawili, jak później tunetańskiemu *beyowi*, który jeszcze w XIX. wieku przed amfiteatr rzymski w El-Dżem zatoczyć musiał armaty, by z jego murów wypędzić zuchwalców; tak, niedbając o granice państw i „sfery wpływów“, z Abdelkade-

¹⁾ Już po ukończeniu niniejszej opowieści, w połowie czerwca 1914 roku, nadeszły wieści, że pierwsi najezdcy, Francuzi Kenifrę zdobyli, wypędzając tubylców w Góry Atlasu.

rem w Algeryi trzebili Francuzów, dziś jeszcze z „senusistami“ napadają w Trypolisie na Włochów, w Maroku na Hiszpanów i krok tylko za krokiem ustępują przemocy francuskiej. I, — podczas gdy Islam mieczem zwyciężskim przerabiał na jednolitą, zmysłowo apatyczną tłuszcę cały szereg ludów, — oni jedni wszystko przetrwali niezmienni i, niemi świadkowie snujących się wiekami, wrogich im dziejów, w uporze zatwardziałym tak nieugięci, że bodaj czy im się do dziś dnia nie mającą pojęcia, których pobratymczy ich Egipcyanie wyzbyli się za przedhistorycznych jeszcze dynastyi, — oni jedni pozostali sobą i ostali się dzicy, bezdomni okrutnie, swobodni, cierpliwi, jak ongi przed najazdem fenickim!

I, jak za najazdu fenickiego, jak wówczas, gdy pod okiem Elissy znoszono na te wzgórza skarby, przywiezione z Tyru, i po raz pierwszy na tej ziemi hymnem czczono Tanit-Astartę-Didonę, — zaciekle Numidy-Berberzy po dziś dzień siedzą, na stokach łąsych przyczajeni, jak gdyby przykuwała ich do nich *anaia* nieugięta: słowo — przyrzeczenie, słowo — ślub, którego dotrzymać trzeba bądź co bądź, *anaia*, narzucona im chyba ongi przez Elisę tajemniczą najazdem, co odtąd nieprzeparcie ponawiał się wiek za wiekiem, jak ten księżyc, co wciąż „nowiem wschodzi, a pełnią zamiera“, — *anaia* trzydziestowiekowa, dziedzictwem nieprzerwanem idąca z ojca na syna, i z pokolenia na pokolenie, *anaia* nieodmienna, jakiegokolwiek tę ziemię dzierżą ludy i jakiegokolwiek nad nią władają bogi, *anaia*, wiernie, bądź co bądź, dochowana w upadku, poniżeniu i nędzy:

Choć spełnić *anaię* — nieszczęście,
Lecz zdradzić *anaię* — wstyd

Anaia — góra ognista,
Na której płonie cześć

Na łysym stoku wzgórza kartagińskiego stary malarz siedzi przed domem i дума. Słońce chyli się ku zachodowi i promieniami skośnymi głaszcząc cudne zwierciadło zatoki i złoci pustkę jałową i cichą. Stary malarz wodzi wkoło wzrokiem, który, nie zahaczywszy o nic, ślizga się po pagórkach zamartwych. Cisza zaległa na pustce, — nigdzie życia, nigdzie szmeru, nigdzie ruchu: pustka i głusza. Opodal na kupach gruzu pasą się kozy chude i niezgrabnie podskakują spętane wielbłądy. Gdzie niegdzie na zboczach martwych siedzą, jak martwi, cierpliwi dziedzice pustki, nędzarze w łachmanach, z ciałami o barwie i nieruchomości spizu, z twarzami zaciętymi, zastygłymi w spokój pomnikowy. I milczkiem patrzą przed siebie oczami czarnymi o przebłyskach wrogo drapieźnych, z których wyziera tajona nadzieja — lęk: czy, przeczekawszy rodzące się znów z gruzów „Nowe miasto“, ujrzą wreszcie to, na co z uporem niezłomnym trzydzieści wieków czekali: ostateczny raz na zawsze koniec Kartaginy znienawidzonej, Kartaginy, co zadała im ranę, niezabliźnioną już nigdy, Kartaginy wciąż odradzającej się z pod gruzu, obrastającego te wzgórza warstwami martwoty, Kartaginy, co — żywa czy martwa — jednakowo wiecznie przydusza gród pierwotny Kambe, Numidów kolebkę prastarą, Kartaginy przekłętej, wyniosłej, poniżanej, wspaniałej, puste, tylekroć burzonej, — niespożytej.

KONIEC.

Kartagina 1910 — Kraków 1912.

Biblioteka
UMCS
Lublina

Biblioteka Uniwersytetu
MARIII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

460347

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

33 5/2

34 1/4

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

460347

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000175014